

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

STO KONI DO STU BRZEGÓW

Et bien...

Regularny krąg jaśniejszej plamy wyraźnie kontrastował z głęboką czernią betonowej cembrowiny. Plamę dostrzegli, gdy tylko wsunęli się w rurę. Najpierw, z odległości kilkunastu metrów, koło było mniejsze, powiększało się w miarę, jak się doń zbliżali, na koniec osiągnęło niemal metrową średnicę, przekreślona trzema poprzecznymi i dwiema ukośnymi liniami kolczastego drutu.

Bogdan zatrzymał się. Koniec czołgania. Ryszard, napierający z tyłu, dotknął dłonią jego nogi – wszystko w porządku! Nie pomylili się w swoim, tak szybko przecież przeprowadzonym rozpoznaniu: rury kanalizacyjne przytykały do drutów.

Ostrożnie wyjął z kieszeni żarówkę z kablami; w niektórych obozach Niemcy elektryzowali na noc kolczaste ogrodzenia – jak było tutaj, jeszcze nie zdołali sprawdzić. Prąd mógł być silny, ale instrument do badania, skonstruowany przy poprzedniej, nieudanej próbie ucieczki, jeszcze w tamtym obozie, posiadał odpowiednie zabezpieczenie. Bogdan podłączył żaróweczkę do drutów – nie zareagowała najmniejszym nawet błyskiem. Mógł ciąć! Ryszard z tyłu podawał obcęgi, ciężkie i ostre; zdołali je uchronić przed wszystkimi rewizjami. Druty były cieńsze i słabsze, niż się wydawało, pękały od lekkiego naciśnięcia. Pasma pierwsze, drugie, trzecie – szło mu tak łatwo, że zdecydował się ciąć i z drugiej strony, zamiast odginać. Pięć kawałków drutu kolczastego cicho opadło na murawę.

Tak nagle, tak łatwo, tak szybko! Dziesięć minut temu – nie wcześniej – ostrożnie odrywali się od uśpionych baraków, parę kroków przebiegli po pustej przestrzeni obozowych boisk, uważając, by ominąć przesuwające się regularnie światło reflektora, wskoczyli w betonowe rury, przeczozłgali się nimi – i już? Po raz pierwszy od dwóch lat ujrzał przed sobą, a nie tylko nad sobą, szeroką przestrzeń świata nie przekreśloną drutami, dopiero mały krążek, ale otwarty i dostępny. Zdawało mu się, że już jest wolny, i nagle zawahał się przed następnym krokiem. Powinien natychmiast wyskoczyć z rury na łąkę, ale tkwił nieporuszony. Wolność nagle nabrała ogromnej ceny – mógł ją utracić. Sparaliżował go skurcz lęku: wartownik na strażniczej wieżycy akurat w tej chwili może patrzy na rozległą, łagodnie opadającą łąkę, rozciągającą się między drutami obozu a gęstym lasem. Łąka właśnie była przeszkodą najbardziej niebezpieczną – skonstatowali natychmiast, od pierwszego spojrzenia na długie rury kanalizacyjne, lecz szansa ofiarowana im przez te rury nazbyt nęciła, aby nie podjąć ryzyka. Okazja niezwykła: gdy przekroczyli bramę oflagu – Wehrmacht¹ rozbudowywał sieć obozów jenieckich i przewiózł ich tutaj ze starego oflagu – ujrzeli rury kanalizacyjne, szerokie, wygodne, pozostałe widać po świeżo przeprowadzonych robotach, najwyraźniej przeznaczone już do transportu, a beztrudno porzucone przez robotników tak, iż niemal spod baraków sięgały aż po linię drutów. Ryszard leciutko trącił łokciem gapiącego się Bogdana, rozumieli się bez słów; pas ziemi w każdym obozie najbardziej penetrowany przez strażników, najjaśniej oświetlony reflektorami, te metry terenu rozciągającego się wzdłuż drutów można było pokonać bezpiecznie czołgając się w rurze. Nie wolno zwlekać; kwatermistrz, obrugany przez komendanta, pogoni przecież leniwych robotników, których jaskrawe niedbalstwo kolidowało z ustalonymi przez Wehrmacht terminami transportu jeńców. A może – tak sobie też wyobrazili

¹ Wehrmacht (niem.) – wojsko, armia niemiecka.

– jacyś cudzoziemscy robotnicy, niewolnicy ściągnięci z całej Europy naumyślnie taką szansę ucieczki pozostawili jeńcom zwożonym do tego obozu. Lada godzina przyjadą z miasta po te rury, jutro przyjadą na pewno...

Przywieziono ich samochodami ciężarowymi – wielka kolumna aut przetoczyła się z zachodu Rzeszy na wschód – w samo południe. Po paru ucieczkach udanych i paru nieudanych Niemcy doszli do wniosku, że Francuzów i Anglików lepiej jest trzymać nieco dalej od ojczyźnych granic. A może w prowincjach bardziej rolniczych, mniej zaludnionych, na wschodzie, jenieckie obozy łatwiej było organizować i utrzymywać. Polaków wziętych do niewoli w czerwcu 1940 roku, we Francji, hitlerowcy uznali po prostu za Francuzów, demonstracyjnie negując w ten sposób polityczną suwerenność państwa i wojska polskiego. Razem z Francuzami wzięli ich w obozach i teraz powieźli na wschód, jednych w ten sposób oddalając od ojczyzny – drugich natomiast przybliżając. Czyniąc obserwacje przez szpary w brezencie nakrywającym ciężarówkę, jeńcy zorientowali się, iż nowy obóz znajduje się gdzieś za Szczecinem, na Pomorzu. Dwaj przyjaciele z Coëtquidan, Ryszard i Bogdan, patrząc na leżące rury myśleli to samo: los wyraźnie dawał wskazówkę, zamykał koło – podsunął ich teraz tak blisko Warszawy, jak nigdy od owych jesiennych dni roku 1939, gdy – jeszcze się nie znając, każdy z inną gromadką przyjaciół – wymknęli się z okupowanego miasta, by przez góry przedostać się na Węgry, a potem do oddziałów polskich tworzących się we Francji. Nagle ogarnęła ich nostalgiczna tęsknota i przemożna chęć, by dopomóc losom, samemu postawić ostatni, decydujący krok. Jeżeli chcieli uciekać z obozu będąc nad granicą francuską...

– W nocy... – szepnął Bogdan.

– Bez dokumentów, bez cywilnych łachów? – Ryszard kontrował własne marzenia.

– Miałeś dokumenty, miałeś łachy i co? – przypomniał Bogdan.

Istotnie – starannie obmyślona, finezyjnie przygotowana w najdrobniejszych szczegółach ucieczka z poprzedniego obozu skończyła się fiaskiem. Oni dwaj nawet nie zdążyli wydostać się za druty, a ci, którzy wyszli pierwsi, wpadli z miejsca; uprzedzeni przez nigdy nie odkrytego zdrajcę strażnicy niemieccy czekali z wycelowanymi lufami. Ktoś wtedy wygłosił pochwałę improwizacji: tam gdzie nie ma przygotowań, nie może być i zdrady.

– Jutro być może wezmą te rury – Ryszard dyskutował sam z sobą.

– A widzisz... improwizacja! – atakował Bogdan. – Ubrania zabierzemy z pracowni teatralnej. Skrzynie już przyjechały, a tam są pierwszorzędne cywilne garnitury.

– Najwyżej złapią i przywiozą z powrotem – Ryszard od początku wiedział, że się zgodzi.

– Najwyżej... a co się rozerwiemy, to nasze.

Ustalili: prosty rachunek wskazuje, że najbezpieczniejsze jest nie powolne czołganie, ale bieg przez łąkę do lasu, cichy i jak najszybszy, by prędko zniknąć z kręgu obserwacji strażników. Dziś nie będą tacy czujni, nikt nie przypuszcza, że już pierwszej nocy... – raz zdecydowani, krzepili się wzajemnie.

Nim wysunęli się ze śpiącego baraku, nim wpełzli w rurę, sto razy omówili wyskok z cembrowiny poprzez przecięte druty na łąkę. A teraz Bogdan waha się – dzień ośmielał do zuchwałości, lecz noc, ta niczym nie osłonięta polana gasiła zuchwałą odwagę; wartownik najpierw strzela... może trafić...

– No... – z tyłu dobiegło ponaglenie Ryszarda – no!

Szczupakiem wyskoczył z rury. Przekoziółkował na bok – łąka była miękka. Zerwał się, wystartował. Nie myślał o niczym, biegł. Wszystkie sportowe sukcesy sprintera – w gimnazjum, w AZS-ie, w coëtguidańskiej podchorążówce – zestrzeliły się w wysiłku ucieczki. Biegł.

Nie padł strzał. Cisza. Dotarł w cień lasu. Zatrzymał się. Oddychał ciężko. Nie widział nic. Zawsze po biegu – na stadionach – miewał chwile zupełnego oszołomienia, jakby mdlał nie

padając. Doszedł go cichutki, radosny szept: *Et bien!*² Tego powiedzonka nauczyli się od Francuzów. *Et bien!* – pasowało do każdej, nawet najgorszej sytuacji. *Et bien!* – było zawsze optymistyczne. Ryszard stał obok. *Et bien!* – Bogdan odpowiedział na hasło.

Przyjrzał się tarczy zegarka – księżyc rozjaśniał mrok – jedenasta! Ucieczkę odkryją dopiero rano, a może stanie się to znacznie później; koledzy zawsze solidarnie maskują nagłe nieobecności. Przecięte druty znajdują, gdy uprzątą rury, jutro, pojutrze, może nawet za parę dni? Ruszyli szybko i cicho.

– Halo! *Camarades...*³

Boże! Przypadli do ziemi, między drzewa. Obcy głos zabrzmiał z bliska. Jak strzał.

– *Camarades...* – wyraźne francuskie wezwanie wyszeptano spomiędzy drzew. I dalej ktoś cicho mówił złą, niegramatyczną francuszczyzną: – Widzieliśmy, biegliscie... Myśmy uciekli przed wami...

– Rurą? – zapytał Bogdan.

– Przecięliśmy druty.

– O rany! – emocjonował się po polsku Ryszard. Po francusku dodał przytomniej: – Kto? Pod drzewami wyprostowało się dwóch mężczyzn.

– *Do you speak English?*⁴ – zatroszczył się wyższy.

Gorzej niż po francusku, ale mogli się dogadać. Angielskiego uczyli się w oflagu – każdy z nich marzył o ucieczce przez Francję i Hiszpanię do wojska polskiego w Wielkiej Brytanii.

Anglicy przedstawili się szeptem:

– Peter Croom.

– Charles Musham.

– Nie jesteśmy Francuzami – wyjaśnili, by uniknąć nieporozumień. – Jesteśmy Polakami, walczyliśmy we Francji.

– My też... – ucieszyli się tamci.

– Aspirant Bogdan Mayer. – Polscy podchorążowie we francuskiej nomenklaturze mieli najniższy stopień oficerski.

– Aspirant Ryszard Mieczkowski. Dokumenty macie?

– Nie było czasu. Tylko parę marek.

– Jak my. – Każdy jeniec nielegalnymi sposobami zbierał trochę niemieckich pieniędzy; ich posiadanie było w oflagu surowo zakazane.

Więcej już nie rozgadywali się, szli szybko, uchylając się przed gałęziami. Byle dalej!

– *To the river*⁵... – mruknął Piotr; nie potrzebowali dalszych komentarzy. Puszczą za nimi psy, zwykle od tego zaczynają. W wodzie można zgubić trop. Wczoraj mijali mosty i mostki na większych i mniejszych rzekach. Muszą trafić na wodę.

Szli długo. Księżyc to chował, to wynurzał zza chmur połówkę swej tarczy. Podnieceni nie czuli zmęczenia, ale posuwali się nieco bardziej ociężale. Bogdan szeptał do Karola: kierunek wschód, Polska! Tam mogą być pewni pomocy. Anglik przytakiwał. Piotr na chwilę zatrzymał ich ruchem dłoni. Wysupłał z kieszeni metalowy guzik, ucięty od lotniczej kurtki poległego kolegi. Odkręcił powierzchnię przyozdobioną orłem RAF-u. Ostrożnie poświecili zapalką. Bogdan aż pisnął z uciechy: strzałka miniaturowego kompasu chybotą się w kierunku północnym, szli więc prosto na wschód. Tak jak trzeba – dalej w tym samym kierunku.

Aż las zaczął rzednąć. Ciemność przejaśniała się. Skraj drzew. Szerokie rżysko przepołowione miedzą.

– Patelnia, psiakrew! – klął Ryszard.

– Naprzód! – popędzał Piotr.

² *Et bien!* (*franc.*) – No dobrze!

³ *Camarades* (*franc.*) – koledzy, towarzysze.

⁴ *Do you speak English?* (*ang.*) – Czy mówicie po angielsku?

⁵ *To the river...* (*ang.*) – Do rzeki...

– Wasze bluzy! – przestrzegał Bogdan. Anglicy byli w swych zielonkawych mundurach. Polacy w cywilnych, trochę niezgrabnych, szarych ubrankach, uszytych na scenę jeniecką.

Anglicy zostali w swetrach, niestety również zielonkawych. Schowali furażerki. Spodnie wyrzucili na swe znakomite wojskowe buty. Obcięli metalowe guziki i patki u dołu nogawek. Bluzy zwinęli w węzłki. Karol chciał swoją rzucić w krzaki. Ryszard powstrzymał go:

– Utopimy w rzece.

Miedza prowadziła dokładnie na wschód. Nie mieli innej drogi. Zgięci, przykurczeni, biegli szybko, ślizgając się po wypukłej ścieżce.

Osadę obeszli z daleka. Psy poszczekiwały łagodnie. Przez pole zasadzone kartoflami znowu trafili do lasu. O świcie stanęli nad szeroką rzeczką, nurt miała płytki i leniwy. W kieszenie dwóch bluz brytyjskich naładowali piasku i kamieni. Tak obciążone bluzy umocowali pod nadbrzeżnymi korzeniami. Buty, spodnie, swetry, bieliznę nieśli nad głową. Brodzili z prądem parę kilometrów, ciągle im się zdawało, że zbyt wcześnie wyjdą z wody; aż jasność dnia stała się zdradliwa. Osuszyli się i ubrali w krzakach. Po długiej obserwacji przeskoczyli szosę. Pole, łąka i znowu drzewa. Kompasem sprawdzili kierunek. Słońce pięło się coraz wyżej. Las miał niebezpiecznie wątle podszycie. Zdecydowali odpoczywać aż do wieczora. Z trudem znaleźli jakieś krzaki. Zdrzemnęli się.

Usłyszeli warkot nadlatującej maszyny. Pierwszy przebudził się Ryszard. Samolot szedł nisko, niemal nad koronami drzew. Lekka awionetka krążyła, zawracała, znowu nadpływała. Wpełzli, jak mogli najgłębiej, w poszycie krzewów. Nieruchomieli, gdy zbliżał się szumiący warkot. Wtulali twarze w ostry mech. Gryzły ich mrówki. Ryszard denerwował się: powinni podejść pod byle jaką wieś, podłuszczać, może tam, mówią już po polsku. Bogdan uspokajał: jeszcze czas! Ileż mogli przejść tej nocy, nad ranem i o świcie? Piętnaście kilometrów? Dwadzieścia? Nie więcej. Jeszcze dwie pełne noce marszu – może dłużej – i dopiero wtedy będzie wolno mieć nadzieję. Anglicy spali. Polacy spierali się półgłosem. Zjedli dwa suchary, tabliczkę czekolady, possali orzeźwiający cukierki, wzięte na drogę z angielskich paczek. Cisza była doskonała. Las bezludny, bezzwierzęcy. Szosa dostatecznie daleko. Z odległego pola ledwie dobiegał terkot traktora. Ta cisza swobodnej wolności i dławiącego strachu paraliżowała ich najlżejsze ruchy.

– Co teraz robią w obozie? – szeptem zapytał Ryszard. Bogdan zapomniał nakręcić zegarek, już stał. Mieli inne zegarki. Dopiero przesunęło się południe.

Czas skraplał się powoli, sennie. Śniło się im szczekanie psów i ciężki krok patrolu, tyralierą penetrującego las. Budzili się z biciem serc. Nic nie było słychać. Zasypiali. Przedzermali tak do wieczora, aż zrobiło się ciemniej. Nastawili kompas Piotra. Ruszyli w radosnym podnieceniu, marsz był przyjemniejszy niż czekanie, w ruchu samopoczucie było lepsze. Najtrudniejsze mieli ciągle przed sobą. Uciekinierów na ogół przyprowadzano do obozu trzeciego dnia. Trzeci dzień będzie najbardziej niebezpieczny. Maszerowali drugą noc. Między drzewami – uchylając się od gałęzi. Polami – skrajem lasu. Gdy musieli przecinać otwarte przestrzenie, trzymali się miedz wysadzonych krzakami. Skakali przez szosy – w poprzek, jak najprędzej. Odpoczywali krótko i podrywali się niecierplivi, niespokojni. Sprawdzali kierunek na kompasie. Nad ranem znowu zapadli w gęste, bardzo gęste krzaki i przeleżeli cały dzień. Spali. Budzili się. Zasypiali. Męczyły ich majaki. Przed nimi trzecia noc, a potem trzeci dzień.

W nocy trafili na dwutorową linię kolejową, prowadzącą mniej więcej na południowy wschód. Ostrożnie posuwali się wzdłuż toru, w rozsądnej od niego odległości. Musieli przekroczyć rzekę. Aż ujrzeli niewielki budynek stacji kolejowej, oddalonej od ciemniejącej z daleka wsi. Schowali się w gąszcz. Bogdan sam ruszył na zwiady. Stacja była cicha i wydawała się zupełnie pusta. Śpi dyżurny kolejarz – najbliższy pociąg przejedzie nieprędko. W poświacie księżycy odczytał nazwę. Niczym znajomym mu się nie przypominała; przed ucieczką nie mieli ani czasu, ani możliwości przestudiowania map tej okolicy. Stacja – jedna z

dziesiątek małych i jednakowych. Leciutko nacisnął klamkę. Drzwi do poczekalni były otwarte. Wstrzymał oddech i czołem przywarł do futryny. Nic. Ostrożnie wsunął się do środka. Ciemno, okienko kasy zamknięte. Zdawało mu się jednak, że w tej ciemności ktoś jest, że lekko szumi czyjś oddech. Stał i kroku nie mógł uczynić ku płachcie rozkładu jazdy jaśniejącej na ścianie. Wiedział, że tam odnajdzie tę stacyjkę i inne stacje, większe, które pozwolą ustalić miejsce, gdzie się znajdują, dokąd doszli i ile drogi mają jeszcze przed sobą. Na rozkładzie jazdy, na każdym rozkładzie jest kilometraż. Musiał podejść i odczytać – pięć metrów pustej poczekalni. Pustej? Czy naprawdę zupełnie pustej? Rozwahał: posuwać się lewą stroną wzdłuż ścian i przesłonić sobą okno czy pójść stroną prawą? Z prawej, zdawało się, szumi ten leciutki oddech. Wysuniętą stopą zbadął podłogę i postawił krok. Dłonią trzymał się ściany. Kiedyś, przed laty, gdy jeszcze był sztubakiem, zaskoczyła ich noc w Tatrach; z taką samą rozważą posuwali się prowadzącą w dół ścieżką. Krok drugi. Trzeci... kolaniem uderzył w poprzecznie sterzące drewno, blat jakiś. Sięgnął dłonią... but nabijany gwoździami!

Niemal zawisł w przestrzeni, zastygł w geście rozpoznawczym, którego nie mógł dopełnić, a lękał się cofnąć. Kto to?

Ktoś leżał nieruchomo na ławce małej poczekalni. Teraz dopiero dostrzegł plamę ciała ludzkiego pod ścianą. Czekał bardzo długo, potem ruszył się, pochylił nad leżącym. Nad śpiącym – bo chyba nie przyczajonym. Słyszał ciężki oddech zmęczonego człowieka. Spojrzał z bliska: umundurowany żołnierz. Zsunęta na bok czapka, chlebak podłożony pod głowę. Podoficer – niemiecki podoficer – z boku kabura z rewolwerem. Śpi. Śpi na pewno. Bogdan wyprostował się. Teraz już nie mógł zwlekać. Nie chciał rezygnować. Lekko, cichutko podsunął się do rozkładu jazdy. Osłaniając dłonią płomyk, zaświecił zapałkę. Łatwo się zorientował: linijka z informacjami o pociągach przechodzących przez tę stację była, kolejarskim obyczajem podkreślona czerwonym ołówkiem. Trasa Szczecin–Bydgoszcz. Do Bydgoszczy jeszcze sześćdziesiąt kilometrów. Zgasił zapałkę. Śpiący człowiek leżał nieporuszony na ławce, Bogdan przestał już go się bać. Bez zbędnej ostrożności cofnął się ku drzwiom wyjściowym. I zatrzymał się...

Będą się przecież czuli zupełnie inaczej! Ta jedna myśl opanowała go, gdy na rozkładzie jazdy szukał nazw i cyfr. Jeden ruch... Naprawdę wystarczy tylko jeden ruch. Tamten śpi jak kłoda.

Znowu podsunął się ku śpiącemu. Sięgnął do kabury. Operując obiema dłońmi, leciutko otworzył klapę. Wyciągnął pistolet – parabellum. Boże! Jeszcze i zapasowy magazynek. Szesnaście naboń. Boże!

Jednym susem wyskoczył ze stacji. Ścieżką i miedzą w las. Do swoich. Triumfator! Pochwalił się wiedzą: powinni teraz skręcić bardziej na południe, nie do Bydgoszczy, lecz w Poznańskie. Pochwalił się zdobyczą: szesnaście kul! Broń zatknął za pasek na brzuchu.

Trzeci dzień przeleżeli pod drzewami. Samoloty już nie latały. Spadł dokuczliwy deszcz. Było zimno i nieprzyjemnie. Nad ranem umyli się i ogolili w mijanej rzeczce. Okrążyli jeszcze jedno jezioro. Zmienili kierunek marszu. Skończyła się czekolada i żuli ostatnie plasterki sucharów. Bogdan żałował, że śpiącemu nie zabrał chlebaka z urlopową porcją. Głód zaczynał ćmić. W nocy szli jak automaty, niemal nie rozmawiając. Unikali dróg, więc nie spotykali nikogo. W pobliżu przepuścili wielki transport wojskowych ciężarówek. Posuwali się coraz wolniej, czuli to. Szóstego dnia musieli podwoić stawkę ryzyka. Nie mieli co jeść. Rachunek przebytych kilometrów – z poprawkami korygującymi optymizm – uprawdopodobniał szansę szczęśliwego przypadku. Przyczaili się więc przy drodze, prowadzącej z jednej wsi do drugiej. Ryszard z Bogdanem na skraju, Anglicy w głębi gęstego, pięknego lasu. Pędziły ciężarówki, człapały konie ciągnące wyładowane wozy. Rowerzyści. Chłopi. I ich kobiety, z szalami szwabskim obyczajem skreconymi nad czołem. Gadali głośno, po niemiecku. Około południa, na drodze akurat pustej, pojawił się starszy mężczyzna, któremu towarzyszył młodziutki wyrostek. Półgłosem, ale najprawdziwszą polszczyzną rozmawiali o zdrowiu matki.

Gdy minęli leżących w krzakach, Bogdan zdecydował się: muszą grać ostro. Wskoczył na drogę i rozpaczliwie zawołał:

– Proszę panów! Proszę panów! – Obejrzeni się najwyraźniej przerażeni. Dokończył: – Chciałem prosić...

W przedziale były jeszcze cztery wolne miejsca – pociąg pustawy. Przy oknie, naprzeciwko siebie, siedzieli dwaj mężczyźni w mundurach: starszy, kolejarz, i młodszy, żołnierz, który drzemał oparłszy głowę o stolik. Przy wejściu dwie kobiety w nieokreślonym wieku, gospodynie z wyładowanymi torbami. Umundurowani spieszyli Bogdana, ale nie mógł się wahać. Pomyślał: „To jakby bezpieczniejsze tło”. Wszedł do przedziału, uniósł lekko prawą dłoń i zabelkotał *Heil Hitler!* – akcentując dwie litery „H”. Kolejarz spojrział znad gazety; odburknął nie fatygując ręki. Bogdan usiadł obok kolejarza, miejsce przy śpiącym żołnierzu pozostawiając Karolowi, który, chwilę odczekawszy, wszedł za nim do przedziału i powtórzył to samo hitlerowskie pozdrowienie. Udawali obcych, którzy niby przypadkiem znaleźli się w tym samym przedziale, starannie ominawszy wagon z tabliczką *Für Polen*⁶.

Pociąg ruszał, gdy do sąsiednich wagonów wskoczyli Bogdan z Karolem, Ryszard z Piotrem. Polacy przejęli rolę opiekunów i przewodników, pewniej się czując na własnej ziemi, na której jednak nie wolno im było mówić po polsku. W razie natrętnej ciekawości podróżnych obaj Anglicy mieli udawać Holendrów przymusowo pracujących w Rzeszy – status obcokrajowca usprawiedliwiałby braki językowe. Polacy natomiast mieli udawać Francuzów.

Siedzieli więc naprzeciwko siebie dwaj zbiegowie, pewnie od dawna poszukiwani. Obojętnie wodzili wzrokiem po współtowarzyszach podróży, po krajobrazie równinnym, powoli przesuającym się za otworzonym oknem. Nic nie mówili – obcy ludzie zasklepieni w monotonnej nudzie podróży nie rozmawiają ze sobą. Pociąg zwyczajny, służący mieszkańcom tych okolic do załatwiania codziennych interesów w pobliskich miejscowościach, włókł się według rozkładu. Bogdan niecierpliwie zerkał na zegarek: kiedyż wreszcie będą w Łodzi, w *Litzmannstadt*, jak mówi tablica na wagonie? Po trzech dniach monotonych marszów ogarnęła go niecierpliwość, już chciał być na miejscu. Już, jak najprędzej. Odpoczywał po forsownej wędrówce, lecz świadomość zagrożenia dręczyła go w tym przedziale o wiele bardziej niż w ciągu ostatnich dni, przeczekanych w krzakach, lub w ciągu ostatnich nocy, gdy szli na południowy wschód. Marsz był osobistą interwencją w niebezpieczeństwo, był inicjatywą własnej siły, las był przestrzenią, która łądziła szansami ucieczki. Natomiast w tym przedziale Bogdan miał wrażenie, że jest zamknięty w ruchomej celi, gdzie nie ma już żadnej szansy. Gdy wczoraj zaczęli przechodzącego mężczyznę, losy swe oddali do dyspozycji sił istniejących poza nimi, z własnego sprytu, rozsądku i wytrwałości zrezygnowali na rzecz przypadku. Pociąg szybciej może niósł ich ku wolności, ale zredukowali własną rolę w tej ucieczce. To było nieznośne. Czuł się bezsilny, choć na brzuchu ciążyło żelazo parabellum. Korzystanie z tego wagonu bez odpowiednich dokumentów było hazardem.

Wczoraj na drodze krzyknął do nieznanego mężczyzny: „Proszę pana, chciałem prosić...” Tamten zareagował strachem: zakrył, sobie usta, przerażony głośnym polskim słowem, rozejrzał się po drodze, czy aby nikogo nie ma w pobliżu. Ktoś mógł usłyszeć i zadenuncjować. Nie było nikogo. Mężczyzna wyszeptał:

– O co chodzi?

Chłopak milczał, podniecony przygodą. Bogdan szybko wyrzucał z siebie: zbiegli z obozu jenieckiego, potrzebują jedzenia, dwóch cywilnych ubrań, za to odstąpią znakomite, można przefarbować, brytyjskie spodnie, swetry, i wreszcie: jak mają iść dalej? Usłyszawszy to wyznanie, mężczyzna momentalnie dał nura w las, w krzaki, i pociągnął za sobą syna. Tam mogli rozmawiać bezpiecznie. Bogdan był zdecydowany: jeżeli wieśniak okaże cię wrogości, sterroryzują pistoletem jego i chłopaka, zwiążą i zakneblują im usta, porzucą w lesie, by ktoś

⁶ *Für Polen* (niem.) – dla Polaków.

mógł ich uwolnić dopiero wówczas, gdy zbiegowie będą daleko. Tamten jednak słuchał przyjaźnie; bał się, ale nie odmawiał pomocy. Tłumaczył, że do stacji kolejowej dość blisko, trzeba poczekać w lesie, rano kupić bilety do Łodzi, kasjer o nic nie zapyta, nic mu na tym nie zależy. W pociągu bywają rewizje, ale nie zawsze i przede wszystkim w wagonie *für Polen*, którego należy unikać. Umówił się z nimi, że po południu syn – wskazał chłopca – podrzuci w lesie, w tym samym miejscu, paczkę z ubraniami i żywnością. Nie powinni się już więcej spotykać. Spodnie i wojskowe swetry chętnie wezmą. Niech zostawią zwinięte w tobołek, też w tym miejscu. Sam je zabierze. Bogdan zapytał wprost, czy z tą paczką nie przyjdzie czasem żandarm niemiecki. Chłop obruszył się przytomnie:

– A jak pan mnie na drodze zaczepiał, to pan nie ryzykował? Ciągłe musi pan ryzykować. Ja też ryzykuję przysyłając tu chłopaka. Znam was? Ryzykuję dając panu adres mego znajomego. Panie, ryzykujemy od trzech lat. Boimy się jedni drugich i ryzykujemy.

Bogdan zrozumiał: nie wolno zadawać głupich pytań. Chłop z synem ostrożnie wyjrżeli na drogę – pusta. Szybko powędrowali w swoją stronę. Bogdan wrócił do towarzyszy. Przyczajeni podsłuchiwali ich rozmowę, gotowi w każdej chwili skoczyć na pomoc. Potem długo wszyscy czterej leżeli głodni, pełni obaw, że jednak chłop może ich wydać lub po prostu zawieść. Strach jest uczuciem bardzo zrozumiałym. Obiecał im wszystko, bo się ich bał. Nic nie przyśle, bo tamtych boi się bardziej. Adres za Łodzią – rozważali – może być wymyślony, fikcyjny. Oni musieli ryzykować, on ryzykować nie potrzebował. Godziny były długie. Przed wieczorem Bogdan ułożył się na czatach i odbezpieczył parabellum. Dostrzegł podchodzącego chłopca, który – rozglądając się na wszystkie strony – wsunął się w krzaki, rzucił paczkę i popędził z powrotem. Bogdan nie ruszał się ze swojej czujki, gdy tamci rozwijali paczkę. Dwie stare marynarki, dwie pary starych spodni, dostatecznie dużych, dwukilowy bochenek chleba własnego wypieku, osełka masła, pęto kiełbasy, też domowej, biały ser. Uczta królów.

Świat od razu stał się piękny. Nabrali zuchwałej wesołości. Na zmianę przespali prawie całą noc. Rano bez żadnych przeszkód na pobliskiej stacji kupili bilety do Łodzi.

Zwalnianie pociągu przed każdą stacją wznagało skurcz serca – za chwilę mogą wsiąść żandarmi. Odjazd ze stacji na jakiś czas wyzwał ulgę – wygrana kilkunastu kilometrów i kilkunastu minut. Huśtawka niedobrej emocji. Bogdan wiedział, że te reakcje są pozbawione sensu, że powinien się opanować. Nie umiał. Patrzył na Karola: czy nie zdradzi go to cywilne, źle dopasowane ubranie?

– *Ausweise, bitte!*⁷

W rozsuniętych drzwiach przedziału stało dwóch cywilów, za nimi konduktorka, która już przedtem zdążyła sprawdzić bilety.

Bogdan i Karol spojrzeli sobie prosto w oczy.

Kobiety skwapliwie szukały w torebkach. Żołnierz obudził się i automatycznym gestem wyciągnął kartę urlopową. Kolejarz spokojnie wręczył małą legitymację. Bogdan odruchem samoobrony – odwlec katastrofę o sekundę, może coś się zdarzy! – sięgnął do tylnej kieszeni spodni, jak mężczyzna szukający portfela. Karol nie poruszył się, jakby nie słyszał wezwania i nie widział wchodzących.

– *Ihr Ausweis!*⁸ – cywil, ignorując podsuwane mu z czterech stron dokumenty, dotknął ramienia nieruchomego pasażera.

Bogdan zastanawiał się: strzelać czy jeszcze czekać?

Karol ocknął się. Powoli wyjął z kieszeni brązowy prostokącik z tektury.

– *Dokumente!* – warknął cywil i pogardliwie odtrącił bilet.

Karol nie reagował. Milczał.

Mały przedział nagle naładował się prądem o najwyższym napięciu. Uwaga skoncentro-

⁷ *Ausweise, bitte!* (*niem.*) – Proszę dokumenty!

⁸ *Ihr Ausweis!* (*niem.*) – Pana dowód!

wała się na nieruchomym mężczyźnie. Karol uśmiechał się lekko, czyżby drwiąco?

– *Wer sind Sie?*⁹ – krzyknął cywil.

– *I am an English soldier*¹⁰ – zostało to wymówione głośno i spokojnie. Wszyscy od razu zrozumieli.

Młody niemiecki żołnierz aż się pochylił do przodu – po raz pierwszy zobaczył wroga. Kobieta pisnęła. Bogdan wysunął dłoń z tylnej kieszeni, by sięgnąć po parabellum. Tamtych jest dwóch, obaj na pewno uzbrojeni, uzbrojony jest także żołnierz...

Dwaj gestapowcy jeszcze stali zaskoczeni. To był moment. Jeden z nich sięgnął po broń...

Karol nagle uderzył. Krótkim, boksterskim ciosem pięści, prosto w szczękę. Sięgający po broń odpadł do tyłu, w ramiona towarzysza, któremu zablokował pierwsze ruchy. Anglik błyskawicznie wskoczył na ławkę, oparł nogę na stoliczku, kopnął w rękę żołnierzyka, szczupakiem przesadził okno, zgrabnie zwinąwszy się w powietrzu, i stoczył się po trawiastym, niewysokim nasypie.

Żołnierz pociągnął za hamulec. Gestapowiec, odrzuciwszy na ławkę kontuzjowanego kolegę, dopadł okna i na oślep strzelał za Karolem, już pozostającym w tyle, już mknącym przez pola. Zawtórowały strzały z innych przedziałów. Bogdan zrozumiał: pociąg pełen uzbrojonych... Gwałtowne hamowanie rzuciło na siebie pasażerów. Gestapowiec i żołnierz wypadli z przedziału na korytarz, do wyjścia. Huczał niemiecki gardłowy wrzask.

Poderwał się za nimi. Działał odruchowo. Dopiero znacznie później przy pomocy rozsądku próbował zweryfikować swe decyzje. Dlaczego nie strzelił do Niemca? Skoro Karol nie zdradził ich wspólnoty, nie trzeba było jej zdradzać samemu. Tamten już przepadł, osiem kul w parabellum nie uratowałyby Karola. Ale oni trzej mogą jeszcze się uratować. Chciał zniknąć z przedziału, bał się dalszej rewizji. Byle nie zostać razem z oszołomionym gestapowcem, który wkrótce się ocknie. Co dzieje się z Ryszardem i Piotrem? Pragnął zagubić się w tłumie rozgorączkowanych Niemców.

Z wagonu wypadli na nasyp. Gromada mężczyzn już gnała za uciekającym. Strzelali za nim. Kulał. Triumfalnie krzyczeli, że dostał w nogę. Dopadli go – z nasypu widoczny był finał polowania. Tłum mężczyzn i kobiet rozplomienił się, krzyczeli, że to szpieg jakiś i trzeba go zabić! Wśród stojących Bogdan dojrzał obu przyjaciół. Ryszard lekko pokiwał głową. Aprobował ostrożność kolegi.

Ścigający wracali. Rannego wlekli pod ręce. Nie ułatwiał im zadania, nie chciał iść, a był ciężki. Krew spływała mu po ubraniu. Widząc przyjaciół, nawet nie ruszył powieką. Zrozumieli, iż akceptował ich zachowanie: lepiej, gdy wpada jeden tylko niż wszyscy czterej.

Dokoła wołano: szpieg, dywersant, Anglik, morderca! Pewnie szykował zamach, bo jest w cywilu. *Gott strafe England!*¹¹ Garstkę podróżnych rozjątrzała wspólnie przeżywana emocja. Jedni podniecali drugich. Gestapowiec założył Karolowi kajdanki. Konduktorka usunęła podróżnych z przedziału, zamienionego na areszt. Karola posadzili w rogu, naprzeciw gestapowic z wycelowanym pistoletem, obok jakiś oficer Wehrmachtu oraz żołnierz, koło którego odkryto Anglika, więc poczuwał się do ochotniczej warty. Drugi gestapowiec powoli odzykiwał przytomność.

Pociąg ruszył.

Pod oszklonymi drzwiami zaimprovizowanego aresztu rajcowali pasażerowie. Sprawdzanie dokumentów zostało przerwane. Bogdan zamrugał powiekami do Ryszarda; na długo odwrócił się miecz gestapo? Nie byli przecież bezpieczni. Tamci ściągają posiłki, urzędzą systematyczną obławę w całym pociągu. Wskoczyć – to zwrócić na siebie uwagę, która ich dotąd omijała. Bogdan stał na korytarzu przy otwartym oknie. Trzy metry dalej stał Piotr. Na końcu wagonu – Ryszard. Instynktownie uznali, że tu, wśród rozgadanych Niemców, będą

⁹ *Wer sind Sie?* (niem.) – Kim pan jest?

¹⁰ *I am an English soldier* (ang.) – Jestem angielskim żołnierzem.

¹¹ *Gott strafe England!* (niem.) – Niech Bóg ukarze Anglię!

bezpieczniejsi niż w przedziałach.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Bogdan wyrzwał przez okno. Na pustym peronie gramoliło się starsze małżeństwo z dużą ilością walizek. Konduktorka tłumaczyła coś zawiadowcy. Bogdan popatrzył na zegarek: gdyby nie spóźnienie, za pół godziny powinni być w Łodzi.

Leżeli rozrzućeni tyralierą w parometrych odległościach. Krzaki były skąpe i Bogdan miał łaskotliwe uczucie, że któryś z granicznych strażników musi dostrzec ich ciemne postacie, przyczajone na wilgotnawej, nieco grząskiej ziemi. Gdy wyruszyli ze wsi, przewodnik nauczył ich nieskomplikowanego kodu znaków dawanych ręką: musieli śledzić jego ruchy i słuchać bezwarunkowo. Dał sygnał „padnij” i choć minęło już wiele minut, nie poderwał ich do nowego marszu. Niebezpieczeństwo wykrycia musiało być realne, prowadzący zwiększył ostrożność. Nim zapadli w krzaki, wskazał przed siebie i wyjaśnił z pozerską obojętnością: „Generalne Gubernatorstwo – zatoczył ręką – to już tamten niedaleki las”. „Co, już?...” – myślał Bogdan kuląc się pod krzakiem. Po drugiej stronie zielonej granicy zawsze winna być wolność, wyzwolenie, nadzieja. A tam... Po jednej i drugiej stronie tej zielonej granicy gestapo, z obu stron pilnują ci sami esesmani. Komu więc służy ta granica? Zdążył się już zorientować: przemysł towarów doskonale opłaca się mieszkańcom pobliskich wsi. W nocy, zanim opuścili chatę, przewodnik położył przed nimi trzy niewielkie woreczki, tasiemkami przymocowane do pleców – noski! Nazwę tę Bogdan usłyszał po raz pierwszy; wytłumaczyli mu, że to stary przemysłniczy termin, używany od lat. Domyślił się: od słowa „nosić”. Poprosili o przysługę, grzeczność za grzeczność, dzięki temu dzisiejszej nocy przemysłnicy przerzucą dwa razy więcej towaru, niż gdyby szli sami. Zgodzili się, nie mogąc zresztą w inny sposób wynagrodzić tych patriotycznie czynnych szmuglerów. Każdy wziął noskę – były ciężkie, nabite twardym towarem.

Do samej Łodzi koleją jednak nie dojechali. Ryszard, przepychając się korytarzem, szepnął Bogdanowi, że w mieście esesmani już pewnie czekają na ten pociąg, lepiej wyskoczyć wcześniej. Wysiedli na podmiejskiej letniskowej stacyjce; drewniane wille były skryte w sosnowym lesie. Poszli na spacer w pełnym słonecznym dniu, aż sami zdumieni swą śmiałością. Trochę ludzi kręciło się po alejkach. W rozkładzie jazdy wypatrzyli, że od Łodzi dzieliło ich kilka niezbyt oddalonych przystanków. Nie przy torze kolejowym, ale sąsiednimi uliczkami i ścieżkami doszli do drugiej, potem do trzeciej stacyjki. Nadjechał pociąg podmiejski – wsiedli. Na dworcu w Łodzi była już cisza.

Wieś, której nazwę chłop podał im wczoraj, znajdowała się nie opodal Kuluszek. Ryszard znał Łódź sprzed wojny, ale nikt z jego krewnych teraz już tu nie mieszkał. Musieli przejść przez całe miasto, by znaleźć się na innym dworcu, skąd odjeżdżały pociągi do Kuluszek.

– Koło tamtego dworca prędzej złapiemy kogoś, kto nam wyjaśni to, czego zapomnieliśmy dowiedzieć się od chłopca: jak trafić do wsi... – tłumaczył Ryszard Bogdanowi, który rozważał, czy należy z Łodzi wyjechać koleją.

Miasto upstrzone było swastykami. Czerwone płachty, białe koła, czarne, przełamane krzyże. Zwieszały się z budynków, łopotwały na masztach. Ulice brudniejsze, smutniejsze niż przed wojną – tak się zdawało Ryszardowi. Prowadził niezbyt pewnie, zastanawiał się, wybierał przecznice – nie chcieli nikogo pytać. Nie rozmawiali ze sobą – dokoła słyszeli tylko język niemiecki. Niemieckie plakaty, szyldy, informacje. Wysokie kamienice, wąskie uliczki, tłumne bardzo – miejscami przepychali się z trudem. Aż zatrzymała ich kolumna sunąca środkiem jezdni: czwórkami maszerowali mężczyźni, chłopcy uzbrojeni w łopaty i kilofy, każdy miał pięcioramienną gwiazdę naszytą na ubraniu. Esesmani poszczekiwali. Kolumna szła z getta. Trzej uciekinierzy stanęli w niemym przerażeniu, po raz pierwszy ujrzeni napiętnowanych ludzi. Ryszard oprzytomniał, lekko trącił łokciem przyjaciela – chodźmy! Niebezpiecznie było przyglądać się, ludzie szybko przechodzili, starając się nawet nie patrzeć, jakby odwracali oczy przygnębieni cudzym nieszczęściem.

Wreszcie dotarli do ulicy najwęższej i najruchliwszej, do Piotrkowskiej przemianowanej

na ulicę Hitlera. Tutaj Ryszard orientował się już dobrze. Labiryntem wąskich przejść przeszli do ciasnego, brzydkiego, drugiego dworca Łodzi. Długo kręcili się w tłoku, aż upatrzili sobie starszą kobietę zakutaną chustami – Niemki nosiły się inaczej. Bogdan zaczął ją:

– *Bitte, wollen Sie mir sagen*¹²...

Zatrzepotała bezradnie rękami i zabalgotała coś przerażona: nie umie mówić po niemiecku. Przeszli więc na polski: gdzie jest ta wieś? Przy jakiej stacji? Popatrzyła na nich badawczo i krótko, sucho powiedziała, gdzie powinni wysiąść z pociągu, i już jej nie było. Znikła, skryła się momentalnie.

Zastanawiali się jednak długo, ostrożność walczyła z pokusą najszybszego dotarcia na miejsce.

– Koniecznie musimy stać na korytarzu. Gdybyśmy tamtych dostrzegli wcześniej, zdążylibyśmy wysiąść... – tłumaczył Bogdan.

– Dwa razy w ciągu jednego dnia, nie, taki pech... nie... – Ryszard odwoływał się do matematyki przypadków.

– Na szosie można wpaść tak samo... – wzajemnie uspokajali swoje obawy. Raz włączeni w system komunikacji, nie mieli ochoty wracać na leśny, pieszny trakt powolnej wędrówki.

Wreszcie kupili bilety do stacji poprzedzającej tę, na której kobieta kazała im wysiąść. Kompromis rozsądku i zmęczenia.

Pociąg był bardzo zatłoczony. W kilkanaście minut dojechali bez żadnych przeszkód. Stamtąd już ruszyli pieszo. Trafili na drogowskaz: trzy kilometry!

Zmierzchało, byli piekielnie zmęczeni – taki dzień! Ujrzeni tę wieś. Ryszard z Piotrem skręcili w las, Bogdan poszedł sam. Uparł się, że i tym razem pójdzie; chciał tego ryzyka, jakby pragnąc zrehabilitować się przed samym sobą za bierność okazaną przy aresztowaniu Karola. Stale myślał o jednym: „Jak mogłem? Czy mogłem inaczej? Lecz co by to dało?” Zapytał dzieciaka:

– Gdzie mieszka Wojciech Kuleja? – to nazwisko wyklepał sobie w pamięci.

Stary chłop siedział w chacie. Usłyszawszy powołanie się na dawnego, dalekiego – a może bardzo bliskiego? – przyjaciela, na Józka „od Walerki” – to hasło podchorąży dobrze zapamiętał – zapytał tylko:

– Ilu was?

– Trzech!

– W sam raz – mruknął.

„Gdyby nas było czterech – pomyślał Bogdan – byłoby już za wiele? Ofiara Karola zdecydowała o naszym ratunku?” Przeniknął go dreszcz. Był już bardzo zmęczony i bardzo zdenerwowany.

Kuleja okazał się tylko pierwszym pośrednikiem. Chłopak od sąsiadów zaprowadził Bogdana dalej, do domu na samym końcu wsi. Milcząca kobieta kazała mu bardzo długo czekać. Niepokoił się o przyjaciół pozostawionych w lesie; a jak oni musieli się niepokoić? Czy nie umkną sądząc, że jego już złapało gestapo?... Wreszcie pojawił się jakiś dryblas i chyłkiem przeprowadził go do trzeciego z kolei obejścia. Tam Bogdan zdradził się ze swym lękiem o kolegów. Poszli razem, znaleźli Ryszarda i Piotra bardzo już przerażonych. Wrócili do wsi i jeszcze dwukrotnie zmieniali zagrody, coraz inni przewodnicy kluczyli z nimi w ciemności, aż wreszcie wepchnięto ich na jakiś niski strych i zatrzaśnięto kłódkę. Wyrostek przez całą noc kręcił się na podwórzu, trzymając wartę. Pilnowano ich! Piotr milczał jak posąg, drzemał, nie pojmując dokładnie sensu tej przygody. Ale Ryszard i Bogdan kręcili się niespokojnie. Wezwą niemiecką policję? Nad ranem pojawił się znany już Bogdanowi dryblas.

– Cały dzień musicie tutaj siedzieć! – Podał im koszyk z jedzeniem. – Nie ruszać się. Wieczorem pójdziemy do G. G.

¹² *Bitte, wollen Sie...* (*niem.*) – Przepraszam, czy zechce mi pani powiedzieć...

Wczesną nocą, po dobrej kolacji, w chacie o starannie zaciemnionych oknach rosły mężczyzna położył przed nimi trzy noski.

– A gdyby nas było czterech? – zapytał Bogdan mocując się z tasiemkami.

– Dałbym czwarty woreczek, ale pięciu to już duży pociąg.

Jeden za drugim szli szybkimi, czujnymi krokami. Jak pierwszej nocy po ucieczce z obozu. Bogdan znów myślał o Karolu...

Prowadził ich rosły mężczyzna, karawanę zamykał Jacek, jego młodzieńki pomocnik. Piotra wzięli w sam środek. Przemykali się opłotkami, zatrzymywali pod stodołami, przypadali na miedzach. Bogdan idący tuż za przewodnikiem odnosił wrażenie sztucznego celebrowania przemysłowego ceremoniału. Zdawało mu się, że kręcą się w kółko, że rozpoznaje te same krzaki. „Gdy idą sami – myślał nieufnie – pewnie posuwają się szybciej i prościej, nie potrzebują imponować żółtodziobom; teraz podbijają cenę swych usług, nawet cenę moralną, granica pewnie jest łatwiejsza, niż chcą w nas wmówić.” I zaraz sam siebie karmił za te myśli podejrzliwe i lekkomyślne; może dlatego, że zbyt prędko dali się zwieść pozorom łatwości, Karol został ranny i aresztowany? Ale czyż mogli nie jechać pociągiem? Przedłużać marsz w nieskończoność, i tak ryzykując na każdym kroku?

Z opłotków wpadli w przejrzysty las, pochyleni biegli wzdłuż kolejowego żywopłotu. Nie napotkali żadnego strażnika, ale przemysłownik na przedzie gestykułował jak dyrygent orkiestry symfonicznej; to przyspieszał marsz, to zwalniał, rzucał ich w pył mijanych ścieżek lub podrywał z miękkiej murawy.

Szli już ponad godzinę, gdy przewodnik zarządził tyralierę, co trzy metry. Rozciągnęli się. Wtedy pokazał Gubernatorstwo i zaraz przydusił ich do ziemi.

Leżeli więc w wątych krzaczkach, mając przed sobą, jak scenę, szerokie moze na dwieście metrów rżysko, kończące się linią lasu.

Przewodnik instruował Bogdana cichym szeptem:

– Syknę „pierwszy!”, przekazać do Jacka, niech leci. On wie, jak i dokąd. Syknę „drugi”, niech leci drugi od końca...

– Ryszard – uściślił Bogdan.

– ...niech gna przez pole, jak Jacek. Potem trzeci, czwarty, to wy... Pędzić na złamanie karku.

Bogdan przekazał instrukcję Piotrowi, Piotr Ryszardowi.

Więc już – czekali na skok, który nie miał być ostateczny. Linia lasu oznaczała tylko stopień trudności.

– Pierwszy! – syknął przewodnik.

Bogdan podał dalej i spojrzał w niebo: chmury! Jacek wyskoczył lekko pochylony, kuląc się w biegu do ziemi, szybko i zgrabnie pędził przez szerokie pole. Biegł w zupełnej ciszy. Dopadł lasu i zniknął.

– Drugi! – zakomenderował szef.

Ryszard gnał przez pole. Bogdan poczuł ucisk w piersi. Czyż strażnik może nie dostrzec tak wyraźnej, ruchomej sylwetki? Zamknął oczy. Dopiero teraz, gdy biegł Ryszard, zląkł się naprawdę. Otworzył oczy, popatrzył – przeniknęło go zimno. Nie ma już Ryszarda, nic się nie porusza na polu. Penetrował pustą przestrzeń i z najwyższym trudem dojrzał szarą pałeczkę wtopioną w tło, już znikającą w lesie.

– Trzeci!

– *You!*¹³ – warknął Bogdan i Anglik wystartował. Szybko osiągnął przeciwległy brzeg.

– Czwarty! – sygnały rozlegały się jeden po drugim.

Przy wyskoku potknął się. Zły znak. Potykał się co krok. Ziemia kleiła się do butów, więziła stopy. Nie dobiegnie – serce waliło, czuł te uderzenia. Tamci pędzili lekko i zgrabnie,

¹³ *You!* (ang.) – Ty!

jemu idzie to z trudem. Jemu, mistrzowi uczelnianych sprintów. Czy trafią go od razu, czy będą ostrzeliwać dookoła? Miał pełną świadomość idiotyzmu takich myśli, ale nie mógł się od nich uwolnić... Las był coraz bliżej. Już mu łatwiej. Nagle znalazł się wśród drzew.

– *Et bien...* – usłyszał głos Ryszarda. Nie widział go, płatki latały mu przed oczami, ale tamten gadał: – Straszny bieg! Myślałem, że utonę w tej glinie, wczoraj był tutaj deszcz...

Z pola wyskoczył przewodnik. Krzyknął półgłosem:

– No, Gen-gub! Można gadać po polsku i żyć po świńsku. Tu też walą i kopia. Jeszcze godzina marszu, jeszcze nie koniec...

– *Et bien!* – Bogdan jak echo odpowiedział Ryszardowi. – *Et bien!...*

W piekielnym kotle

– Chwalić Boga, minęło spokojnie... – starszy mężczyzna wstał ze swego miejsca. Ta kobieta przeżegnała się. Krótki pociąg hamował z wizgotem.

– Nareszcie – szepnął Ryszard. Razem z tłumem pasażerów wydostali się z trzech brązowych wagoników EKD prosto między wysokie kamienice. Na ulicy gwar, tłok...

– Nowogrodzka – półgłosem powiedział Bogdan, zdumiony faktem, że wszystko wygląda niemal tak samo jak wtedy, gdy stąd uciekał. Wtedy były jesienne, deszczowe dni, teraz ranek jest słoneczny i wydaje się, że nic poza tym nie uległo zmianie.

Byli więc w domu. Osiągnęli cel swej mozolnej drogi, w tej chwili niezdolni nawet do pełnego przejścia się tym sukcesem. Jeszcze nie pokonali wszystkich przeszkód, ale już byli w domu. Czuli ogromne wzruszenie.

Przemytnicy podprowadzili ich daleko w kierunku Skierniewic. Ostrzegli przed warszawskim Dworcem Głównym, na którym nieustannie poszukiwano przemytników, szmuglerów i innych gospodarczych nieprzyjaciół Trzeciej Rzeszy. Poradzili, by w Grodzisku przesiąść się do Elektrycznej Kolei Dojazdowej – miało to zwiększyć szansę bezpiecznego osiągnięcia miasta. Bogdan znał tę staroświecką kolejkę, przed wojną często jeździł nią do Podkowy Leśnej, miał tam przyjaciół. I właśnie od Podkowy zaczęły się strachy. Tresura terroru zrobiła już swoje. Pasażerowie tkwili w oknach, by z dala dojrzeć, czy na przystanku nie kręcą się zielonkawe mundury żandarmów. Kobiety i mężczyźni, dziewczęta i chłopcy wołali z cicha: „Nie ma! Nie ma ich!” I zaraz opadało napięcie w całym wagonie. Lecz gdy tylko pociąg ruszał, napięcie znowu rosło, potężniało, zbiorowo odmawiano litanie okropności, które mogły czyhać na następnej stacji. Chórem wyliczano przypadki z ostatnich dni: wczoraj zabrali w Komorowie, onegdaj otoczyli w Pruszkowie, niedawno wygarnęli wszystkich już na samej granicy miasta, w Szczęśliwicach. Szczelna, nieuchronna kurtyna bezustannego polowania odgradzała Warszawę od dalszych wsi i osiedli, a oni hazardowali na przekór losowi, nieustannie ryzykowali, próbowali dostać się do obleżonego miasta, by tam załatwić swe sprawy i działać. W wypchanych workach i teczkach, w kieszeniach i pod sukienkami przemycali mięso i słoninę, by wbrew najsurowszym zakazom okupanta sprzedawać je mieszkańcom Warszawy, którzy nie chcieli umierać z głodu żywiąc się produktami przydzielanymi przez Niemców na kartki. Nie każdy pociąg był przeszukiwany, lecz w każdym ludzie przeżywali strach. I strach ten przewyciężali na przekór okrutnej, krwawej przygodzie. Musieli żyć.

Trzej uciekinierzy zerkali na siebie, nie śmieli nic mówić. Nawet Piotr pojmował sytuację. Patrzył na Bogdana, patrzył na Ryszarda – bezradnie tylko przymykali powieki. Jeżeli to miała być droga bardziej bezpieczna, jaka była tamta, wiodąca przez Dworzec Główny? Pociąg wjeżdżał już w ulice miasta. Wysoka kamienica przecięta była bombą od dachu do piwnic, stropy wisiały na żelaznych prętach jak odrzucone kartki kalendarza, odsłaniając ściany, przy których tkwiły jakby w powietrzu piece, wanny, muszle klozetowe.

– Nareszcie... – powtórzył Ryszard, gdy na środku Nowogrodzkiej stanęli w ruchliwym, przepychającym się tłumie. Przed nimi, na ścianie domu przylepiony był afisz z czarnym orłem hitlerowskim. Plakat groził śmiercią za to, co wszyscy dookoła czynili, nie mogąc przestać żyć, zarabiać, jeść, pracować, być sobą. W bramie przekupki sprzedawały bułki z najbielszej mąki – trzej młodzi ludzie nie wiedzieli jeszcze, że jest to karane śmiercią. W tłumie krę-

cili się niemieccy żołnierze, niemieccy kolejarze i niemieckie umundurowane dziewczyny, czujne oczy przekupniów wypatrywały jednak żandarmów: dopiero na ich widok zrywał się popłoch.

Ruszyli w stronę Marszałkowskiej, prowadząc między sobą Piotra.

Było jeszcze dość wcześnie. Mieszkańcy powoli wysuwali się z domów. Rozglądali się czujnie, czy zza rogu nie wyskoczy samochód pełen łapaczy, czy nie ukaże się patrol esesmanów. Kobiety, jak to rano, ubrane byle jak, biegły do pobliskich sklepików. Mężczyźni czekali na przystankach tramwajowych. Powoli telepały się chłopskie furmanki. Uciekinierzy dostrzegli pierwszą rykszę: rowerzysta toczył przed sobą fotel z kobietą obstawioną pudełkami – poranny transport ciastek domowego wypieku.

W milczeniu przebyli główną ulicę, okrążyli place; ruch był coraz większy. Piotr milczał. Oni witali się ze swym miastem. Domy i ulice były te same, lecz ludzie inaczej się poruszali. Ani Bogdan, ani Ryszard nie uchwycili istoty tej odmienności, ale wyczuwali różnicę. Kroków? Gestów? Strojów?

Skręcili w boczną uliczkę, szli długo, dotarli do dzielnicy już niemal wiejskiej, gdzie chodnik gubił się w murawie, a niewielkie domki znikwały wśród drzew.

– Jesteśmy! – triumfalnie powiedział Ryszard.

Jeszcze wczoraj, odpoczywając w przemytniczej melinie, zdecydowali, że najpierw pójdą do jego rodziców, gdyż tam, w domku na uboczu, łatwiej będzie ukryć Piotra – tak im się wydawało – i poprzez brata i siostrę skontaktować się z komórkami polskiej konspiracji. Jej przecież mieli powierzyć dalszy los Anglika. Swój własny również.

Pokazał im niewielki domek w odległej perspektywie uliczki.

– Poczekajcie. Pokręćcie się tutaj. Zaraz wrócę.

– Tylko nie całuj się zbyt długo... – Bogdan też chciał już być u swoich.

Ryszard oddalił się prędko, skręcił w krzaki, za płot. Bogdan spojrzął na zegarek: dwadzieścia pięć po siódmej.

Wolno ruszyli z powrotem. Przeszli sto metrów. Znowu z powrotem. Byli sami na tej ulicy. Bogdan miał wrażenie, że z okien przesłoniętych drzewami obserwują ich jacyś ludzie. Dlaczego Ryszard nie wraca? Właściwie dlaczego ciągnął go aż tutaj? Równie dobrze sam mógł przyprowadzić Piotra – a on byłby już teraz w domu. Dokładnie – i dopiero teraz – wyobraził sobie moment powitania: okrzyk matki, gest ojca... Czy ojca zastałby jeszcze w domu, czy może już wyszedł do biura?

Piotr spojrzął na niego. Dlaczego Ryszard nie wraca?

Znowu ruszyli z powrotem, doszli aż do trzeciej przecznicy. Nieliczni przechodnie nie zwracali na nich uwagi. Bogdan popatrzył na zegarek. Już dwadzieścia minut. Z daleka gapili się na płot, za którym zniknął przyjaciel i spoza którego za chwilę wyskoczy.

Zaszumiało auto. Nadjeżdżało gdzieś z tyłu. Dostrzegli kobietę, która gwałtownie uskokczyła za furtkę. Dwaj młodzi mężczyźni tkwili nieporuszeni – jeszcze zbyt słabo obeznani z taktyką okupacyjnej ulicy. Auto, duża, czarna limuzyna z literami „WH”, minęło ich i zatrzymało się przed ogródkiem rodziców Ryszarda.

Patrzyli nie ruszając się.

Patrzyli – spośród drzew otaczających domek wyszło trzech mężczyzn. Ryszard szedł pierwszy, z rękami uniesionymi do góry. Prowadzono go pod pistoletem. Nie zwrócił głowy ani w lewo, ani w prawo. Zniknął w czarnym pudle auta, popchnięty lufą rewolweru, gdy przez sekundę jakby się ociągał.

Patrzyli – zza płotu wysunęło się dwoje starszych ludzi, rozpaczliwymi gestami żegnających syna, z którym nawet nie zdążyli się przywitać.

Auto ruszyło, zawróciło, potoczyło się znowu w ich stronę.

Piotr stał spokojnie – ucieczka byłaby bez sensu, tamci mają broń maszynową.

Bogdan stał – powinien sięgnąć po parabellum, władować cały zapas kul w szwabskie po-

licyjne gęby. Powinien...

Nie mógł.

Był zaskoczony, rozbrojony, sparaliżowany.

Powinien strzelać – nie mógł nawet sięgnąć po broń.

Auto miało ich, nabierając szybkości. Ryszard siedział między dwoma cywilami. Nie poruszył głową. Jak Karol!

– Czekali na niego – po angielsku, cichutko szepnął Piotr. – Do gestapo depeszowano już z oflagu...

Uciekali, wycofywali się z tej uliczki, z tej dzielnicy. Bogdan urodził się i wychował w Warszawie, tutaj przeżył oblężenie, stąd uciekał i zdawało mu się, iż odnajduje to miasto na każdym kroku: bardziej zszarzałe, bardziej wyblakłe, ale to samo. Idąc razem z Ryszardem odnajdywali siebie w tym mieście. Półgłośne okrzyki – nazwy ulic i placów – padały jak hasło i odzew w grze powitania, w której Piotr nie mógł brać udziału. Lecz teraz, po stracie Ryszarda, Warszawa nagle stała mu się najzupełniej obca. Musiał prowadzić Piotra, gdyż tylko on był jego przewodnikiem w tym dziwnym, wrogim świecie, lecz sam przecież najbardziej potrzebował przewodnika. Był bezradny. Strata Ryszarda to cios dotkliwszy niż strata Karola. Nie tylko dlatego, że Ryszard był mu przyjacielem. Tamto wszystko rozegrało się w obcym środowisku, wśród niemieckich okrzyków, w niemieckim pociągu. Na pełnym morzu. Teraz byli już w Warszawie. Na brzegu. Dookoła sami Polacy – i nikt nie może pomóc. Tamto było przypadkiem, tu schwymano upatrzonogo. Tam mogło stać się inaczej, tutaj czekali na Ryszarda, więc czekają i na niego. Na pewno czekają w mieszkaniu rodziców, siedzą ze swymi pistoletami między matką i ojcem. Nie spuścili nawet psów gończych, od razu wysłali depesze i urządzili zasadzkę. Są na tropie, założyli wnyki, mają ich na muszce.

A on nie strzelił...

Ani wtedy, gdy łapali Karola. Ani wtedy, gdy aresztowali Ryszarda. Nie strzelił.

Z każdej przecznicy może wychylić się żandarm z karabinem i krzyknąć: *Hände hoch!*¹⁴

A on nie strzelił...

Miasto było obce. Inne są bowiem ulice mijane z bezpieczną pewnością, a inne te, które grożą.

Dokąd ma prowadzić Piotra? Przed kilkunastu miesiącami miał tu dziesiątki przyjaciół. Żegnał ich wtedy, nie krępując się żadną tajemnicą: idę tam! do widzenia. Czy wolno mu teraz pójść do tych samych ludzi i równie otwarcie powiedzieć: przyszedłem, uciekłem, jestem! Czy przyjaciele pozostali przyjaciółmi? Jeszcze w Coëtquidan przychodziły wieści z Warszawy, przyjeżdżali ci, którzy po nim opuścili miasto, czytywał w polskiej gazecie: konspiracja w każdym mieszkaniu, terror wszędzie! Terror już odczuł. Czy ma więc prawo pukać do jakichkolwiek drzwi?

Budził się w nim instynkt ostrożności. Dopiero teraz? Nie, już wtedy, gdy zza drutów pędził do lasu. Potęgował się w wędrówce przez wrogi kraj, w podróży koleją, w przemysłowym skoku. Teraz był niezmiernie przydatny.

Szli skrajem chodnika jeden obok drugiego. Dzwoniły tramwaje obwieszane pasażerami. Ryksze zastępowały taksówki. Rzadko przejeżdżał samochód, wojskowy lub ciężarowy. Ludzie płynęli powolnym nurtem.

Piotr szturchnął łokciem Bogdana. Sto metrów przed nimi żandarmi legitymowali przechodniów. Obaj uciekinierzy zwolnili kroku. Nie było żadnej bramy, do której mogliby się schować. Nie było sklepu ani przecznicy. Mur. Pustawy chodnik. Zorientowali się, że dwaj żandarmi zajęci są swą ofiarą, inni przechodnie mijali ich nie zatrzymywani. Więc należy przejść z boku, gdy tamci kogoś legitymują. Jeszcze bardziej zwolnili kroku – to słuszniejsze niż paniczna ucieczka. Szli prosto na Niemców, tak wolno, że tamci właśnie komuś oddali

¹⁴ *H ä n d e h o c h !* (niem.) – Ręce do góry!

dokument i zatrzymali następnych, mężczyznę i kobietę. Wtedy, bez słowa porozumienia, nagle przyspieszyli kroku i przeszli... Odetchnęli. Pierwsze zwycięstwo sprytu nad brutalnością. Bogdan poczuł rozterkę: tak innych podstawiać za siebie? A może tamci mają papiery w porządku?

Karol... Ryszard... obcy przechodnie...

Kto jeszcze okupi jego wolność?

Nie wiedział, dokąd należało iść, ale ciągnął w jedną stronę. Myślał, szukał w pamięci zupełnie innych ludzi i innych adresów, ale szedł w jedną tylko stronę.

Na Marszałkowskiej ruchliwy tłum. Gęsto od ludzi. Wydawało mu się, że na ulicach jest rojniej, niż było kiedyś.

Krzyk!

Wszyscy naraz zaczęli szeptać i nawoływać się. Chłopak biegnący naprzeciw ciężko łąpał powietrze i wołał; „Łapanka!”

Nim pojęli sens tego słowa, już byli w samym środku wiru. Z ulicy zmieceni zostali do bramy. Dojrzeli jeszcze opustoszały nagle chodnik, nadjeżdżające ciężarówki, z których wyskakiwały uzbrojone postacie, błyskawiczną tyralierą ryglując ulicę...

– Boże! – usłyszeli krzyk.

– Wacek! – ktoś wołał piskliwym głosem.

W bramie skłębili się wszyscy i runęli w podwórze, przez jakieś schodki, przez jakąś furtkę; ktoś kierował tym tłumem, ktoś pokazywał, którądy biec, otwierał drzwi w murze, furtkę w drucianym ogrodzeniu. Schodki, drzwi, podwórze – ucieczka kilkudziesięciu mężczyzn i kobiet. Brama. I spokojna, normalna, jeżeli cokolwiek normalnego mogło być w tym mieście, ulica. Poznał ją.

– Zielna – szepnął w zdumieniu, że tak nieoczekiwanie został z Marszałkowskiej przerzucony aż tutaj. Ludzie momentalnie rozsypali się po Zielnej, każdy dążył do swego celu, uparcie podejmując tropy przerwane przez łapaczy.

– Na Marszałkowskiej... – ostrzegął jakiś chłopiec. Nikt już nie skręcał w tamtą stronę.

Zmienili taktykę: już nie brzegiem chodnika, lecz pod samym murem, by w każdej chwili móc skoczyć do bramy.

Skręcili – i jeszcze raz skręcili.

Bogdan przyciągnął Piotra do siebie i szeptał mu coś do ucha. Ze strachem, czy nikt nie dostrzeże i nikt nie rozpozna, ani dozorca, ani sąsiadka – lecz nie mógł oprzeć się temu – stał na chodniku i wpatrywał się w zwalistą, ciężką, trzypiętrową kamienicę. Stał pod murem ogrodu. Nie potrzebował odliczać pięter ani okien. Trzy okna frontowe. Ile tysięcy razy wyglądał na szeroki ogród, to ciemny, to podświetlony księżycem, to zielony, to biały od szadzi. Na parterze, w witrynie sklepu beczka brązowej musztardy. Na drugim piętrze... za szybą okienną mignął zarys postaci. Ona? On? Oni? Czekają na niego! Patrzył. Czy z tej właśnie bramy, ze schodów na lewo, nie wyprowadzą go za chwilę z podniesionymi rękami? A on znowu nie strzeli, gdyż ręce będzie miał podniesione. Przed bramą nie stoi żaden samochód. Przed domkiem Ryszarda też nie stał. Samochód dopiero przyjedzie. Czy już jedzie? Nie, nie wyprowadzą go. Będzie od nich chytrzejszy. Czy może tylko będzie miał więcej szczęścia, okupionego cudzą klęską...

– Chodź! – pociągnął Piotra.

Poszli szybko, skręcili w inną ulicę, w inną stronę. Znowu patrol. Zastosowali ten sam unik. Więc nie wpadł w łapankę, więc ominął patrol, więc wyprowadził w pole czyhających żandarmów. Bogdan odzyskiwał pewność siebie. Z daleka zaterkotał karabin maszynowy. Ktoś krzyknął. Przechodnie przyspieszyli kroku. W bramach przekupki ofiarowywały chleb i mięso. Ryksiarze toczyli swe pudła. Nie zatrzymał się nikt. Żarna tego miasta musiały kręcić się, bez chwili przerwy.

Brama, której szukał. Na liście lokatorów sprawdził nazwisko. Zgadzało się. Nie pozwolił

Piotrowi czekać. Teraz już nie mogli się rozdzielać. Zadzwoił. Starsza kobieta zdumiona popatrzyła na dwóch mężczyzn. Nie znał jej. Zapytał więc szybko – bał się stracić impet:

– Czy jest w domu pan Tomaszewski?

– Pan Tomaszewski?... Jessst... – wysyczała odpowiedź, coraz bardziej zdziwiona wizytą.

– A panowie w jakiej?...

– W prywatnej... dawny przyjaciel... – bąknął.

– Proszę... – tarasowała drzwi. Zatrzymała ich na progu. – Panie Władysławie!

Nie to imię, dlaczego? Z pokoju wyszedł mężczyzna. Patrzyli – obaj sobie obcy. Bogdan zająknął się:

– Pan Tomaszewski?

Tamten potwierdził.

– Chyba jakieś nieporozumienie... – tłumaczył chcąc jak najprędzej wycofać się z tej sytuacji. – Pomyliłem adres, przepraszam...

– Nie rozumiem... to samo nazwisko, a ktoś zupełnie inny – usprawiedliwiał się Piotrowi, gdy znowu wypłynęli na ulicę. Zagubił świeżutką pewność siebie.

Następną próbę z adresem podjął po długiej godzinie kluczenia.

– Państwo Leszczyńscy już dawno tutaj – „tutaj” było specjalnie zaakcentowane – nie mieszkają! – Z impetem zatrzaśnięto przed nimi drzwi.

W bramie, u kobiety z koszykiem, kupili dwie duże bielutkie bułki i dwa kawałki kiełbasy. Marki niemieckie, zabrane z obozu, zamienili u przemytnika na „młynarki”. W parku Ujazdowskim przysiedli na ławce i zjedli wśród wózków z dziećmi ten niewymyślny obiad.

Uliczka Natolińska łączyła Koszykową z Nowowiejską. Długo się wahał. Na liście lokatorów odnalazł nazwisko. Ale tamten Tomaszewski też okazał się kimś innym. „Dozorca!” – poradził Piotr. Bogdan się zachnął. Nie, nie chciał pytać nikogo o nic. Wracali do tej bramy i odchodzili. Z bramy wyszedł niemiecki żołnierz – odskoczyli przerażeni, lecz spokoj, nic dalej się nie działo.

Znowu zatoczyli koło – Koszykową, Marszałkowską do placu Zbawiciela. Wstąpili do kawiarni, by odpocząć w ławkach – chłodno, przestronnie i pustawo. Godzinę przesiadali nie mówiący sobie słowa. Obu im to było obce.

Schody wydawały się bardzo wysokie. Doskonale znane. Setki razy bywał tu przed ich ślubem – tylko u niej, a po ich ślubie – u obojga. Zapukał trzymając Piotra za rękę. W półmroku zachodzącego dnia nie dojrzał dzwonka.

– Jezus, Maria! – krzyknęła i wyciągnęła ręce. Gwałtownie szarpnęła go ku sobie i zatrzaśnięła drzwi, za którymi został nie zauważony Piotr.

– Wiktor! – wołała.

Dwaj mężczyźni, gospodarz i nie oczekiwany gość, przypadli do siebie.

– Skąd? – usłyszał pytanie.

Nie odpowiadał, tylko prosił z cicha, by wpuścili człowieka, który przyszedł z nim razem.

Prosiła go:

– Uspokój się!

Prośby nie skutkowały. Szybkimi krokami przebiegał z jednego kąta pokoju w drugi, od drzwi do tapczanu, kluczył pomiędzy stołem i półką, okrążał dziurę w posadzce – trzy razem złączone klepki leżały z boku, odsłaniając wydrążoną w stropie skrytkę na tajne dokumenty.

Pokój był duży. Alicja siedziała przy stole z przysuniętą blisko lampą, szybko zliczała kolumnienki szyfru, który na jutro musiał być gotowy. Przeszkadzał jej swą furją, nawet niemię, gdy biegał po pokoju. Przerywała pracę i patrzyła, patrzyła serdecznie na rozdygotanego mężczyznę. Wtedy wytaczał pretensje do swego losu:

– Nie wytrzymam już dłużej, rozumiesz, ja już tu dłużej nie wytrzymam. Gorsze niż obóz... – jęczał histerycznie i zaraz się mitygował. W ten sposób obrażał ją, do której tęsknił przez cały pobyt we Francji, w oflagu i z którą po raz pierwszy w życiu był naprawdę i wy-

łącznie razem. O niej myślał, gdy uciekał z obozu, a teraz mu nie wystarczała. Zrobiła dla niego tak dużo – wiedział o tym – lecz były momenty, gdy nienawidził jej i tego pokoju.

– Sama powiedz, Alu, powiedz sama, czy tak długo można? Czekam i czekam, grają ze mną w chowanego czy co? Pokazać się nikomu nie mogę...

– Nie możesz – potwierdziła z bolesną szczerością.

– Widzisz... Wyjść na ulicę nie mogę! Papierów nie mam! A przecież cały dzień przechodziłem bez żadnych dokumentów, i to pod rękę z Anglikiem, który nie umie słowa po polsku...

Uśmiechnęła się. Zapomniał, a nie chciała mu przypominać, jak przez pierwszy tydzień, przyprawiony do niej przez Wiktora, lękał się wychodzić na ulicę, cofał się nawet od okna, odmawiał, gdy proponowała mu niedaleką przechadzkę ulicami Powiśla o najspokojniejszej godzinie. Bał się. Były takie trzy dni, gdy do pokoiku Alicji co chwila wpadały przerażone, blade łączniczki z torbami wypełnionymi nielegalną prasą. „Łapią! biorą!” – szeptano ze zgrozą. Branki na ulicach miasta osiągnęły rozmiar dotąd nie znany. „Łapią – sygnalizowano ostrzegawczo i sprawozdawczo – na Marszałkowskiej, na Targowej, na mostach, na ulicach odległych i tuż zaraz, za rogiem, na Powiślu!” Słuchać o łapaniach było gorzej niż przeżywać je samemu. „Tysiącami wywożą ze Skaryszewskiej, z punktu zbiorczego, do Niemiec!” – rejestrowano wiadomości w pokoiku Alicji. Siedział więc stale w mieszkaniu, jakby raz jeszcze repetując obóz jeniecki, gdzie w końcu czuł się bezpieczniej. Lecz powoli przecież zapomniał, powoli mijał szok zetknięcia z okrutną i grząską atmosferą życia okupacyjnego. Regenerował się. Prostował. Już gotów był zmierzyć się z niebezpieczeństwem. Już się wyrwał i jeszcze się cofał. Energia i odwaga to przyływały, to odpływały. Skarżył się: cholerne sprzątanie, pokój i kuchnia, kuchnia i pokój, kwadrans, pół godziny...

– To ja będę sprzątała.

– Alu – przypadł do niej, ujął za rękę – nie chodzi o sprzątanie. Mogę sprzątać, żeby tobie pomóc. Sam to chcę robić. I talerze zmywać. I wszystko. Tylko... ile to razem czasu? Do glancu, do ostatniego pyłku, najwyżej godzinę. Czytaj! Zwariować można z tym czytaniem! Już nie chcę, nie mogę dłużej czekać, mam dość Warszawy, dość tego wszystkiego! – Znowu powiedział zbyt wiele. – Alu, zrozum, nie ciebie, ale tego wszystkiego. Jestem żołnierzem, uczono mnie bić się, a nie ukrywać. Wiktor obiecał mi przecież, że miesiąc, a miesiąc już minął...

– Ucieczkę z obozu jak długo przygotowywaliście?

– Minutę, dwie, trzy, może dziesięć minut... To była improwizacja.

– Która kosztowała was dwóch ludzi.

– Gdy przygotowywaliśmy miesiącami, też się nie udawało.

– Bo popełnialiście błędy.

Chciała raz jeszcze wciągnąć go w opowieść o oflagu, podjąć spór o celowość tak organizowanych uciezek, by przestał choć na chwilę użalać się nad losem. Obsesyjne myśli doprowadzały go do coraz większego rozdrażnienia. Na jego prośbę i z własnej woli co kilka dni biegła na Natolińską pytać Wiktora, co znaczy milczenie wokół Bogdana. Ją samą denerwowała ta obojętna cisza, choć dobrze znała osobliwe zwyczaje panujące w podziemnym świecie, w którym nieustanne napięcie i szaleńczy pośpiech przeplatały się z powolnością i wyczekiwaniem. Wiedziała, że zawsze czekano bardzo długo, a potem nieprzytomnie gnano z terminem na przedwczoraj... Ale inaczej traktuje się nawet własny czas i własną mordęgę, a inaczej czas i mordęgę najbliższego człowieka, którego się kocha. Każdy dzień spędzony z Bogdanem był radością, ale każdy dzień, gdy patrzyła, jak on się spala, był męczarnią. I marzyła więc, i wzdragała się przed tą chwilą, gdy otrzymawszy, o co prosił, znowu się z nią pożegna. Lecz jeżeli go zostawia, jeżeli tutaj zlecą mu wojskowe zadania? Będzie wtedy żył jak oni wszyscy, jak wszyscy ludzie konspiracji, będzie miał pracę wypełniającą cały czas – i będą razem... pod ciśnieniem nieustannego strachu, pod cudzym nazwiskiem, z rewolwerem

w kieszeni i stale napiętą uwagą. Budziły się nadzieje i zaraz przychodziły refleksje; zdawało jej się, że tam, w wojsku za granicą, istnieją większe szanse przeżycia niż tutaj w konspiracji. Były w Warszawie matki, które dostawały listy od synów, już dawno poległych w lotniczych rekonesansach – listy szły długo, a niektórzy napisali ich wiele bardzo, na zapas; koledzy co jakiś czas listy takie wysyłali. Ale Alicja o tym nie wiedziała. Chciała tylko, by przeżył, gotowa siebie ofiarować za niego.

Przyprowadził go do niej Wiktor. Z Wiktorem widywała się w tym czasie niezmiernie rzadko – pracowali w różnych komórkach konspiracyjnych i mało o sobie wiedzieli. Lecz przecież w warszawskiej dżungli Wiktor mógł ją odnaleźć o wiele prędzej i łatwiej, niż potrafiłby tego dokonać uciekinier z oflagu. Jemu odpowiadało niecierpliwie, że państwo Leszczyńscy już tu nie mieszkają, ale Wiktor w ciągu dwudziestu czterech godzin, z pomocą znajomych, zdobył nowy adres Alicji Leszczyńskich, która musząc rozstać się z rodzicami, gdyż ojca jej poszukiwała niemiecka policja, znalazła dla siebie kawalerkę i zamieszkała w niej pod innym nazwiskiem. Że był to lokal konspiracyjny, w którym nikt poza nią nie powinien stale przebywać, nie wiedział ani Wiktor, ani Bogdan nie miał się dowiedzieć, a ona sama tym elementarnym warunkiem ostrożności nie przejmowała się, gdyż nikt się takimi rzeczami w Warszawie nie kłopotał.

U Wiktorów Bogdan spędził tylko dwie noce, Piotr – jedną. Wiktor przeprowadził Anglika na Żoliborz, do eleganckiej willi przy ulicy Drukarskiej, gdzie pewna wytworna pani ze swą młodą córką, studentką tajnego uniwersytetu, przechowywały angielskich żołnierzy uciekających z obozów jenieckich. Po paru tygodniach Bogdan raz jeszcze zobaczył się z Piotrem. Wiktor urządził to spotkanie u siebie, na ulicy Natolińskiej, skoro i tak obaj już znali jego adres. Alicja mogła ukrywać u siebie Bogdana w tajemnicy przed przełożonymi, lecz Anglik naprawdę nie powinien o tym wiedzieć. Wychowani na legendach i mitach o działalności *Intelligence Service*¹⁵, młodzi brytyjscy żołnierze konspirację przeciw hitlerowcom traktowali jak grę i na bałkańskich szlakach wpadając niekiedy w sidła gestapo, łatwo zdradzali przebytą trasę, jakby nie bardzo świadomi tego, iż oni wprawdzie wrócą tylko do oflagu, ci natomiast, którzy im ucieczkę ułatwili, zostaną zwyczajnie i po prostu zamordowani. Dziecinna szczerłość angielskich oficerów groziła zakonspirowanym lokalom, ryzykowano więc pomoc aliancom, ale zachowywano ostrożność. Na Natolińskiej raz jeszcze spotkali się dwaj towarzysze ucieczki – i pożegnali się, chyba definitywnie. Piotr miał niebawem ruszyć w długą drogę na Południe, nucił nawet: *It's a long way to Tipperary*¹⁶. Bogdan sądził, że już i jego dni w Warszawie są policzone.

Lecz miał je rachować jeszcze długo.

Wiktor zameldował swym przełożonym: przyjaciel, podchorąży, uciekł z oflagu, pragnie z powrotem przedostać się do wojska. Odpowiedziano: „Niech czeka!” i przesłano mu pierwszą niewielką porcję gotówki. Przy skromnym budżecie Alicji pieniądze były potrzebne, musiała mu przecież kupić ubranie. Teatralny strój nie nadawał się do noszenia, a jego stare spodnie i marynarki wisiały w szafie w mieszkaniu rodziców, gdzie nadal urzędowała niemiecka żandarmeria. „Kocioł” utrzymywany był ciągle – ojciec nie pokazywał się w biurze, matka w sąsiednich sklepach; Alicja dowiedziała się, że podziemie, z pomocą chłopców z tej dzielnicy, obserwowało mieszkanie państwa Mayerów. Bogdan był ciągle na liście poszukiwanych, tym bardziej więc należało zachowywać ostrożność, byle jakie uliczne sprawdzanie dokumentów mogło skończyć się katastrofą. Falszywych papierów ciągle mu nie dostarczano, choć Alicja już przekazała jego fotografię do legalizacyjnej komórki. Obiecywano wyrobić je prędko, lecz porządny dokument wymagał nie tylko wypisania kennkarty¹⁷ – kilkunastu minut roboty,

¹⁵ *Intelligence Service* (ang.) – służba wywiadowcza, wywiad brytyjski.

¹⁶ *It's a long way...* (ang.) – „Daleka droga do Tipperary...” – słowa angielskiej piosenki wojskowej popularnej podczas ostatniej wojny.

¹⁷ Kennkarte (niem.) – dowód osobisty.

mieli dobrą wprawę – ale uzupełnienia kartotek w zarządzie miasta oraz w biurach niemieckich firm przemysłowych, zatrudniających fikcyjnych pracowników, za których jacyś inni pobierali miesięczne wynagrodzenie. Wystarczyło, że ktoś przez kilka dni nie mógł zająć się tymi sprawami, ktoś inny wyjechał, zachorował czy akurat wpadł – a nitki kontaktowe do odpowiednich biur i instytucji już były zaplątane lub zerwane. Bogdan musiał czekać.

Czekał na dokumenty, które miały być gotowe lada dzień.

Czekał na decyzję, której terminu nawet mu nie podano.

Gdy wychodziła, sprzątał mieszkanie. Gdy – codziennie między pierwszą a trzecią – przechodziły do niej karawany łączniczek, krył się w kuchni. Po skończonym dniu swej konspiracyjnej pracy Alicja powtarzała mu ponure wiadomości. Łącznicy z Pawiaka nadawali: przywożą nowych więźniów, wywożą na egzekucje do podwarszawskich lasów. Ze Skaryszewskiej meldowano: do Niemiec ciągle odchodzą nowe transporty. Z getta sygnalizowano: nowe transporty do obozów śmierci. Żydów mordowano nieustannie; ludność zamkniętej dzielnicy żydowskiej stopniała z paruset do kilkudziesięciu tysięcy. Bogdan co dzień wertował prasę konspiracyjną. Czytał, że na frontach afrykańskich zamarła walka, że nad kanałem La Manche i nad Londynem cisza, że wojska niemieckie, zatrzymane pod Leningradem i pod Moskwą, zbliżają się do Wołgi w rejonie Stalingradu. Pochylali się nad mapą. Tłumaczył jej, że to cisza przed burzą, i wściekał się, że jego tam nie będzie, gdy alianci uderzą.

– No to idź! – żartowała gorzko. – Bez niczyjej pomocy trafieś z Niemiec do Warszawy, to daczego sam nie ruszysz przez Tatry i Bałkany? Droga wolna! – ironizowała, gdy już ją zmęczył swymi żalami.

Wtedy się cofał. Bał się. Naprawdę bał się dopiero teraz, gdy tak siedział beczynnym w zamkniętym konspiracyjnym mieszkaniu; bombardowany wieściami o terrorze panującym w mieście, tym bardziej lękał się samodzielności i oczekiwał dłoni przewodnika.

Któregoś wieczoru, gdy jak zwykle studiował konspiracyjne gazetki, Alicja zaś pogrążona była w swych szyfrowych rachunkach, rozległ się łomot do drzwi. Ostry dzwonek i szybkie uderzenia pięściami.

Zerwali się.

Alicja powiedziała przytomnie:

– Przyszędłeś na noc, narzeczony... zrzuc marynarkę...

Spojrzała na okna: zaciemnione były przepisowo. Zgarnęła papiery ze stołu, gazetki leżące na tapczanie, wrzuciła do skrytki, przytrzasnęła trzema deseczkami parkietu. Rozpięła bluzkę...

Walili w drzwi.

– *Aufmachen! Polizei!*¹⁸

Otworzyła przytrzymując bluzkę na piersiach.

Dwóch. Odepchnęli ją i już byli w pokoju. Cywilny wymachiwał rękami i krzyczał:

– *Wo ist diese Jüdin?* Gdzie jest ta Żydówka? – dopowiadał po polsku.

Drugi, starszy, niski, w czarnym mundurze fabrycznego strażnika, wodził wkoło rewolwerem i powtarzał:

– *Wo ist diese Jüdin?*

– Nie ma tutaj – odpowiedziała spokojnie.

Bogdan stał bez ruchu. Nie zwracali na niego uwagi. Cywil rzucał się po pokoju, werkschutz zajrzał do kuchni i do łazienki.

– Weszła tu przed chwilą! – darł się.

– Nikt teraz nie wchodził – odpowiedziała Alicja. – Proszę szukać.

Otworzyli szafę, przerzucili sukienki. Nic. Mundurowy machnął rewolwerem. Cywil warknął coś niezrozumiale. Wybiegli trzasnąwszy drzwiami.

¹⁸ *Aufmachen! Polizei!* (niem.) – Otwierać! Policja!

Alicja zgasiła światło. Przypadli do drzwi prowadzących na schody, lekko je uchylili. Nasłuchiwali. Dwaj mężczyźni dobijali się do mieszkania naprzeciwko. Cywil krzyczał:

– Przed chwilą weszła tu Żydówka...

Cisza. Bogdan szeptał do ucha dziewczynie:

– Piekielny kocioł, piekielny kocioł... Piekło...

Dźwięcząca cisza – i nagle szum głosów, płacz, krzyk.

Alicja szepnęła:

– One się ukrywały... Zabiorą je!

Bogdan cofnął się do pokoju. Zapalił światło. Chwyił długą szpilkę leżącą na etażerze. Wiedział, gdzie jest dziura w parkiecie – wsadził, nacisnął, z leciutkim chrzęstem odskoczyły trzy złączone klepki.

Alicja zawołała stłumionym głosem:

– Bogdan! Co robisz?

Nie słuchał jej. Sięgnął dłonią w głąb skrytki. Parabellum. Nabite. Zatrzasnął skrytkę. Skoczył do przedpokoju. Szarpnął drzwi na schody. Starła się go zatrzymać. Krzyknęła:

– Nie wolno!

Nie wolno dekonspirować lokalu, nie wolno narażać całego domu.

Drzwi naprzeciwko były otwarte.

Wpadł, Alicja za nim.

W dużym pokoju pięć kobiet stało z podniesionymi rękami. Werkschutz mierzył w nie z rewolweru. Cywil bił młodą dziewczynę na odlew po twarzy, drugą ręką trzymając ją za włosy. Coś krzyczał.

Bogdan zawołał:

– *Hände hoch!* – i przystawił parabellum do głowy uzbrojonemu bandycie. Jednocześnie przedziwnie jakoś się zwinął, skoczył i silnie kopnął werkschutza w dłoń – tamten wypuścił rewolwer, który potoczył się z hałasem. Cywil odepchnął kobietę i ruszył towarzyszowi na pomoc, lecz Bogdan już do niego mierzył.

– Ręce do góry!

Dopał cywila i przerzuciwszy broń do lewej, prawą ręką z całej siły uderzył go w szczękę. Bandyta zatoczył się, poleciał do tyłu. Zaskoczony werkschutz stał bez ruchu. Alicja podniosła jego pistolet.

Bogdan zatrzymał się w swym impecie: co dalej? Strzelać i zabić? Strzelać i zabić już bezbronnych? Nie mógł nacisnąć spustu.

Nagle zdecydował:

– Wiążemy ich!

Któraś z kobiet podała mu sznur do bielizny: wykręcił ręce werkschutza, skrępował mu nogi, w usta wsadził knebel ze zgniecionej chustki, całą twarz przewiązał podsuniętym szalem.

– Pan Franciszek... – zawołała Alicja i z piętra zbiegła na podwórze do dozorca.

Bogdan skrępował szczuplejszego, młodszego cywila. Obaj napastnicy leżeli jak kłody. Usiadł naprzeciw ze swym parabellum, z którego znów nie wystrzelił, lecz teraz nie czuł już wstydu. Kobiety, blade i roztrzęsione – pięć ukrywających się poza gettem Żydówek – zgarniały swój dobytek; muszą stąd odejść, zostawić mieszkanie puste.

Alicja pytała Franciszka, mężczyznę wielkiego, potężnego, czy ze szmalcownikami był ktoś jeszcze? Dozorca nikogo nie widział. Wpadli na sekundę przed zamknięciem bramy, za tą kobietą, która wróciła do domu. Wbiegli za nią na klatkę schodową. Tuż przed godziną policyjną. Musieli ją śledzić na ulicy, dranie! Zastrzelić ich? Nie, huk byłby w całej kamienicy, i tak już ludzie siedzą w oknach. Puścić ich też nie można, nie mogą stąd wyjść... Radził przytomnie:

– Doktor na drugim piętrze ma chloroform, przyniosę!

Alicja podała Bogdanowi chloroform. Młodszy szarpał głową, starszy był zrezygnowany. Chloroformowe maski przyciśnięto im do twarzy. Bogdan sam je trzymał. Usnęli.

We dwóch, Bogdan z Franciszkiem, znieśli uszpionych do piwnicy.

Rano – zapewnił dozorca – przyjedzie wóz, pod śmieciami wywiozą ich w ruiny, nad Wisłę. Tam zjawi się patrol egzekucyjny, będzie im odczytany wyrok, a potem ciała zostaną wrzucone do rzeki. Tak będzie!

Alicja wyjęła im dokumenty, by załączyć do meldunku. Młodszy, cywil, miał legitymację komitetu ukraińskich nacjonalistów i ausweis z warsztatów kolejowych. Starszy, volksdeutsch – jak wynikało z papierów – był strażnikiem w tych samych warsztatach. Dorabiali sobie jako szmalcownicy.

W dwóch mieszkaniach trwały przygotowania do porannego exodusu. Szmalcownikom nikt wprawdzie nie towarzyszył, ale reguły konspiracyjnej walki były surowe. Tym razem Alicja nie mogła ich zlekceważyć. Pakowała byle jaką bieliznę, trochę ubrań, przygotowywała paczkę z materiałami wyjętymi ze skrytki. Kartkowała książki. Oczyszczała mieszkanie.

Bogdan podniecony biegał po pokoju. Rozważali ewentualne niebezpieczeństwa i szansę ewakuacji. Był szczęśliwy. Zatrzymał się przed dziewczyną i zawołał:

– A jak mi każą zostać w Warszawie... zostanę! – w tym cichym okrzyku dźwięczała już teraz dumna zuchwałość.

– Jest więc pan gotów do drogi? – szpakowaty, elegancki mężczyzna, o starannie zaczesanych włosach, zakończył krótkie usprawiedliwienie z tak bardzo przeciągającego się oczekiwania. Mówił otwarcie: „Musieliśmy wszystko sprawdzić, czekaliśmy na potwierdzenie z obozu; notabene ten pański kolega, Ryszard, odsiedział swoje karcery i czuje się dobrze”. To Bogdan już wiedział; Ryszard przysłał kartkę do rodziców, dzięki Alicji i Wiktorowi otrzymał ją do przeczytania.

– Zaraz?... – Bogdan zdusił okrzyk, za gwałtownie brzmiący w tym przytulnym secesyjnym saloniku, wypełnionym pluszowymi kotarami, serwetami, oparciami, ramami i zetłalymi jedwabnymi abażurami. Alicja odprowadziła go dziś rano na spotkanie z Wiktorem, Wiktor na przystanku EKD – „tutaj zaczynałem i stąd znowu”... żartował Bogdan – przedstawił go młodej kobiecie. Powiodła go na niedaleką uliczkę za kościołem na Koszykach, do staroświeckiego mieszkania. W okrzyku Bogdana brzmiała radość, nadzieja i lęk przed tym szczęściem, które miało się spełnić tak nagle. Gdy wczoraj wieczorem Alicja wróciła do pokoiku wspólnie zajmowanego ma bliskiej Woli, u jej przyjaciółki – ciągle jeszcze nie wolno jej było wrócić na Powiśle, choć panował tam zupełny spokój – i powiedziała, że nareszcie go wzywają, pomyślał, że to ważna rozmowa, ale nie wierzył, by miała zapaść decyzja. Już nie wierzył. Dnie i godziny spędzane w pokoiku na Woli, w mieszkaniu pełnym obcych ludzi, były dla niego jeszcze gorsze niż wszystko, co działo się przed tamtym zwycięskim wieczorem. Sprawdził siebie samego, zdał egzamin przed sobą samym – a ciągle nie mógł się ruszyć, tkwił w jakiejś ohydnej wacie, która krępowała ruchy, myśli, słowa. W miasto strzelały pioruny. Na Woli brzmiały one dwakroć silniej. Pewnej jesiennej nocy tam właśnie usłyszano detonacje – przypuszczano, że to atak radzieckich bombowców. Polskie oddziały dywersyjne przerwały tory kolejowe wokół Warszawy, tamując transporty wojenne idące na wschodni front. Była to odpowiedź podziemia na prześladowania, zbrodnie, łapanki, egzekucje tysiącami wykonywane na Pawiaku i w podwarszawskich lasach. Niemcy skorzystali z pretekstu: uważając się za panów podbitej ziemi, powiesili pięćdziesięciu niewinnych. Na Woli, w jednym z pięciu miejsc tej egzekucji, hitlerowcy postawili szubienice i dziesięciu powieszonych długo kołysało się na wietrze. Bolesny pochód mieszkańców stolicy oddawał im ostatni hołd. Alicja poszła pod szubienicę jak na pogrzeb. Wołę przytłoczył ten mord, choć wydawało się, że żadna zbrodnia okupanta nie potrafi już wprawić Warszawy w żałobne osłupienie. Przez małe okno Bogdan całymi dniami wpatrywał się w ponurą ruinę sąsiedniej kamienicy. Ogarniała go rezygnacja. Nie mogło jej nawet rozproszyć bardzo ostrożne spotkanie najpierw z

matką, potem z ojcem. Z mieszkania państwa Mayerów wyszła wreszcie policja, widocznie w przekonaniu, że uciekinier minął Warszawę i przepadł gdzieś w szerokim, niedoskonale strzeżonym przez Niemców świecie. Wszystko tak mu już dokuczyło, iż nie miał siły się cieszyć, gdy zabłysnął pierwszy promyk nadziei, gdy Wiktor dał Ali znak, że na Bogdana ktoś czeka...

– Zaraz musi się pan zdecydować. Ale przygotowania do drogi trochę jeszcze potrują.

– Znowu czekać?! – niekłamana rozpacz.

– Inaczej, inaczej... To już nie czekanie, ale przygotowania do drogi. Wie pan – rozgadał się – tylko w zimie czterdziestego roku zdecydowaliśmy się w ciągu jednej godziny, a wyjeżdżali w ciągu drugiej. Teraz już nie...

– Kiedy? – szepnął z nadzieją.

– No... wkrótce...

„Wkrótce” – przeciągało się z tygodnia na tydzień. Krążył po Warszawie uzbrojony w dokumenty. Były one jak poręcz na wielkim moście – żartował Wiktor. Nikt się o nie nie opiera, ale wzmacniają samopoczucie. Tylko że poręcz przydaje się w razie wypadku, a dokumenty, choćby najpiękniej podrobione, w razie wyspy nie zdają się na nic. Ot, taka tylko ochrona przed ulicznym legitymowaniem.

Krążył po mieście, uczył się go na nowo. Było przedzielone czerwonym murem getta. Podchodził ostrożnie pod ten mur. Jeżeli uda mu się wreszcie przedostać na Zachód, będą go pytać: jak można murem przeciąć ulicę, jak można przekroić ją wzdłuż? Opowiadano mu o życiu za tym murem, lecz ciągle jeszcze nie umiał sobie wyobrazić ulicy, na której z głodu i chorób umierają ludzie i nikt nie może im pomóc. Wędrował po całej Warszawie. Był pod Café Clubem, kawiarnią przeznaczoną dla Niemców, którą parę dni temu obrzucono granatami – odwet Polaków za powieszonych na szubienicach. Miasto stawało się frontem bezpośredniej walki zbrojnej. Z początku – tłumaczono Bogdanowi – stawiano Niemcom bierny opór, lecz przyszedł czas na opór czynny, walka zaostrza się z dnia na dzień.

Dziewczyna, którą poznał na przystanku EKD, zaprowadziła go na kurs dziu-dzitsu. Szybki i skrótowy. W pustym pokoju dwóch ich stało naprzeciw siebie, obok instruktor. Podcinali sobie nogi, strzelali rozsuniętymi palcami w oczy i zasłaniali się płaską dłonią, błyskawicznie przystawianą do nosa. Leciutko przerzucony przez rękę, nagle wywracał kozła. Po sekundzie rozkładał swego partnera. Kopali się, łapali swe stopy w śrubowate uchwyty. Codziennie godzina.

I codziennie kilka kwadransów męczącego, nudnego ćwiczenia: brzegiem wyprostowanej dłoni z coraz większą siłą uderzał w deskę. Trener wzdychał: „Jest pan zdolny, gdyby ćwiczyć dłużej, takim uderzeniem mógłby pan zabić człowieka”. Pokazywał mu w atlasie anatomicznym i na sobie samym to miejsce na plecach, poniżej szyi, gdzie uderzeniem dłoni można zabić lub sparaliżować przeciwnika.

Piękna dziewczyna zaprowadziła go do dentysty. Obejrzano mu zęby. Kilka dawniej usuniętych, dwa mocno zepsute. Ucieszyli się. Dentysta wyrwał mu je gładko, lecz minął tydzień, nim w rozpulchnione dziąsła mógł wstawić nowe, sztuczne zęby.

Kilkakrotnie w towarzystwie tejże dziewczyny odwiedzał secesyjny salonik, gdzie za każdym razem czekał na niego ten sam starszy elegancki mężczyzna.

– Będzie pan przechodził z rąk do rąk – wyjaśniał – przez granice i przez miasta. Często będzie pan sam, zdany na własny spryt i własną siłę. Na innych odcinkach będą pana przeprowadzali przewodnicy. Nikt jednak nie może wiedzieć, że najważniejsze jest te kilka gramów metalu w pańskich zębach. Jest to wykradzony przez naszych wywiadowców stop, pochodzący z niemieckich laboratoriów. Zależy nam na tym, by pewne – małe, ale wystarczające – ilości tego stopu znalazły się w laboratoriach uczonych alianckich. Przeniesie je pan w swoich zębach i odda w Anglii, w Londynie, człowiekowi, który przedstawi się: „Major Konrad Gustaw Bolesław trojga imion Wrzos”; odpowie mu pan: „Sto koni do stu brzegów do-

płynię w sto dni”. „Sto koni do stu brzegów dopłynię w sto dni” to pana legitymacja, hasło, tożsamość. Tam, w Londynie, wstawią panu inne zęby, już na stałe.

Uczyli go – w tym saloniku nie tkniętym przez wir wojny – jak ma się zachowywać w momentach trudnych. Oficerowie kontrwywiadu mówili: „Do niczego się nie przyznawać, najpierw musi pan zorientować się, co oni wiedzą. Z ich pytań. Jeżeli wiedzą dużo, to przyznawać się w maleńkich dawkach i tylko do tego, co już wiedzą”.

„Pan ma swój obozowy znaczek?” – pytali. Miał. Był to metalowy owalny krążek, opatrzone powtórzonymi dwukrotnie numerami porządkowymi obozu i jeńca; w razie śmierci, przed pochowaniem, wkładano umarłemu do ust połowę blaszki, drugą połowę odsyłano do Genewy, do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża; miało to zapewnić identyfikację jeńca. Poradzono mu, aby zostawił swój znaczek w Warszawie, ale na pamięć nauczył się numeru. Zagrożony przez gestapowskie niebezpieczeństwo, na podstawie tego numeru mógłby udowodnić, że jest tylko uciekinierem z oflagu – dobry kamuflaż dla spraw znacznie istotniejszych. Radzili mu dalej, by adresy zawsze podawał fałszywe, lekko przekręcone. Nazwiska – inne, zmienione, albo tylko imiona. Radzili mu, by obciążał nieobecnych, tych, o których wie, że już ich nie ma. W walizkach i plecakach winien przewozić rzeczy nieważne, gdyż tego, co wiezie się w walizce, nie sposób zniszczyć. Dokumenty istotne, tajne, należy trzymać w małym pakiecie w kieszeni, bo w razie potrzeby łatwiej je zniszczyć lub wyrzucić. Ci, którzy uczyli go tych przebiegłych poczynań, nie wiedzieli, że najważniejsze i tak stale trzymać będzie w ustach. Z pociągów – radzili – trzeba wysiadać na stacjach wcześniejszych niż ta, do której kupiło się bilet. Najlepiej wysiadać bez walizki. Walizka może przepaść, a śledzący będzie myślał, że pan tylko na chwilę wyszedł z przedziału. Wysiadać z innego wagonu niż ten, którym się jechało. Nie chodzić wciąż tymi samymi ulicami...

Elegancki pan objaśniał mu sprawy, których znajomość niezbędna była i po drodze, i w punktach przerzutowych, i w Londynie. Musiał znać ogólną geografję organizacyjną i polityczną polskiego podziemia. Pewnego dnia spotkał się z młodym, wysokim człowiekiem o szczupłej twarzy. Przed rokiem został on wzięty podczas łapanki na Żoliborzu i wywieziony do Oświęcimia, jednak rodzina zdołała go stamtąd wydobyć; teraz miał kurierowi idącemu na Zachód opisać, jako świadek bezpośredni, największą kaźnię współczesnej Europy. Niesłychanie prędko, szybkostrzelnie wyrzucając słowa, z namiętną pasją wprowadzał go w ponury świat setek tysięcy więźniów z całej Europy skazanych na śmierć – śmierć od kuli, śmierć w komorze gazowej i po prostu śmierć spowodowaną głodem, pracą nad siły, w nieludzkich warunkach. Był to świat, nad którym niemiecki prawodawca wywiesił napis witający wędzanych do obozu: *Arbeit macht frei*¹⁹ – jak na ironię, chyba zgodnie tylko z tą przejmującą pieśnią polskich patriotów: „Kto przeżyje, wolnym będzie, kto umiera, wolnym już!”

Co dzień żegnał się z Alicją. „Wrócisz... zrzucą cię może?...” – pytała go, przekonywała, że tak będzie, ale wbrew sobie samej modliła się, by stało się inaczej, by został tam aż do końca wojny.

Wreszcie dostał sygnał: jutro!

Wiktor i Alicja odprowadzili go na wyznaczony punkt. Wiktor znał lokal i trasę przerzutu.

– Czy muszę? – Bogdan ze wstrętem obmacywał niemiecki granatowy mundur kolejarski. Tamten werkschutz nosił podobny.

– A po co mieć kłopoty zaraz na pierwszym zakręcie? – perswadował Wiktor. – W pociągach krakowskich stale łapią i rewidują. Pojedziecie luksusowo, *nur für Deutsche!*²⁰

Wkładał więc spodnie, przymierzał kurtkę, płaszcz i czapkę. Od biedy ujdzie.

– Ja jestem *Lokführer*, maszynista, a pan jest mój *Lokheitzer*, palacz. Mamy papiery, że z Łodzi, z *Litzmannstadt*, jedziemy do Krakowa, *nach Krakau*, po lokomotywę. – Gruby, star-

¹⁹ *Arbeit macht frei* (niem.) – Do wolności przez pracę.

²⁰ *Nur für Deutsche* (niem.) – tylko dla Niemców.

szy mężczyzna, na którym mundur niemieckiego kolejarza leżał jak przyrośnięty, raz jeszcze tłumaczył reguły zachowania się w podróży. – W Krakowie dostaniemy inne papiery, by móc dojechać do Nowego Sącza. W pociągu nikt nas o nic nie będzie pytał. Noc, śpimy. A teraz, przypuśćmy, kontrola: wyciąga pan bez gadania swoje dokumenty, będzie pan bardzo zaspany, a ja już tam sobie z nimi i z pasażerami będę pogadywał, wice będę im opowiadał...

– Panie Antoni, to już chyba setny raz pan tak jedzie? – roześmiał się Wiktor.

– Nie liczę, nie liczę. Ja jestem większy niemiecki kolejarz niż oni wszyscy razem wzięci. Ilem się przed tamtą wojną na niemieckich zugach²¹ wytelepał... Tylko zawsze się boję, żeby mi nasi nie wysadzili pociągu w powietrze. Najświętsza Panienska ma mnie w swej opiece... – Pakował kolejarzką torbę. – Pan też weźmie taką. Zawsze się żonie z podróży coś przywiezie. Wszędzie łatwiej i taniej można coś kupić niż w Warszawie.

– Pilnuj tylko, żeby nam ciebie z każdego etapu sygnalizowali – dodał jeszcze Wiktor.

Dwaj mężczyźni, Wiktor i Antoni, usunęli się do przedpokoju. Bogdan i Alicja zostali sami. Niewiele już mieli sobie do powiedzenia. Bogdan wykrztusił tylko, by pozdrowiła rodziców...

Niemieccy kolejarze wyszli na ulicę dopiero po godzinie policyjnej. Hitlerowska noc polskiego miasta. Daleko niosło się echo ich kroków. Przeszedł patrol uzbrojonych żandarmów. Antoni pierwszy podniósł rękę, nisko i niedbale. Bogdan go naśladował.

– *Heil Hit...* – zbulgotali. Odpowiedział bulgot.

„Ilu Polaków przebywa w tej chwili, w taki sposób, na niemieckiej ulicy?” – myślał Bogdan.

Gdzieś zagrzemiał strzał. Wyludnione, puste ulice przerażały. Nie rozmawiali ze sobą, nawet szeptem.

²¹ Zug (*niem.*) – pociąg.

Ręce do góry!

– Łapią! – krzyczano zewsząd.

Antoni silnie przytrzymał lewe ramię Bogdana, żeby młody mężczyzna w mundurze niemieckiego kolejarza nie zareagował tak, jak wszyscy dookoła. Ich, niemieckich kolejarzy, ten krzyk nic nie obchodzi i choćby nawet któryś z całym tym nazistowskim świństwem się nie zgadzał, nie ma potrzeby odczuwać lęku! Bogdan szarpnął się lekko – ten stary Antoni niepotrzebnie chwycił go za rękę, winien mieć do niego większe zaufanie. Świadomość odgrywania obcej roli męczyła go nieustannie; usłyszawszy rozpaczliwe hasło „łapią!” – stężał, zamarł, zeszywniał wiedząc, iż nie wolno mu zareagować najlżejszym nawet odruchem. Spokojnie, nienaturalnie sztywny kroczył – nie szedł, lecz właśnie kroczył – za Antonim przez wielką halę warszawskiego Dworca Głównego, tępo wpatrzony w rozkołysane fale paniki, jakby nie słysząc rozpaczliwych okrzyków, obcy rozpętanemu piekłu. Antoni prowadził Bogdana na drugi brzeg żywiołu grozy i terroru, tam gdzie wyznaczono poczekalnię już tylko i wyłącznie dla panów niemieckiej Europy.

Zieloni biegli przez halę. Rozpinali ruchomą sieć, z której nie było ucieczki. Za wyjściami – tymi na miasto, w Aleje Jerozolimskie – czyhała godzina policyjna. Tam stali żandarmi czekający na nieostrożnych, którzy w nagim strachu wyskoczą na ulicę, bez prawa żadnego, bez przepustki, zwyczajnie szukając ratunku. Po godzinie policyjnej, od wieczora do świtu, najdogodniej było urządzać dworcowe łowy. Łup był gwarantowany.

Tyraliera, nie nazbyt gęsta, posuwała się ku środkowi. Żandarmi wbijali się klinem w tłum okupacyjnej nędzy, bardziej jaskrawo widocznej w brudnym świetle dworcowych żarówek, w dymie wspólnej poczekalni niż w ciągu dnia na ulicy warszawskiej. Ludzie ubrani byle jak, obładowani walizami i tobołami, czekali na pociągi, które odchodziły bez żadnego związku z ciągle ruchomymi granicami godziny policyjnej: zbyt późno wieczorem lub zbyt wcześnie rano. W hitlerowskiej rzeczywistości podbity naród w każdej, najzwyczajniejszej nawet, codziennej sytuacji narażony był na upokorzenia i udrękę. Kobiety, mężczyźni, młodzi i starcy cofali się przed żandarmami i uciekając na oślep, szukali w tej wielkiej hali miejsca, gdzie wcisnąwszy się, mogliby jakoś przetrwać pierwsze uderzenie rabunkowej chciwości; wiedzieli z doświadczeń niejednej już dworcowej nocy, że nasyciwszy żądzę rabunku, skradzionymi paczkami załadowawszy chlebaki, żandarmi znikną i czas dalej potoczy się leniwie w hali wypełnionej dymem kiepskiej machorki i zaduchem drzemiącego tłumu. Byle przeczekać pierwszą falę łapanek!

Niemcy rabowali systematycznie, wrywając bagaże z rąk, tłukąc kolbami po dłoniach. Pękały tekturowe walizki, rozpruwały się płócienne powłoki. *Aufmachen! Aufmachen!* – krzyczeli i poganiali w łamanej polszczyźnie: „Otwirhaj! Otwirhaj!” – zdążyli się nauczyć paru polskich słów. Wyrzucali bieliznę, ubrania, drobiazgi, szukając boczków, słoniny, mięsa, które w pękających paczkach pojedą nazajutrz do ich rodzin, do Rzeszy, opatrzone listami wyjaśniającymi, iż nadarzyła się znakomita okazja bardzo taniego kupna. Szukali żywności i cennych rzeczy, wyławiali paczuszki z tajnymi gazetkami, broń lekkomyślnie przewożoną przez młodziutkich konspiratorów w zwyczajnych walizkach, źle podrobione dokumenty. Bali się więc wszyscy: ci, którzy ryzykowali towar, i ci, którzy ryzykowali życie. Polskim kolejarzom wsuwano do rąk walizki, kusząc ich banknotami, by uzyskać doraźne bezpieczeń-

stwo bagażu: kolejarz na służbie nie podlegał brutalnej ingerencji żandarmów.

W ostatnich swoich warszawskich wędrówkach Bogdan nie przekroczył progu Dworca Głównego; działała siła ostrzeżenia udzielonego mu pod Skierniewicami przez przemytników: tam miało być szczególnie niebezpiecznie. I oto widział teraz swój własny los sprzed kwartału, patrzył nań spoza ochronnej szyby sfalszowanego bezpieczeństwa. Był w tej chwili spokojny jak kat i przerażony jak ofiara.

– *Wir sind zusammen, ja?... ja?* – skromnie ubrana młoda kobieta wyrwała się z tłumu, dopadła do Bogdana, chwyciła go pod rękę jak kochanka i kaleką niemczyzną powtarzała spazmatycznie: – *Wir sind zusammen, ja?...²²*

Zrozumiał: szukała ratunku w niebezpieczeństwie. Może nie mając dokumentów, musiała mieć opiekuna. Przycisnął ramię, przytulił jej dłoń, w najbardziej ludzkim odruchu gotów udzielić opieki.

– *Weg* – Antoni usłyszał jej przerażony bełkot, odwrócił się, pojął sytuację i ryknął, gdyż ryk taki należał do obowiązków kurierskiej maskarady: odpowiadał za bezpieczeństwo konwojowanego człowieka i wiezionej poczty. Bezpieczeństwo sprawy mogło kosztować życie zaszczutej dziewczyny. – *Nein! Wir gehören nicht zusammen! Weg!*²³ – szarpnął dziewczynę, nawet nie przerażoną, nawet nie zdumioną, raz jeszcze doświadczającą prawdy tak już oczywistej: Niemiec nie jest człowiekiem!

Bogdan jeszcze przytrzymał jej ramię, lecz Antoni szarpnął silniej – autentyczny hitlerowiec ogarnięty pasją... Bogdan nie poruszył się, nie zrobił nic więcej, nie powiedział jednego słowa. Podświadomie zestawiał rachunki zysków i strat: językiem wyczuwał metal swych cennych zębów.

Z gęstego tłumu lisim krokiem wyłonił się niemiecki żołnierz.

– *Fräulein!* – chwycił dłoń dziewczyny. – *Wir beide können zusammen gehen, ja?*²⁴ – pociągnął ją ku sobie.

Poddała mu się. Przytuleni wyminęli łańcuch złodziejskiej tyraliery. Bogdan patrzył za nimi pustymi oczyma. Ten żołnierz był jej wybawcą czy zdobywcą? Działał przeciw żandarmom czy korzystał z okazji nagonki? Dziewczyna i Niemiec zanurzyli się w tłumie.

O kilka kroków przed sobą dojrzał teraz scenę z innego filmu. Uroda tej kobiety była charakterystyczna i fascynująca: wypukły, ostry nos, zgrabnie osadzony między dużymi oczami, nie psuł proporcji twarzy inteligentnej, budzącej ciekawość i szacunek. Stojący obok żandarm wydawał się jakby speszony arystokratyczną godnością dziewczyny, wyróżniającej się na tle szarego, zbiedzonego tłumu. Prosty chłopski kozuch z kosmatego brunatnego futra nosiła z takim wdziękiem, jakby to była etola z nurków. Podała dokumenty żandarmowi. Bogdan nie mógł oderwać od niej oczu. Papiery były w porządku – żandarm przejrzał je, złożył, zasalutował.

Antoni niecierpliwił się:

– *Mensch, komm doch... was ist denn los?... Komm!*²⁵

Strzał jeden, drugi, trzeci...

Ludzie zastygli i – po ułamku sekundy – rozbiegli się na boki. Środkiem hali, w nagłej ciszy, stukając twardymi drewnianymi podszwami, pędził młody chłopak, odruchowo, zygzakiem kluczył wśród kul, biała plama jego twarzy migiała Bogdanowi w oczach. Antoni pociągnął go w lewo, w tłum, chroniąc przytomnie; Bogdan poczuł twardość parabellum ukrytego na brzuchu i znowu nie mógł go użyć – dlaczego? Chłopak pędził przez halę, tamci strzelali; zwałił się na kamienną posadzkę, już go dopadli...

Żandarmi, ilu ich było, ustawili automaty.

²² *Wir sind zusammen...* (niem.) – Jesteśmy razem, prawda?...

²³ *Nein! Wir gehören nicht...* (niem.) – Nie! Nie jesteśmy razem! Precz!

²⁴ *Fräulein! Wir beide...* (niem.) – Panienko! My możemy pójść razem, prawda?

²⁵ *Mensch, komm doch...* (niem.) – Człowieku, chodźże, co się dzieje?

– *Hände hoch!* – zacharceli do wszystkich.

Ludzie, obezwładnieni lufami automatycznych pistoletów, podnosili ręce do góry. Chłopak pędził przez halę, tamci strzelali; zwałił się niego. Bronił się, krzyczał. Kopali leżącego, bili kolbami, masakrowali. Podejść do żandarma z tyłu, uderzyć w odsłoniętą szyję kantem wyćwiczonej, twardej dłoni! Lecz Antoni trzyma go mocno za rękę, nie wolno mu drgnąć. Właściwie co jest lepsze, myśli, zyskiwać bezpieczeństwo maskaradową obojętnością czy uderzyć i uderzeniem poderwać tłum do walki? Co daje większą korzyść moralną: udawać sojusznika, by potem zaatakować tym mocniej, lecz teraz widoczną biernością demoralizować innych, czy wystąpić jawnie, z bronią w rękę? – myślał tak w tamtej chwili i całą noc potem, gdy wśród niemieckich żołnierzy siedział w niemieckim pociągu...

Trzech dorosłych, wielkich, silnych mężczyzn katowało szczupłego młodzika. Skrwawiony, martwy leżał na kamiennej podłodze.

– *Komm, komm...* – ciągnął Bogdana Antoni.

Zamieć wałiła od prawej strony. Mokry śnieg zasypywał twarz, zalepiał oczy. Momentalnie maskował podłużne, wyraźne ślady narciarskich desek. „Ale duje, dujawica, cholera...” – skoro tylko w jakimś bardziej zacisznym miejscu przystanęli na chwilę tchu złapać, przewodnik kłął radośnie, nie smutnie. W taką porę żaden patrol – niemiecki czy słowacki – nie wyjdzie na granicę. Można było zabłądzić, ale nie można było wpaść. Zabłądzić się nie bali. Gdy w gęstym lesie zapalili papierosa osłaniając płomyk dłońmi, młody góral ze Starego Sącza chwalił się napisem wygrawerowanym na srebrnej papierośnicy; „Karolowi za setny raz Ewunia”. Śmiał się, uradowany i dumny. Ofiarowali mu to w zeszłym miesiącu w Budapeszcie, gdy granicę zrobił rzeczywiście po raz setny.

– Setny – liczony! – wyjaśniał skwapliwie; w rzeczywistości tych przejść było więcej.

– Ewunia? – dopytywał się Bogdan.

– Nasza komórka, ewakuacja, znaczy „ewa”, „ewunia”... nie? – wyjaśnił tamten.

Ciemno, mroźnie i mokro. Śnieg z twarzy i karku spływa za kołnierz wiatrówki, strużki wody biegną po plecach i piersiach. Bogdan posuwa się z wysiłkiem. Ciężko, choć jego plecak jest najlżejszy – zabrali mu do swoich worków ubranie i buty. Paroletni brak treningu. Stopy nie poruszają się już sprawnie. Ostatni raz hulał na nartach w Wielki Piątek trzydziestego dziewiątego roku: dziesięć razy zjechał nartostradą z Kasprowego do Kuźnic i tyleż razy wjechał kolejką; przy ostatnim zjeździe zatrzymał się aż na Krupówkach.

– Co się teraz dzieje z kolejką? – pytał swych przewodników.

– Ano, Niemcy wożą nią naszych, złapanych w górach...

Śnieg był świeży, lepki. Kleił się do butów i desek. Posuwali się wolno, pod górę przekopując się przez zaspy, na dół – powstrzymywani w rozpędzie. Pokonywali dwa żywioły, wiatr i śnieg. Wiatr uderzał, śnieg hamował i oszołamiał. Bogdan mozolnie dźwigał stopy, bolały go uda i kolana.

Przed sobą dostrzegał jedynie niknące w zawiei plecy przewodnika, Karola. Znowu Karola! Gdy w Starym Sączu usłyszał imię swego kolejnego opiekuna, zadrżał: zły omen! – aż sam na siebie się zachnął i w myślach zaczął się gorliwie przekonywać, iż klin wybija się klinem, ten Karol musi więc przynieść szczęście, którego tamten był pozbawiony. Za sobą słyszał miarowy chrzęst nart drugiego górala, Józka. On między nimi – cenny bagaż. Raz już tak wędrował za plecami przewodnika-przemysłownika. Wówczas czuł się jak z łaski przyjęty, ktoś byle jaki, teraz był pilnie strzeżony, troskliwie traktowany, awansował. Zlecenie przekazał im stary Antoni: ważny kurier winien szybko i zgodnie z planem znaleźć się w Budapeszcie, jakby od tego zależały losy wojny. Od chwili gdy dentysta wstawił mu cenne zęby, tak właśnie myślał o swej misji: od tych paru gramów metalu zależy byt narodu i świata. W monotonnym marszu rozpamiętywał kalendarz dotychczasowej przygody. Jeszcze pięć miesięcy temu kiblował wśród jeńców nad francuską granicą. Cztery miesiące temu – uprzytomnił sobie, iż minęło równe cztery miesiące! – także nocą, lecz księżycową i ciepłą, skradał się z

Ryszardem i Anglikami wśród pomorskich lasów. Teraz już wiedział: jednocześnie warszawskie gestapo otrzymało rozkaz założenia kotłów w dwóch mieszkaniach, na krańcu Mokotowa i w kamienicy na Królewskiej. Psy ich nie dopadły, dopadły depesze. Trzy miesiące temu – rachunek sprawiał satysfakcję i dodawał sił – siedząc beczynnie w pokoiku Alicji – co robi teraz Alicja? jak mało o niej myśli! – gryzł palce z wściekłości... Wichura strzelała gwałtownymi porywami. Posłyszał wyraźny szum lecących pocisków. Złudzenie! Na sekundę odsłaniały się zamazane, ciemne zarysy drzew i znowu wszystko niknęło w dokuczliwej zawiei.

Podchodzili zakosami wzdłuż linii lasów, zjeżdżali płaskimi zakrętami, uważając, by nie zgubić toru poprzednika. Niegdyś, w latach sztubackich, Bogdan uwielbiał nocne wykapki na nartach; urządzali sobie wtedy zawody: na czubach mocowali zapalone świece i zjeżdżali łagodnym zboczem, obserwując, która będzie się dłużej palić. Pewnej nocy pustą szosą pomknęli z Morskiego Oka do Zakopanego, na serpentynach wyslizganej drogi niosło ich niezwykle szybko, a księżyc mamił bladą poświatą... Wspomnienia. Nigdy dotąd nie posuwał się nocą w tak gęstej kurzawie. Zmęczony, przecierał rękawicą twarz pokrywaną się szronem.

Na melinie w Rytrze starannie dobierali mu deski. Gospodarz cierpliwie przynosił i odnosił narty i buty, przechowywane w skrytce pod drewnianą. Dwadzieścia par desek rozmaitej długości, dziesięć par butów – aż znalazł takie, które na podwójnych skarpetach pasowały najlepiej. Józek zręcznie umocował wiązania. Pierwsze kwadrans marszu były niezgrabne, trójkrok mylił mu się. Błogosławił kurniawę, która zmuszała przewodnika do ślizgu nieco wolniejszego: jego niezręczność słabiej kontrastowała z ich biegłością. Zjazdy były bardziej męczące; tak samo trudne, na domiar budziły jeszcze lęk. Podchodząc opierał się o skałę, o twardą opokę, zjeżdżając odrywał się od tego punktu zaufania. Mięśnie nóg miał kurczowo napięte – ślad przewodnika wyłaniał się z mgły w ostatniej chwili, raczej wyczuwały go deski, szukające wgłębienia w śniegu, niż wypatrywały oczy Bogdana. Byle nie zmylić toru!

Za granią ciemna plama pleców Karola zniknęła w mroku, gdy Józek komenderował: „Już!” Bogdan ruszał powoli. Co było poza przetartym śladem? Pochyłość – może bez żadnej szansy zatrzymania? Góry, które w świetle dnia wyglądały bezpiecznie i łagodnie, teraz budziły strach. Oddychał z ulgą, gdy nagle z zadymki wyłaniała się nieruchoma postać Karola i dobiegał go cichy okrzyk: „Stój!”

Nie mógł odsunąć rękawicy i sprawdzić godziny, w mroku nie dojrzałby wskazówek zegarka. Nie chciał się dopytywać. Musiał po prostu być cierpliwy. Przed wyjściem z Rytra zapytał, o której będą na miejscu. Karol odpowiedział nieokreślonym: „Rano...” Tyle niespodzianek może przekreślić ich planowe wyliczenia! Rano? Myślał: czy to czwarta w nocy, czy dziesiąta przed południem? Czy może oznacza to ową ruchomą granicę czasu, poza którą ciemność przestaje być schronieniem, a jasność naraża na dekonspirację? Kiedyż to rano nastąpi? W stopach czuł zimną wilgoć. Podwójne skarpetki okazały się niewystarczające.

Był zmęczony. Był zmęczony, choć kolejni przewodnicy dbali o odpoczynek. Był zmęczony napięciem i zdenerwowaniem, które nie ustępowały.

Trzy dni temu, wieczorem, wyjechali z Warszawy. Ośmiu pasażerów – sześciu żołnierzy niemieckich i dwóch kolejarzy – ciasno stłoczonych na dwóch twardych ławkach przedziału trzeciej klasy. Bogdan nie mógł się ruszyć, z lewej strony miał Antoniego, z prawej szkopa; wciśnięty między nich, zdenerwowany, wtulił głowę w fałdy płaszcza, udawał, że śpi, ale zasnąć nie mógł. Krzyk masakrowanego kolbami i butami chłopca, widok ciała przemienianego w łachman dręczyły go bez przerwy. Przebrany w niemiecki mundur, wypełniając inną, ważną misję, nie udzielił temu chłopcu pomocy. Czy tak wolno? Czy wolno mu było stać bez ruchu, gdy łapano Anglika, choć wynikało to z rachunku trzech do jednego, rachunku, który zresztą już po paru dniach stracił ważność, a może w ogóle był rachunkiem bez sensu? Może i Piotra jeszcze złapią, i jego też? Czy wolno, mając w kieszeni broń, spokojnie patrzeć, jak mordują innego człowieka, dlatego tylko, że jest się powołanym do spełnienia wyższego celu? Co to znaczy wyższy cel? Wygranie wojny przeciw mordercom! Ale gdzież ta pewność,

że dzięki przewiezieniu paru gramów stopu faktycznie przyczyni się do wygrania wojny? Czy żołnierz strzelający do wroga musi mieć pewność, że to jego kula akurat trafi? Gdyby żołnierz zadawał sobie podobne pytania, w ogóle przestałby strzelać. Wieziony przez niego stop może być taką kulą, która nie trafi, ale która powinna być wystrzelona. W tę bezseną noc w niemieckim przedziale, w niemieckim mundurze, pytał sam siebie: czy tylko on wiezie tych kilka gramów stopu? Czy jest jedynym, który może przyczynić się do zdobycia tej podobno tak ważnej, technicznej, naukowej informacji? Czy wolno zadawać sobie takie pytania? Udawał zaspanego podczas częstych kontroli frontowych przepustek i dokumentów niemieckich żołnierzy; od niego nie żądano papierów ani razu, kolejarze nie obchodzili żandarmów. Antoni leniwie gwarzył z żołnierzami. Opowiadali o swoich rodzinach w Vaterlandzie²⁶, o żonach i dziewczynach, pokazywali ich fotografie. On zaś wspominał dawne lata, gdy w czasie tamtej wojny jeździł na pruskich kolejach. Żartami podtrzymywał ich żarty, był gładki i uprzejmy, taktownie unikał wyrzekania na niewygody frontowe. „Ten stary Antoni to wspaniały konspirator” – powtarzał sobie Bogdan. Mimo to czuł lęk. Żeby się już skończyła ta niezmiernie długa podróż! Kiedy będzie Kraków? – pytał sam siebie.

Wyczerpany wysiadł rano w sennym Krakowie. Pierwsze wrażenie; zagęszczenie niemieckich mundurów trzykrotnie tutaj większe niż w Warszawie. Ich kolejarskie mundury znakomicie harmonizowały z niemiecką ulicą. Szybko przeszli przez Floriańską i Rynek, na cichą uliczkę Gołębią. Mała restauracyjka była ukryta pod gotyckimi sklepieniami starej kamieniczki. W głębokim kącie siedział jeden tylko gość. Niemiec kolejarz zażądał piwa w bufecie i Bogdan dojrzał, jak na widok Antoniego rozpromieniła się twarz wysokiego, siwego właściciela. Trzykrotne kiwnięcie głową było już tylko potwierdzeniem oczywistej, radosnej wieści: wszystko w porządku! Powoli, w milczeniu wypili piwo; wyszedłszy na Gołębią, skręcili w najbliższą bramę. W mieszkaniu na piętrze już na nich czekali – młode dzierlatki obcałowały Antoniego, zwanego tu wujaszkiem. Jeść? Umyć się? Spać? I śniadanie było gotowe, i łóżka w małżeńskiej sypialni obleczone świeżą bielizną. O dwunastej w południe pociąg do Nowego Sącza; Antoni uważnie sprawdził rozkazy jazdy i bilety. Wszystko się zgadzało. Rozebrali się i Antoni zachrapał po minucie – sprawiedliwy sen po wypełnionym obowiązku. Bogdan nie mógł zasnąć na miękkim posłaniu. Drzemał i budził się. Zdawało mu się, że ciągle jeszcze tkwi wśród niemieckich żołnierzy, jakiś żandarm bez trudu rozpoznaje jego fałszywy mundur i dokumenty. O jedenastej obudzono go; czuł się fatalnie, jak po okrutnym pijaństwie. Dalsza droga była łatwiejsza: na tej linii nie podróżowało już tak wielu Niemców; sami siedzieli w przedziale i sprawdzający bilety polski kolejarz tylko spojrzął przez szybę, nikt im głowy nie zawracał. W Nowym Sączu melina była tuż za stacją. Z jakąś bezmierną ulgą zrzucił niemiecki mundur! Jego własne ubranie, przywiezione przez innego kuriera, czekało już od kilku dni. Wyściskali się z Antonim – może jeszcze kiedyś się spotkają? Stary człowiek wziął paczkę z tajną pocztą, dziś rano przerzuconą ze Słowacji, i wieczornym pociągiem wrócił do Krakowa. Pojawił się nowy przewodnik, Józek, wesoły, młody góral. Razem pojechali saniami do Starego Sącza; tam, w niskim domu, zapadającym się ze starości w ziemię, w malutkim, ciepłym pokoiku Bogdan przeleżał noc całą i pół dnia następnego – to już był dzień wczorajszy. Przespał się nieco, odpoczął, lecz gdy wieczorem z góralskiej chaty w Rytrze, gdzie spotkali Karola, drugiego przewodnika, wyruszyli w zadymkę i śnieg, zmęczenie natychmiast wróciło. Narty okazały się ciężkie, a mięśnie twarde. Znowu był bagażem pozbawionym inicjatywy, mającym tylko poruszać tymi sztywnymi nogami. Aż złapał sam siebie na absurdalnej myśli; zateśknił do tamtych nocy, gdy wędrowali przez pomorskie lasy. Teraz patrzył tylko w płamę pleców przewodnika, patrzył tylko w słaby ślad umykającej narty!

Karol zatrzymał się. Doszli do niego wśród drzew na skraju lasu. Przed nimi rozpościerała

²⁶ Vaterland (niem.) – ojczyzna.

się szarociemna pustka, po której uganiał wicher.

– Zbocze łagodne. Szusujemy. Wy za mną...

– To już! – ucieszył się Józek. – Szatańsko się dziś zmachałem.

– Już! – potwierdził przewodnik, a dla Bogdana była to melodia anielskich chórów.

Karol ruszył w dół, przepychając się przez śnieg. Niosło go słabo. Pracował kijami. Aż zniknął w zamieci – i wtedy wystartował Bogdan. Ostatnie gałęzie uderzyły go po głowie i wysunął się na stok, którego nie widział. W przetartej koleinie niosło go szybciej niż przy poprzednich zjazdach. Jakoś się wreszcie rozkręcił – na mecie! – nogi sprawniej kierowały deskami. Karol przetarł tor klasycznie wąski – Bogdan utrzymał się w nim nie rozsuwając nart. Pęd coraz większy. Płynął w chmurze i wyteżał wzrok, by nie zmylić szlaku. Trwało to długo, było przyjemne. Zamajaczyły przed nim drzewa, dostrzegł stojącą z boku postać i usłyszał cichy okrzyk:

– Hamuj!

Wywrócił się momentalnie – łagodnie i nieszkodliwie. Józek nadjechał tuż za nim.

Koliba przykryta była czapą śniegu. Góral nartą odgarnął nasyp. Pchnął drzwiczki i na deskach, schylając się, wjechał wprost do niewielkiego, ale mocno zbudowanego szałas. Wsunęli się za nim. Było tak wysoko, że mogli się wyprostować.

– W dziesiątkę! – pochwalił Józek. – Ja tam zawsze szukam i szukam.

Karol poświecił zapalką.

– Szósta.

– Dziewięć godzin, o rany! – zdumiał się Bogdan. Gdy mozolił się wśród zawiei, każda minuta była długa jak wieczność; teraz wydawało mu się, że niedawno wyszli z Rytra.

– Za trzy godziny zaczniemy wypatrywać auta. Kupa czasu... Też pewnie się spóźni, drogę ma trudną...

Zdejmowali narty, prostowali kości. Józek wyciągnął termos i chleb z kielbasą.

Przepakowywali się. Józek oddał Bogdanowi jego codzienne, zreżnięte ubranie, które miał włożyć po przejściu granicy węgierskiej. Rozdzielali bagaż już tylko do dwóch plecaków.

– Węgierska będzie lżejsza – objaśniał Karol nowicjuszowi. Będą ją forsować tylko we dwóch, Józek jeszcze dziś w nocy wraca do Gubernatorstwa. Pod drewniane kloce, leżące w kącie, schowali deski Karola i Bogdana. Węgierską granicę można robić na piechotę. Narty poczekają na powrót Karola.

– Kiedy? – wypytywał Bogdan.

– Za cztery dni, za tydzień... Nigdy nie wiadomo, jak długo zatrzymają w Budapeszcie. Może będę musiał na kogoś czekać, często prowadzę ludzi do kraju... Ruch w obie strony Krupówki! – rozgadał się przewodnik.

– Kennkarta! – odebrali Bogdanowi dokument z G.G. Józek nacisnął podwójne dno aluminiowego pudełka – rozsunęło się. Wyjął słowacki dowód osobisty, opatrzony fotografią Bogdana. – Przy legitymowaniu po drodze wystarczy...

Karol również wymieniał swoje dokumenty, bardzo wiarogodnie sfatygowane. Żartowali, jakby już byli w Budapeszcie.

Dniało. Wichura uspokajała się. Dzień był pochmurny jeszcze, lecz spokojny. Nieco wypoczęci, najedzeni, wyszli na dwór. W dole, przez drzewa, widzieli szosę zasypaną śniegiem.

Zaraz powinien przejść pług – pocieszali się. Inaczej Jirzi by nie przyjechał. Wrócili do koliby i przez uchylone drzwi obserwowali drogę.

O ósmej przeszedł pług – starannie odśnieżano główną magistralę niemieckich transportów. Potem co kilkanaście minut warczały ciężarówki wyładowane wojskowym sprzętem.

– Jest! – krzyknął Józek wartujący przy drzwiach.

Około dziesiątej na szosie zatrzymało się osobowe auto, z którego nikt nie wysiadł. Zatrzymało się i z pewnym trudem – by nie nazbyt głęboko zaryć się w śnieg – zaczęło wykre-

cać. Bogdan i Karol chwycili plecaki.

Skacząc przez głęboki śnieg, między drzewami, zbiegli na szosę. Szofer podał Józkowi niewielką paczkę. Karol popchnął Bogdana do samochodu. Szosa była pusta, aż po oba zakręty, ale musieli się spieszyć. Nikt ich tutaj nie powinien zobaczyć. Krzyknawszy: „Trzymajcie się!” – Józek już biegł z powrotem do koliby. Jutro rano będzie w Rytrze. Pojutrze poczta dotrze do Warszawy. „Jutro po południu my będziemy w Budapeszcie” – po raz pierwszy Karol tak precyzyjnie określił czas przyszły. Więc najtrudniejsze było za nimi.

– Słuchałeś, dziś słuchałeś? – Karol rozpytywał szofera. Nie było wątpliwości, iż ciekawość przewodnika nie obejmowała komunikatów radia Bratysławy ani Pragi, ani Berlina.

– Leją bez przerwy pod Stalingradem, na Kaukazie, w Afryce... Cofają się bez przerwy...

– W Stalingradzie już się cofać nie mogą.

– Dopadli ich... ha!...

Szofer, człowiek starszy, o suchej twarzy, roześmiał się radośnie. Auto ślizgało się po z lekka przetartej szosie. Nocna zadymka ustała i zimne słońce wisiało na jasnym niebie. Obaj górale, Słowak i Polak, mówili tym samym językiem, który Bogdan rozumiał doskonale. Karol rozpytywał o żonę i dzieciaki, tamten o jakichś młodych ludzi, kiedy znowu zaczną chodzić? Uciekli konwojującym ich żandarmom – muszą przeczekać! Karol opowiedział historię z Zakopanego: schwytany w górach partyzant, gdy kolejką zwozili go z Kasprowego, wyskoczył z wysokości kilkudziesięciu metrów w puszysty śnieg.

– Zastrzelili go? – pytał z przejęciem Słowak.

– Podobno zwiął... – uspokajał Karol.

Jeden opowiadał o przyjaciółach więzionych w Krakowie na Montelupich, drugi o towarzyszach zamordowanych przez faszystowską Gwardię Hlinki. Zwykły różaniec codziennej, trudnej walki.

Bogdan milczał wsłuchany w ich opowieści, wpatrzony w krajobraz. Dzień był piękny. Obniżały się góry, poszerzały doliny. Samochód pracował znakomicie.

Wypadli zza zakrętu i ledwo zdążyli zahamować. Karol krzyknął:

– O Boże! Wacek...

Na szosie przyprószonej śniegiem – już południe kraju – samochód osobowy tarasował drogę. Patrol żandarmów słowackich, przed nim dwaj mężczyźni i kobieta z podniesionymi do góry rękami. Bogdan poznał ją natychmiast: to ta piękna dziewczyna z warszawskiego dworca; tym razem jej papiery nie były dostatecznie dobre lub zachowanie się wobec żandarmów słowackich dostatecznie pewne. Coś się tu stało!

Jirzi hamował. Karol warknął coś tylko i z toczącego się auta skoczył prosto na szosę, już prując z pistoletu do słowackich żandarmów. Jeden zważył się natychmiast, lecz inni odpowiedzieli serią z automatów.

Nie! tym razem nie czekał ani sekundy. Z kabury na brzuchu wyszarpnął swe parabellum. Gwałtownie otworzył drzwiczki samochodu, Słowak coś wołał, nie słuchał go – już był na szosie, biegł za Karolem i celował do wrogów w zielonych mundurach.

Aresztowani – Wacek, polski kurier, szofer słowacki i kobieta – opuścili ręce. Polak i dziewczyna sięgnęli po broń.

Drugi żandarm zważył się na ziemię. Krew ciemniała na białej szosie.

Bogdan dobiegł za stojące na drodze auto.

Dostrzegł, jak Jirzi zjechał na obrzeże szosy, zwiększając szybkość zatoczył łuk, minął stojące auto, zahamował kilkanaście metrów za walczącymi i trzymając maszynę na gazie, czekał gotowy do ucieczki.

Szanse bitwy nie wydawały się równe. Uzbrojonych po zęby żandarmów było więcej. Słowak, kierowca zatrzymanego samochodu, nie miał broni. „Dlaczego on nie ma broni? – pomyślał Bogdan. – Może została w samochodzie, wsunięta pod siedzenie? Może...”

Kobieta zrzuciła kozuch, skoczyła za maskę samochodu. Pomyślał – dziwne pytania nagle

przychodzą do głowy – w jaki sposób przeniosła ten kozuch przez granicę? Strzelał.

Karol walczył odsłonięty. Przy szosie nie było żadnych drzew i góral tańczył między seriami pocisków. Wacek, jego przyjaciel, wydostał się w pole, poza szosę i stamtąd usiłował pojedynczymi strzałami szachować żandarmów.

Hlinkowcy rozsypali się. Wolno podchodzili do czekającego w pobliżu auta.

Bogdan strzelał.

Strzelał po raz pierwszy od tamtej pomorskiej nocy, gdy śpiącemu Niemcowi zabrał jego krótką broń. Strzelał! – walka zbrojna oko w oko, twarz w twarz, była najpiękniejszym snem i obowiązkiem żołnierza. Źle czuł się w roli jeńca, nie najlepiej w roli konspiratora – chciał być żołnierzem. Był nim właśnie teraz.

Błyskawicznie zmienił magazynek. Żandarmi otaczali ich z daleka. Jego pociski nie doosiły, nie trafiały. Karol już leżał na szosie. Ranny? Zabity?

Parabellum szczęknęło głucho – poszły wszystkie naboje!

Dziewczyna spojrzała na niego: dlaczego nie strzela?

Nie mógł strzelać. Nie mógł uciekać. Otaczali ich.

Wacek z pola runął do samochodu – przyjaciela nie zdoła już uratować. Jirzi czekał. Odjechali natychmiast z ogromną szybkością. Strzelano za nimi, bez skutku.

Karol leżąc na szosie krzyczał coś, czego Bogdan nie rozumiał.

Żandarmi z wymierzonymi automatami podchodzili do mężczyzny i kobiety. Wołali, by ręce podnieść do góry!

Dziewczynie też zabrakło naboji.

Stali obok siebie nie podnosząc rąk. Żandarmi byli coraz bliżej.

– Idioci! Trzeba było jechać! Myśmy byli straceni. Rycerze, psiakrew! – warknęła kobieta.

– Zamiast podziękować... – zdziwił się.

– Za brawurową głupotę? Też! Poczczę mieliście?

Nie wiedział, może Karol miał pocztę?

– Została w aucie. W plecaku – szepnął.

Żandarmi byli tuż.

– Przynajmniej jeden się uratował... dowiedzie... – młoda kobieta westchnęła z rezygnacją. Podniosła ręce do góry. Bogdan uczynił to samo.

Krystyna

Zgrzyt.

Tyle razy czytał o trzasku klucza zamykającego więzienną celę. Słyszy się go za plecami, nim oczy aresztowanego zdążą rozróżnić zarys pryczy i kształt zakratowanego okna, nim padnie pierwsze powitalne słowo już siedzącego współwięźnia. Trzask klucza – jak wyrok. Trzask klucza – koniec?

Wszystko jak w literackim opisie. Lekko popchnięty w plecy przekroczył próg i usłyszał za sobą szczęk zamka. Drzwi się zatrzasnęły. Półmrok wypełniał mroczną izdebkę, ciasną, niską, śmierdzącą brudem, odchodami, źle mytym ciałem.

Koniec?

Za plecami, z tyłu, usłyszał jeszcze jakiś odgłos. Odwrócił się natychmiast. Przez odsunięty krążek judasza patrzyło nań oko strażnika; po chwili zniknęło, klapka opadła z metalicznym dźwiękiem.

Osiem kroków od drzwi do okna. Niewielkie okienko otwiera się do środka, od strony zewnętrznej zabezpieczone dwoma żelaznymi prętami. Krata wygląda gorzej, groźniej niż druty w oflagu. Okno umieszczone wysoko ponad głową zamkniętego człowieka. Zawrócił – osiem kroków do drzwi solidnych, okutych, nie do wyłamania. Osiem kroków! Bogdan roześmiał się sam do siebie, cichutko. Osiem kroków naprzód, osiem kroków bokiem, osiem kroków tyłem, osiem, kółko, w tył... – przypomniała mu się rytmiczna komenda mistrza pracowicie uczącego piętnastolatków, jak tańczyć tango. Osiem kroków naprzód – od drzwi do okna. Zawracał, zawracał, coraz wolniej, coraz ciężiej stawiając nogi. W półmroku z trudem dostrzegał napisy i kreski wydrapane w szarawym tynku. Kreski mógł policzyć – w jednym miejscu było ich pięćdziesiąt osiem. Zadrzał. Niemal dwa miesiące w takim świństwie! Jakie przestępstwo popełnił ten człowiek? Może zgola niewielkie, jeżeli tak długo trzymano go w podłym, byle jakim, wiejskim areszcie. Ich mają stąd wywieźć już jutro... do dużego miasta? Dokąd? Odnalazł inne napisy, ale nie mógł ich odczytać, światła jeszcze nie zapalono, choć pod sufitem wisiała żarówka osłonięta drucianym kloszem. Przy ścianach dwie prycze z szerokimi siennikami. Dwa stołki. W rogu cuchnący kibel przykryty drewnianą pokrywą – źródło mdlącego smrodu.

Koniec?

Jutro wydadzą go Niemcom. I zaraz pytanie, jakie zada mu gestapowiec w Bratysławie lub Pradze: uciekł pan z oflagu? No dobrze, ale skąd pan się znalazł w tym słowackim aucie?

Musi więc wymyślić historię najbardziej wiarygodną. Jaką? Ma przed sobą tylko jedną noc, jutro rano musi być gotowy do udzielania lub odmawiania odpowiedzi. Nad ranem, w kolibie – jak dawno to było! – Józek opowiadał o ucieczkach ze słowackich i węgierskich aresztów, o ucieczkach podczas transportów, o ucieczkach z budapeszteńskiej cytadeli i z gestapowskiego więzienia w Krakowie.

Stołek przystawił pod okno. Włazł. Otworzył brudne szyby i wyjrzał na świat. Szerokie, zaśnieżone pole. dalej linia lasu, bliżej niewysoki murek, który można by przesadzić jednym skokiem.

Spróbował: głowa gładko przeszła między dwoma prętami. Mocno szarpnął kratę – jakby drgnęła w murze, ale mogło to być tylko złudzenie więźnia łaknącego nadziei. Gdyby miał

przed sobą więcej czasu, może by mu się udało rozdrapać mur, obluzować kratę. Przekręcił się na bok, przymierzył piersiami. Ciężko... Gdyby tak zdjęć ubranie?...

Za wcześnie. Grudniowy zmrok dopiero opadał. Może jest wpół do czwartej, może czwarta.

Głos kobiecy! Zeskoczył ze stołka, podbiegł – osiem kroków! – do drzwi, przytulił ucho do judasza. Głośnie, choć przytłumione słowa dobiegały zza zamkniętych trzecich czy czwartych drzwi. Domagała się futra, gdyż było jej zimno. Strażnik coś odwarknął. Kroki podkutyh butów, trzask zamka – otworzono drzwi celi – Bogdan usłyszał jej podziękowanie. Dostała swój kozuch.

Przywieziono ich tutaj przed godziną, nie dawniej. Auto przejechało przez wieś – długą, rozłożystą, gęstą – minęło plac rozszerzający się po obu stronach drogi i stanęło przed niewielkim jednopiętrowym budynkiem, znajdującym się już na skraju wsi. Owalna tablica z herbem państwa księdza Tiso zdobiła posterunek Hlinkowej Gwardii. Dowódca żandarmów, który sam prowadził zdobyczny samochód zabitego Słowaka, zawołał ostro:

– Wychodź!

Konwojent siedzący obok kierowcy wyskoczył pierwszy i od razu wyciągnął karabin. Bogdan i młoda kobieta, przykuci kajdankami do rąk rozpartego pomiędzy nimi gwardzisty, z trudem gramolili się z auta.

Pilnowano ich starannie. Podczas długiego wyczekiwania na szosie trzymano ich z dala od siebie, każde miało oddzielnego strażnika. W samochodzie też nie mogli zamienić ze sobą ani jednego słowa. A tak było im to potrzebne! Powinni uzgodnić swoje zeznania.

Kierowca, Słowak, leżał martwy. Ale Karol żył, poruszał się, coś nawet mówił do nich, choć nie mogli go usłyszeć; z drugiej strony drogi patrzyli tylko z największym niepokojem, jak żandarmi zabierali krwawiącego Polaka do swego samochodu. Paru gwardzistów pojechało z nim pewnie do szpitala, gdzie będą próbowali go wyleczyć przed wydaniem Niemcom na tortury.

W końcu hlinkowcy zdecydowali się: aresztowanych – kobietę i mężczyznę – wsadzili do tego samego auta, którym ona przyjechała znad polskiej granicy. Dowódca usiadł za kierownicą. Wracali na swój macierzysty posterunek. Tam spiszą protokoły, zameldują przełożonym o sukcesie. Muszą nacieszyć się zwycięstwem.

Nie jechali długo; dziesięć, może dwanaście kilometrów.

Przed aresztem stał tłum ludzi. Nim zdążyli wyjść z auta, utworzył się zwarty szpaler ciekawych: mężczyźni w grubych kozuchach i kobiety w ciemnych chustach. Uzbrowiony konwojent krzyknął, by się odsunęli – ani drgnęli, stłoczeni ciasno, ciekawi widowiska. O strzelaninie na drodze już tutaj wiedziano. Bogdan obejrzał się: czy ten tłum, jak tamten, niemiecki, przed trzema miesiącami, też zaatakują ich obelżywym wrzaskiem? Czy sypną się wyzwiska?... Cisza. Zupełna cisza. Nikt ze Słowaków ani jednym słowem nie poparł gwardzistów.

Wartownik pilnujący budynku zameldował się dowódcy.

– Do jutra! – Bogdan uchwycił zlecenie wydane strażnikowi.

Rewidowano go pierwszego. Rewolwer zabrano mu już na szosie. Kobieta czekała na korytarzu, gdy strażnik systematycznie opróżniał jego kieszenie. Odsunął słowacki dowód osobisty. Zażądał pieniędzy.

– Nie mam! – Bogdan wrzucił ramionami. Spodziewał się, że mu nie sprują rozporka ani podszewki pod spodniami – miał tam schowane dolary.

Wyciągnęli pasek, z narciarskich butów wyjęli sznurowadła. Chustki do nosa zostawili. Dolarów nie wymacali. Korytarzykiem przeprowadzili go do samego końca, pod czwartą celę. W sąsiedniej jakiś męski głos śpiewał żalną piosenkę. Strażnik kopnął w drzwi.

– Cicho! – ryknął na śpiewaka.

Tamten zamilkł. Może śpiew miał być sygnałem dla towarzyszy?

Drzwi zamknęły się za Bogdanem.

Koniec?

Nie mógł usiedzieć na stołku. Zerwał się z pryczy. Krążył po pustej celi. Będzie milczał. Zaczną go lać? Jak długo wytrzyma bicie? Wtedy dopiero przyzna się do ucieczki z oflagu. I do własnego, prawdziwego nazwiska. W Warszawie zalecano: po prostu uciekł pan z oflagu, aby dostać się do wojska polskiego za granicą, tak nakazują kodeksy honorowe wszystkich armii. Karny obóz jeniecki, i to wszystko! Nie wszystko, okazuje się. Jak zdobył słowackie auto? Co go łączyło z tym Słowakiem? Gdzie spotkał się z Karolem? Co go z nim łączyło?... A co zezna Karol, gdy podkurują go nieco w szpitalu? Co zezna ta kobieta, z którą nie mógł nic uzgodnić? Nawet imienia jej dotąd nie zna. To lepiej, są naprawdę obcy i nic o sobie nie wiedzą. Czy Słowaka, który uciekł z Wackiem, już złowili? Tamci mogli od razu porzucić auto i pruć na Węgry. Ale przecież mają numery tych aut, jedno zabrali, trafią do rodzin, ustalą nazwiska... Więc co im mówić? Nic?...

Na dworze było już zupełnie ciemno, w celi mroczno, czarno. O którejś godzinie szczęknął zamek – zupa ostra, z papryką, bardzo smaczna, z wkruszonymi kawałkami pieczywa i oddzielnie cienki zuchelek chleba posmarowanego smalcem. W kieszeni wiatrówki znalazł kawałek papieru, zlekceważonego przy rewizji; tłuszcz zgarnął na papier, nie było tego wiele. Podając menażkę strażnik zapalił słabiutką żarówkę – zaraz ją zgasił, gdy odbierał naczynie, w zamian rzucając na pryczę dwa liche koce na noc. „Oszczędność prądu – domyślał się Bogdan – lub tańszy niż założenie okiennic sposób zaciemniania.”

Po jakimś czasie otworzył okno – przyjemny, lekki mróz. Nasłuchiwał. Od strony wsi nie dochodziły żadne odgłosy i wokół budynku więziennego panowała cisza. Może jednak jeszcze zbyt wcześnie?

Krążył po celi. Co im powie? Przeszedłszy góry, stał na drodze, kiwał dłonią na przejeżdżające auta, jedno go zabrało... Śmieszne tłumaczenie! I akurat przewiozło z jednego krańca Słowacji na drugi, spod granicy północnej na południową? Kto mu w to uwierzy!

Judasz był źle dopasowany – z boku odkryty wąski półksiężyc. Przez szparę nie dostrzegł nikogo. Na korytarzu było ciemno. Wartownik zapewne spał w swojej izbie. Przyłożył ucho do drzwi – cisza w całym areszcie.

Rozebrał się. Zdjął wiatrówkę, kurtkę, flanelową koszulę, podkoszulkę i został w spodniach. Zsunął zbyt luźne buty, które mogły spaść i narobić hałasu. Przedarł jedną z trzech chustek, które miał w kieszeni, skręcił jak sznurek, związał razem oba trzewiki, przewiesił na ramie okna, by mu nie przeszkadzały w gimnastycznej operacji. Ubranie przerzucił przez parapet. Wszystko musiał mieć w zasięgu ręki,

Smalec rozsmarował na piersiach i na plecach. Stał na stołku. Otworzył okno.

Wsunął głowę między pręty. Przeszła swobodnie.

Trzymając się jedną dłonią kraty, drugą uchwycił się muru. Przekreślił się cały, by bokiem wypełznąć między żelazne pręty. Odbił się od stołka, wsparł się biodrem o parapet. Poczł bolesny ucisk wąskiej drewnianej futryny. Piersi i plecy dostały się w kleszcze dwóch kawałków żelaza. Gdy przesunie piersi, wiedział, że przejdzie cały. Brzuch jest elastyczny.

Ciało milimetr po milimetrze przeciskało się między prętami. Wypychał się do przodu. Żelazo zdzierało naskórek z piersi i pleców. Nie czuł bólu. Zalewały go tylko fale zimna i gorąca. Nagi w mroźną noc. Chwilami tracił świadomość czasu, ale zachowywał przytomność ruchów. Jeszcze milimetr, jeszcze kawałek, jeszcze... Aż wreszcie między sztywnymi prętami przesunął dobrze umięśnioną klatkę piersiową.

Jęknął boleśnie i radośnie.

Wciągnął brzuch. Teraz musiał uważać, by zbyt raptownie nie wypaść na drugą stronę. Zgiął nogi, kolanami zahaczył się o żelazo. Ręką trzymał się kraty. Drugą zrzucił w śnieg buty i ubranie.

Odbił się rękami, szczupakiem runął do przodu. Przekreślił się w powietrzu – zgrabnie opadł na stopy.

Pierwsza myśl: radość, że ma ciepłe skarpety!

I druga myśl: ile to wszystko trwało?

Nasłuchiwał.

Cisza. Nikt nie alarmuje. Nikt nie spostrzegł ucieczki.

Ubrał się szybko. Dopiero teraz poczuł, jak piecze skóra na piersiach.

Buty niósł w ręce. Ostrożnie ruszył wzdłuż muru.

Które okno może być jej? Trzecie czy czwarte, licząc od jego celi? Zapukać? Nie! Przez kraty dziewczyny nie przeciągnie.

Obchodził ciemny, uśpiony budynek. Skradał się. Śnieg głużył kroki.

Za rogiem muru dojrzał zarysy wiejskich domów. Wszystkie ciemne i ciche. Śpią czy tylko okna zaciemnione? Daleko zaszczekał pies. W cieniu muru Bogdan dotarł do następnego narożnika. Wyrzwał – i cofnął się momentalnie. Nieruchomy wartownik stał zwrócony twarzą w jego stronę. Atak od przodu był zbyt wielkim ryzykiem.

Zawrócił. Szybko obszedł budynek, by wyjść z drugiej strony. Na chwilę zatrzymał się pod otwartym oknem swej celi. Cisza. Znowu wyrzwał zza narożnika. Teraz wartownik stał tyłem do niego.

Skok!

Kantem dłoni w szyję, z całej siły. Podtrzymał opadające na ziemię ciało. Zemdlonego opuścił w śnieg. Już miał karabin.

Drzwi były otwarte, wystarczyło nacisnąć klamkę. W głębi korytarza, w dyżurce, paliło się światło. Hlinkowy gwardzista drzemał, podłożywszy ramię pod głowę. Obok stał telefon. Słyszając kroki wartownik przebudził się i uniósł głowę. Zagadnął dobrodusznie:

– Pawliczek? – oczekiwał kolegi, którego miał zmienić.

– *Hände hoch!*

Bogdan chwycił za sznur telefonu, szarpnął mocno, wyrwał drut z gniazdka.

Zaspany, przerażony strażnik z trudem pojmował sytuację. Był to ten sam wartownik, który przed paru godzinami podawał Bogdanowi menażkę z zupą i koce.

Uniósł ręce do góry i nagle... cicho zachichotał.

– Klucze? – zapytał pierwszy i sięgnął po pęk kluczy zawieszonych na żelaznym dużym kole. Zręcznie wyłuskał jeden i podał Bogdanowi.

– W pierwszej celi – informował nie pytany.

Bogdan stał zdetonowany jego gorliwą uległością.

– Otworzę! – Słowak zerwał się i pod karabinem Bogdana ochoczo ruszył prosto do pierwszej celi.

Przekręcił klucz w zamku. Bogdan zawołał z cicha:

– Idziemy! Proszę pani, idziemy!

Wybiegła szybko, okryta kożuchem.

– A rzeczy? – powiedziała przytomnie.

Strażnik zrozumiał.

Znowu ruszył przodem. Bogdan ciągle trzymał go na muszce.

Weszli do niewielkiej izby. Szafa nie była nawet zamknięta. Strażnik sam im podawał, wciskał do rąk wszystko, co leżało na dwóch sąsiednich półeczkach: zegarki, sznurowadła, pasek do spodni, torebkę, wieczne pióro, wszystko, wszystko...

Już chcieli biec, gdy zastawił im drogę, chwycił Bogdana za ramię i polecił:

– Mocno związać! – wyciągnął ręce, zza stołu dyżurki podawał im kłęb sznura.

Dziewczyna pojęła szybciej niż Bogdan:

– Musimy go związać i zakneblować mu usta, nie może za nas odpowiadać...

Słowak wyciągnął z kabury swój rewolwer i podał Bogdanowi. Na drogę! Gdy już wiazali mu ręce, tłumaczył:

– Skręćcie w prawo, prosto drogą, w lesie będzie ścieżka, znowu w prawo, prosto, prosto,

ciągle prosto i zaraz *Madziarsko...*

Położył się na pryczy w dyżurce. Bogdan krępował mu nogi.

Po chwili tylko oczy śmiały się strażnikowi znad ścierki związanej na ustach.

Wybiegli na drogę. Za progiem leżał nieruchomo gwardzista – oszołomiony czy zabity? Bogdan cisnął karabin, wystarczy mu rewolwer.

– Może to już? – raz po raz pytał niecierpliwie. Był od niej silniejszy, lecz bardziej niespokojny. Śnieg padał dużymi, ciężkimi płatami, szybko zasypując głębokie ślady narciarskich butów.

Wczorajsza jazda na deskach wydawała się lekkim sportowym spacerem, choć dźwigali wówczas plecaki. Teraz tęsknili do nart. Każdy krok był męczarnią. Każdy krok należało wypracować, nogę wyciągnąć ze śnieżnej jamy, by zapaść się w śnieg o kilkanaście centymetrów dalej. On szedł pierwszy, torował drogę. Ona stawiała stopy w jego ślady. Często prosiła, by stanąć, zatrzymać się, wychnąć. Wlekli się jedno obok drugiego, jedno wsparte o drugie. Pytał: „Może to już?”

Odpowiadała, że chyba jeszcze nie... To ona bowiem, gdy tylko z wiejskiego aresztu wypadli na drogę, skręcając w prawo, jak zlecił przychylny im gwardzista, stała się jakby przewodnikiem. Wiedziała, w którą stronę powinni się skierować, by uciec z państwem księdza Tiso. Poruszała się pewnie, nie miała wątpliwości i Bogdan od razu wyczuł, że orientuje się doskonale w tym terenie. „Skąd ona to wszystko tak dobrze zna?” – zastanawiał się, lecz nie pytał.

Pierwsze kilometry przeszli szybko. Najpierw posuwali się ścieżkami, gdzie śnieg był trochę ubity. Potem ruszyli prosto przez las. Podchodzili pod łagodne zbocza i znów schodzili w dół. Droga była coraz gorsza, każdy krok coraz bardziej mozolny. Zimno przenikało przez ubrania. Buty, nieustannie zanurzone w śniegu, przemakały.

I ciągle ta sama, niespokojna myśl, którą nie chciał się z nią dzielić: czy idą we właściwą stronę? Czy powinien jej ufać? Kim ona jest? Przerzucana tym samym kurierskim szlakiem – tyle tylko wiedział. To dużo, ale czy wystarczająco wiele, by ufać jej wiedzy o ścieżkach prowadzących przez kopny śnieg, bezdrożami? W skali europejskiej powinni kierować się na południe, lecz w skali tej gminy mogła to być droga na zachód lub na wschód, linia granicy była bowiem kręta, wyznaczana uskokami terenu i tytułami prywatnej własności gruntów. Na niebie nie widać Gwiazdy Polarnej, na drzewach nie znać mchu, więc jak bez kompasu ustalić kierunek? I jaki kierunek? Wydawało mu się, że idą drogą najbardziej prostą, lecz mogli błędzić, mogli kręcić się w kółko. Mogli, lecz musieli iść, nie wolno im było zatrzymać się dłużej, niż tego wymagało zmęczenie kobiety.

Ryzykowali. Przenikani chłodem i wilgocią. Paraliżowani zmęczeniem i tą okrutną niemocą, która pojawia się wówczas, gdy nie wiemy, jak długo nam iść wypadnie. Droga, której się nie zna, zawsze dłuży się niezmiernie.

Trzy lata temu też tak wędrował – przez zieloną granicę. Lecz teraz nic nie przypominało tamtej trasy. Las jesienny był zupełnie inny niż las ośnieżony. Twarda ścieżka na łagodnych upłazach była wygodniejsza niż grząskie, wilgotne jamy, w które zapadały się nogi. Wtedy prowadził ich przewodnik, teraz byli zdani tylko na siebie. Szli wówczas z przyjacielem, rówieśnikiem, pełni zuchwałego wigoru. Jeszcze nie poraził ich niemiecki terror, jeszcze nie wiedzieli, że człowiek stał się tym, którego goniają jak zwierzę do rzeźni, i tym, który sam szlachtuje innych. Teraz już wiedział, czym jest terror, wiedział, czego ma się bać. Egzekucji, tortur, obozu... Wczoraj, prowadzony przez górala, ani razu nie pomyślał o swym pierwszym przejściu granicznym, teraz nieustannie wracał doń pamięcią. Zazdrościł sam sobie dawnej przygody? A może żałował, bo gdyby wtedy nie ruszył się z Warszawy, uniknęłyby teraz tej zimnej, śnieżnej, strasznej drogi. Wszystko wydawało mu się łatwiejsze do zniesienia niż udreka dzisiejszego marszu. Były takie sekundy – jakże się ich wstydził – gdy żałował decyzji ucieczki ze słowackiego aresztu.

– Może to już? Jak myślisz?...

Nie znał dotąd jej imienia. Najpierw pytał: „Czy pani sądzi?”, „Jak pani myśli?...” Odpowiadała mu tak samo: „Proszę pana”. Lecz po paru godzinach marszu, gdy ślaniała się ze zmęczenia, gdy raz po raz musiał ją podtrzymywać, zwrócił się do niej po prostu, bez ceregieli, po koleżeńsku przez „ty”.

– Chyba już... – szepnęła nareszcie przy którymś z kolei niecierpliwym pytaniu.

Już – to znaczyło tylko, że słowackie i hitlerowskie niebezpieczeństwo przestało im grozić, że nie dopadną ich gwardziści, nie dogonią psy. Oznaczało to tylko granicę niebezpieczeństw, z których jedno minęło, a drugie się zaczyna. Wczoraj, w kolibie, nad ranem, Karol i Józek powtarzali wesołe anegdoty z aresztów węgierskich. Żandarmeria węgierska – tak zwane „koguty” – też aresztowała przechodzących nielegalnie granicę i też potrafiła ich wyszpurować – jak się to pięknie nazywało w żargonie kurierów – z powrotem za granicę słowacką. Dla niego jednak to „już” znaczyło bardzo wiele, znaczyło – nadzieję. Pamiętał przecież, jakże dokładnie, gościnny kraj sprzed trzech lat. Spotykając młodych Polaków w pociągu jadącym z Koszyc do Budapesztu, Węgrzy ściskali im dłonie, częstowali winem, owocami. Na Węgrzech doznał wówczas tyle dobrego, tak szybko wyruszył stąd w dalszą drogę do Francji...

Śnieg i drzewa. Śnieg i drzewa. Coraz trudniej torować drogę.

– Nie mam siły... – zatrzymała się dysząc ciężko. – Nie mogę już.

– Jeszcze trochę... sama mówiłaś... – nie potrafił znaleźć słów, które dodałyby jej energii. – Błagam cię, jeszcze kilometr, dwa najwyżej! Sama mówiłaś... już...

– Już... – bezradnie machnęła dłonią – już nie mogę...

– Chodź... błagam... chodź... – I nagle krzyknął z cicha, lecz twardo i bezwzględnie: – Zabiję cię tutaj! – wyciągnął słowacki rewolwer. – Zabiję jak tego strażnika przed aresztem, rozumiesz! Ruszaj się! – wymierzył w nią broń. Nie mógł tu zostać i nie mógł jej porzucić. Musiał ją przemóc. Wydobyć z niej wszystkie siły. Chciał krzyknąć, że łatwiej na warszawskim dworcu szkląć oczy żandarmom, gdy ma się dobrze sfalszowany dokument, niż teraz, w tym śniegu...

Rozpląkała się, wstrząsały nią dreszcze. Zrobiło mu się żal, przygarnął ją. Próbował unieść kobietę otuloną w futro, ale z ciężarem na rękach nie mógł posunąć się nawet o krok.

Objął ją pod ramiona, pociągnął naprzód – krok za krokiem. Było im chyba ciężiej, niż gdy każde szło oddzielnie, lecz wzajemna bliskość dodawała sił.

– Dobrze... dobrze... – szeptał niczym do dziecka, które uczy się chodzić. – Jeszcze... jeszcze... To już niedaleko... sama mówiłaś... kochana... kochana... – chciał trafić do niej najserdeczniejszym słowem, nie powinien tak mówić, ale było to słowo tylko tej jednej chwili. – Kochana... już blisko...

Skądś dobiegło naszczekiwanie psów. Ze śnieżnej waty – szli już całą noc, zaczynał się ranek – wyłaniały się zarysy dalekich zabudowań.

– A jak nas złapią?... – przystanął. Lepiej z góry uzgodnić zeznania.

– Powiem prawdę: uciekłam z getta – odpowiedź była przytomna, jakby nagle minęło zmęczenie.

– Z getta? – wydało mu się to nieprawdopodobne. – A poczta, o którą mnie pytałaś?

– Pytałam o pocztę? – zdziwiła się. – Chyba się przesłyszałaś.

– A samochód? Jechałaś przecież samochodem? – zadał pytanie, które zadano by i jemu.

– E! Zawodowe przedsiębiorstwa przemysłowe. Górą z tego żyją. Mają spółki i za pieniądze przewożą ludzi. W Warszawie dostałam informację, że na stacji w Nowym Targu kręca się tacy, którzy za pieniądze... Jeden góral przekazał mi drugiemu...

Kłamała, wiedział, że kłamała.

– A ta droga? – szepnął. – Skąd znasz tę drogę?

– Słowak w aucie wszystko mi wytłumaczył. Na moment przed napaścią żandarmów wy-

mienił nazwę wsi, w której potem siedzieliśmy w ciupie, i pokazał kierunek... Zapamiętałam sobie...

Nie wierzył. Nie chciał jej wypytywać o znajomości z kurierami. Po co?

Wysunęli się z lasu. Za łąką, lekko opadającą w dół, zaczynały się już rzadkie zabudowania.

– Co to za miejscowość? – spytał.

– Dowiemy się – odpowiedziała spokojnie.

Na skraju zabudowań znajdowała się stara stodoła. Wrota były uchylone, śnieg nawiany do środka. Wśliznęli się na twarde klepisko. Przestał ich męczyć wiatr. Było cieplej, niemal przytulnie. Otrzepli się ze śniegu. A potem stali bez ruchu, długo, bardzo długo. Zmęczenie tajało powoli. Dopiero teraz poczuli je naprawdę. Móc się już stąd nie ruszać! Nie ruszać się!

Zdjęła pilotkę, rozchyliła szalik. W ciemności nie widział jej rysów, ale słyszał oddech. Przysunął się do niej. Ich twarze znalazły się blisko.

– Bogdan – powiedział cicho, ale wyraźnie.

– Krystyna.

– Piękne imię – westchnął. – Elżbieta, Grażyna, Krystyna – tak pewnie nazywały się trzy gracje.

– Na razie musi ci wystarczyć jedna – roześmiała się. – Ale nie na długo...

– Dlaczego?

– Pójdiesz zasięgnąć języka, a ja tu zostanę.

– Nie możemy się rozstawać. Wyjdziemy razem...

– To nierozsądne. Wywiad lepiej przeprowadzać w pojedynkę. Ja zostanę tutaj i odpocznę, a ty przekonasz się, co to za miejscowość, węgierska czy słowacka? Chłopów możesz się nie bać. Ani jednych, ani drugich. Uważaj tylko na żandarmów. Wszystko zależy od tej informacji. Już idź! – popędzała go.

Zwlekał, choć to, co mówiła, było rozsądne.

– Idę... – nie ruszał się.

– Idź!

– Już idę! – objął ją i pocałował w policzek.

Nie broniła się. Oboje czuli potrzebę serdeczności. Całował jej czoło, oczy, usta.

– Już idź! – szepnęła w końcu. – Idź już – odsunęła go od siebie – i wracaj jak najprędzej, jak najprędzej... Będę czekała.

Bogdan ostrożnie wymknął się ze starej stodoły. Chyba nikt ich tutaj nie wypatrzył. Tylko ślady, jeszcze nie zasypane – śnieg jakby ustawał – wyraźnie prowadziły z lasu przez łąkę do tej szopy.

– Psiakrew!

Zza murków i płotów dobiegały odgłosy porannej krzątania. Jakiś gospodarz wyprowadzał sanki. Kobiety opatulone chustkami wychodziły na drogę. Wszyscy wędrowali w tę samą stronę – do centrum, domyślał się, ze sklepami, rynkiem, kościołem. Dzieci szły objuczone tornistrami, okręcone w chustki. Bogdan włączył się w ten strumień ludzi, by pochwycić choć jedno zdanie. W jakim języku rozmawiają?

Zwolnił kroku. Usłyszał rozmowę dwóch kobiet i – zrozumiał. O dzieciach i o szkole.

Odruch ucieczki. Natychmiast wracać, biec do stodoły, ratować Krystynę i siebie. Kobiety rozmawiały po słowacku.

Na nic zdał się wysiłek nocnego marszu. Wisi nad nimi to samo niebezpieczeństwo. Są poszukiwani i znajdują się w promieniu obławy. W nocy musieli zmylić kierunek. A może strażnik dał im złą instrukcję? Lecz przecież Krystyna potwierdziła jego słowa. Zwyczajnie zagubili drogę, zbłądzili w śniegu i w ciemnościach. Opanował się jednak. Może się przestyszał? Znow ruszył naprzód.

Zabudowania zagęszczały się coraz bardziej, tworzyły już regularną ulicę małego mia-

steczka, może dużej wsi. Pod śniegiem wyczuwało się bruk i chodnik.

A więc jeszcze jeden dzień – w ukryciu, bez jedzenia. Spróbuje dowiedzieć się, gdzie są. W nocy ponowia próbę przejścia. Rósł desperacki upór. Trzecia noc w śniegu. Nie ma innej rady.

Ludzi na ulicy przybywało – dokoła słyszał tylko język słowacki.

Nagle – nad pierwszym sklepem – ujrzał szyld. I natychmiast zrozumiał jego sens: piekarz. Dwa bochenki chleba, trzy rogaliki, trzy bułki. I napis! Napis, którego nie potrafił odczytać. Napisy słowackie, dostrzegane wczoraj we wsiach mijanych autem, były dlań czytelne, przypominały język polski, były podobne. Ten napis był zupełnie inny. Układ liter nie przypominał żadnego języka słowiańskiego ani niemieckiego, ani angielskiego, przypominał natomiast słowa, które widywał tysiące razy na afiszach, plakatach, gazetach, gdy przed trzema laty wędrował przez Węgry do Francji. Wtedy, w Koszycach, po raz pierwszy zobaczył te słowa nad sklepami.

Zrozumiał: tuż przed wojną Węgrzy zajęli przecież kawał Słowacji. W słowackich miejscowościach wywieszono węgierskie szyldy, ale ludzie mówią po słowacku. Sprzeczność między językiem oficjalnym a językiem ludowym. Sprzeczność, która dla niego była gwarancją ratunku.

Zawahał się. Znowu ogarnęły go wątpliwości. Przyspieszył kroku, pognąła go niecierpliwość. A może wszystko jest akurat na odwrót? Może po słowackiej stronie granicy pozostały enklawy mniejszości węgierskiej, która swój sklep reklamuje dla swoich rodaków?

Regularne miasteczko. Budynki już jednopiętrowe. Nowy szyld – węgierski! Fryzjer. Ogłoszenie na ścianie domu – węgierskie! Alleluja!

Nad każdym sklepem węgierski szyld. Na każdym rogu węgierskie plakaty. Węgierskie ogłoszenia.

Dzieciaki hurmem nadlatywały do szkoły, aż musiał odsunąć się na bok. Koło drzwi przybita była na murze owalna tablica, na niej królewska korona zwieńczona przelamanym krzyżem. To był krzyż świętego Stefana – państwowe godło rządzonej przez regenta-admirała monarchii węgierskiej.

Odetchnął.

Przed trzema laty, nad ranem, góralski przewodnik, też Słowak, pożegnał ich w parku koszyckim. Było jeszcze ciemno. Park dotykał niemal do słowackiej granicy, ale już po węgierskiej stronie. Powiedział im, jak mają iść na ulicę Pocztową, tam mieścił się Polski Czerwony Krzyż. To była już wolność!

Są na Węgrzech! Ale gdzie? W obcym języku nie umiał oddzielić nazwy miejscowości od innych słów, które widział na wywieszkach pod koroną świętego Stefana. Istnieje jednak takie miejsce, gdzie nazwa miasta zawsze znajduje się sama tylko: stacja kolejowa!

Na rynku tłoczyły się wiejskie furmanki – dzień targowy. Obszedł to skupisko ludzi, bał się pytać o drogę do stacji. Widząc z daleka węgierskich żandarmów w czapkach jak ukośnie ścięte rondle, przystrojone ciemnymi kitkami, usuwał się na bok, mieszał z tłumem. Trening z Warszawy okazał się przydatny. Skręcał w te ulice, które wydawały mu się bardziej ruchliwe, bardziej uczęszczane.

Którąś z nich trafił: nad budynkiem niewielkiej stacji, w odległości dwustu metrów od ostatnich zabudowań, ujrzał bardzo długi, złożony z wielu liter napis. Nie potrafił go odczytać, ukradkiem wyciągnął ołówek i zanotował, litera po literze, by powtórzyć Krystynie. Stacyjka o tej porze była pustawa. Nad kasą wisiała czarna tablica z białymi literami: *Budapestre 11,30*²⁷. Spojrzał na zegar: była 8,50. Dwie i pół godziny czasu.

Wrócił na rynek, a tam bez trudu odnalazł ulicę, którą przyszedł. Pomogły mu szyldy nad sklepami, pamiętał je doskonale – przed kilkunastoma minutami każdy był dla niego radosną

²⁷ *B u d a p e s t r e* (węg.) – do Budapesztu.

fanfarą.

Spieszył się. Musieli gdzieś jeszcze sprzedać posiadane dolary, by mieć na kupno biletów. A może ona ma węgierskie pieniądze?

Skończyły się zwarte zabudowania. Wszedł między niewielkie domki. Z daleka ujrzał stodołę. Podbiegł.

Drzwi były uchylone.

– Krysiu! – zawołał od progu.

Nie było nikogo.

– Krystyna! Krysia! – krzyczał zapominając o ostrożności. – Krystyna! Krysia!

Wypadł przed stodołę.

Jak spod ziemi wyrósł mały, dziesięcioletni może chłopak. Zagadał po słowacku:

– Kogo wołacie?

– Tutaj była kobieta, w kozuchu... – dziecka się nie bał.

– Była! – potwierdził malec. – Wojsko ją zabrało.

– Słowackie? – głupie, odruchowe pytanie. Ale chłopak wcale się nie zdziwił.

– Nasze? Nie, madziarskie! – pokazał ręką ślady nart, które Bogdan zauważył dopiero teraz. Prowadziły z lasu w dół, przez łąkę ku stodole. Równoległe do tych, które zostawili oni, a których jeszcze nie przysypał śnieg. Widocznie wyszedł je patrol graniczny węgierskich honwedów. Za tropem butów trafili aż tutaj. Wzięli ją.

– Polak? – chłopak domyślał się głośno.

Bogdan nie odpowiedział. Ale malec miał swoje życiowe doświadczenia.

– Tędy zawsze idą Polacy.

– Zabrali ją? – Bogdan jeszcze nie dowierzał.

– Zabrali – usłyszał powtórnie.

Zerwał się z miejsca spłoszony, do dalszej ucieczki. Widzieli dwa ślady, znaleźli tylko ją. Teraz szukają jego.

Na osiach

Gwardziści w Słowacji wezmą Karola na badanie. Coś im będzie musiał powiedzieć. Zaresztują jeszcze paru Słowaków, którzy też coś zeznają. Krystyna zdradzi coś Węgrom. Czy te wszystkie zeznania spotkają się na jakimś jednym biurku urzędnika gestapo? Czuł się głupio i niewyraźnie. Z pustej stodoły uciekł między ludzi, do miasteczka, choć lękał się, że wyda go narciarski strój. Sieć, zarzucona wczoraj na Słowacji, dziś zaciskała się już na Węgrzech.

Z odległości paru kroków dojrzał przystrojone puszystańską trawą czako żandarma – przeźornie przebiegł na drugą stronę uliczki, wmieszał się w grupkę nadchodzących chłopów. Łatwo wywinąć się wiejskim „kogutom”, tylko że mieszkanie, do którego winien się zgłosić, znajduje się setki kilometrów stąd, w Budapeszcie. Dziesiątki razy powtarzał formułkę mającą ułatwić zapamiętanie adresu: „Ala ma kota, Ala kota ma, Ala kota ma!...” Tam musi dotrzeć, za wszelką cenę! Cenę? Złamanego fillera nie ma na bilet kolejowy. Nawet gdyby w zakamarku jakiegoś podwórka wypruł ze spodni zaszyte dolary, jak by je sprzedał? Komu? Kupi je kelner w restauracji i wyda resztę w monetach węgierskich? Gdzie, w tej małej, obskurnej winiarni na rynku? Miał więc dolary – i nie miał ani grosza.

Na stacji było tłumnie, jak to w dzień targowy. Bez przeszkód wyszedł na peron.

Wiele torów. Wzajemnie przesłaniające się, jak kulisy teatralne, składy pociągów towarowych i pasażerskich. Pomyślał: ostatnia stacja przed granicą.

Warianty podróży mogły być rozmaite. Zwyczajnie i po prostu na gapę, z jednego końca pociągu na drugi umykając kontrolerowi i na stacjach przesiadając się do wagonów już sprawdzonych. Zamknąć się w ubikacji – pomysł najgorszy z najgorszych. Schować się pod ławką to znaczy zdać się na łaskę i niełaskę pasażerów. Na osiach...

We Francji, w Coëtquidan, służył razem z podoficerem Legii Cudzoziemskiej, który jeszcze przed wojną uciekł z Warszawy do Marsylii na osiach wagonów i chwalił sobie ten rodzaj komunikacji. Bogdana zafrapowały osie. Do Budapesztu nie było tak bardzo daleko. Trzysta – najwyżej trzysta – kilometrów. Trzeba jednak dostać się pod wagon, zbadać, jak te osie wyglądają. Pociąg, który do Budapesztu odjedzie za godzinę, powinien stać już na którymś z torów.

Na oczach wszystkich – mógł być tylko bezgranicznie bezczelny! – spokojnym krokiem obywatela czekającego na swój pociąg ruszył wzdłuż łańcucha wagonów. Po chwili znalazł się między dwoma pociągami, odgradzony od spojrzeń ludzi stojących na peronie. Wagony bydlęce, półotwarte drzwi. Zerknął do środka: puste. Rozejrzał się przezornie i dał nurka między koła. Lekko tylko musiał się pochylić, nawet nie oczekiwał, że wagon ma tak wysokie podwozie. Wyszedł z drugiej strony, wprost do tunelu utworzonego przez brunatnoczerwone pudła i odkryte lory. Na lorach stały czołgi, nieruchome, ziemiste. Zaniepokoił się – gdzieś niedaleko mógł być strażnik z karabinem – skoczył pod wagon. Nigdzie nie widział składu pasażerskiego. Wychylił się na następnym peronie i natychmiast się cofnął...

Twarz, oczy tuż przed nim! Człowiek pod tamtym, równoległym stojącym wagonem. Dojrzeli się obaj i jednocześnie cofnęli się. Bogdan znieruchomiał, przywarł do osi. Już po wszystkim. Lecz tamten nie ruszał się, nie wszczynął alarmu. Bogdan ostrożnie wystawił głowę... Tamten czekał.

Roześmieli się cicho.

– Piotr!

Anglik, Peter Croom, pożegnany w Warszawie przed paru tygodniami, wyglądał spod bledącego wagonu. W oczach miał strach i radość.

Wyszli na peron. Bez zbędnych słów doskonale pojmowali swe parszywe położenie.

Nagle posłyszeli skrzyp kroków na śniegu, gwar głosów. Jacyś mężczyźni zbliżali się powoli, zasłonięci pociągiem. Kolejarze? Żandarmi? Robotnicy? A może właśnie ich szukają?

Pociągnął Piotra między koła. Przewinęli się na drugą stronę, dalej od nadchodzących. Ujrzeli rozsunięte drzwi wagonu. Błyskawicznie skoczył, dźwignął się na rękach. Podał dłoń Piotrowi, który miał ciężki plecak. Wagon wyładowany był workami z jakimś ziarnem. Wsunęli się w ciemny róg, odrzucili trzy worki, wcisnęli się we wgłębienie. Wagon przyjemnie pachniał sianem i stajnią, niedawno widać jechały w nim konie.

Głosy i kroki jakby zagubiły się. Ta cisza była złudzeniem. Krążą, nadejdą, z pewnością nadejdą! Nie ruszali się. Ukryci, przyczajeni – może się uda?...

Nadeszli. Znowu kroki i głosy. Posuwali się wzdłuż wagonów, przystawali, jakby sprawdzając skład pociągu. Bogdan wzdrygnął się: wypatrzyli jego ślady? Wreszcie zatrzymali się przy ich wagonie. Bogdan i Piotr zdusili oddech. Twarde, akcentowane na pierwszej sylabie, węgierskie słowa. Zajrzeli do środka – siedzącym pod workami tak się wydawało. Nic podejrzanego nie spostrzegli i zaczęli się oddalać, ale wkrótce nadeszli jacyś inni. Kolejarze. Metaliczne uderzenia żelazem w żelazo – długimi młotkami sprawdzali sworznie. Półgłosem rozmawiali w ciszy nieruchomo stojących wagonów. Rezonans był wyraźny, mówili po słowacku:

– Łapią na granicy... – i jakieś przekleństwo, intonacja pozwalała się tego domyślić. Z następnego zdania zrozumiał tylko jedno słowo: Stalingrad...

Kolejarze obstukali sworznie i poszli.

Oni jednak lękali się wyjść. Jakiś patrol snuł się między składami.

– W nocy... – Piotr szepnął w ucho Bogdanowi.

Zaczekać, aż się ściemni, to rozsądne. Bogdan zapamiętał: na tablicy informacyjnej wymienione były wieczorne i nocne pociągi do Budapesztu. Zaczęli więc mościć sobie wygodniejszą kryjówkę. Piotr wyciągnął z plecaka ciepły sweter i koc. Ułożyli się. Nasunęli na siebie worki.

Wystawały tylko ich głowy w narciarskich czapczkach. Piotr szeptem zaczął opowiadać swą ostatnią przygodę.

Z Warszawy zabrano ich pięciu. Jednego szeregowca i dwóch angielskich oficerów zbiegłych z oflagu oraz dwóch Francuzów, którym udało się wyskoczyć z transportu wiezionego do Auschwitz²⁸ – Piotr był już świadom tragicznej geografii Generalnego Gubernatorstwa. Anglicy chcieli dotrzeć do swego wojska, Francuzi do oddziałów generała de Gaulle'a. Każdego z nich oddzielnie łączniczki przerzucały z Warszawy przez Kraków do wioski w górskiej szerokiej dolinie, której nazwy Brytyjczyk już nie zapamiętał. Tak zbierali się w ciągu czterech dni, aż dowieziono ostatniego. Tydzień temu ośmioosobowa grupa – trzech przewodników! – ruszyła na Słowację.

Po całonocnej jeździe na nartach przybyli nad ranem do górskiej koliby, skąd rozchodzili się, rozprowadzani oddzielnie przez cały dzień. Piotra zabrano ostatniego, po południu. Parę godzin sunęli na deskach, potem narty ukryli, a sami zakradli się do wsi, do chaty, w której przyjmowany przez przemyśłych Słowaków Piotr przesiedział dwa dni. Młoda dziewczyna, Słowaczka oczywiście, przewiozła go następnie koleją do małego miasteczka, już na południu kraju, gdzie w jakimś starym domku wynudził się samotnie jeszcze trzy dni, grubą gospodynią widując tylko, gdy w milczeniu przynosiła mu posiłki. Wczoraj wieczorem, wyprowadzo-

²⁸ A u s c h w i t z (niem.) – Oświęcim.

ny do lasu, nagle odnalazł wszystkich: Anglików, Francuzów i trzech polskich przewodników. Wspaniała organizacja – zachwycali się komentując przebytą dotychczas drogę. Piotr zachwycał się nawet i teraz, mimo katastrofy, która nastąpiła.

Wczoraj wieczorem, dziś w nocy... Bogdan porównywał godziny. O tej samej porze, o której z Krystyną wyrwali się z aresztu, ośmiu mężczyzn ruszyło ze słowackiej na węgierską stronę.

Dano im narty. Sunęli szybko, w znakomitym nastroju, pewni sukcesu. Uprzedzono, że Węgrzy też łapią i aresztują, lecz traktowali to lekkomyślnie: Węgry były w każdym razie krajem bezpieczniejszym. Dobrze już po północy trawersowali zboczcie wielkiej, odsłoniętej polany.

Wtedy nastąpił atak. Uderzenie z lewej. Strzały i okrzyki. Żołnierze.

– Hlinkowcy... – poprawił Bogdan.

Zaatakowani skoczyli w prawo i szusowali zboczem w dół, gdzie linia widocznego lasu kryła już granicę, jak w chwilę przedtem wyjaśnił jeden z przewodników. Rozpryśli się po stoku i każdy gnał przed siebie. Francuzi i Polacy znakomicie poruszali się na nartach. Angli cy znacznie słabiej. Kto się uratował, kogo postrzelili, kogo złapali? – Piotr nie wiedział. Rozstawił szeroko nogi, pochylił się nisko i zjechał szczęśliwie. Poczł uderzenie – kula ugrzęzła w plecaku. Znalazł ją, poszarpała zapasową koszulę. Dopadł lasu i nie oglądając się, przez parę godzin rwał przed siebie, aż ledwo żywy, w porannej mgle zjechał na drogę i ujrzał na niej węgierski – poznał, że nie były to nazwy słowackie – drogowskaz. Narty rzucił w krzaki i zdecydował się dostać do Budapesztu.

W termosie Piotra herbata była jeszcze ciepła. Przegryźli kanapkami i sucharami, wczoraj wieczorem przygotowanymi na nocny posiłek. Nie zaspokoiłi głodu, ale wzmocnili się. Po południowe słońce przenikało do wagonu. Na peronie spokój zwyczajnego dnia. Worki grzały. Zmorzyło ich zmęczenie. Przytuleni do siebie, twarzą w twarz, usnęli.

Przebudził się, gwałtownie szarpnięty. Na boku ciążył mu nieruchomy Piotr. Co to? – zaniepokoił się przytomniejąc momentalnie. Namacał rewolwer Słowaka, ukryty na brzuchu, za paskiem.

Ciemno. Nasłuchiwał. Tylko oddech Piotra. Nikt się nie poruszał. Zza ścian wagonu dochodził gwar stacji. Rozepchnął worki. Dlaczego tak ciemno? Wagon jest zamknięty? Jeszcze i to!

Na całym świecie jednakowo, choć w różnych językach, brzmiały głosy kolejarzy odprawiających pociągi. Szarpnięcie, trzask buforów – wagon poderwał wagon, nagle pojechali. Zamknięci w tym pudle! Zbudził śpiącego Piotra. Dokąd ich wiozą? Na zachód czy na wschód? Może do Budapesztu, ale może do Niemiec lub na front wschodni? Naradzali się gorączkowo. Wyrwać się, wyrwać jak najprędzej z wagonu pędzącego w niewiadome!

Bogdan wywikłał się spomiędzy worków. Najbliższe wyjście – zamknięte! Po drugiej stronie zamknięte! Jęknął. Zamknięte od zewnątrz żelaznymi zasuwami.

Piotr miał w plecaku bezcenny skarb – nóż fiński, wyniesiony jeszcze z oflagu, oraz mocne dłuto, które dano mu w Polsce, gdyby w drodze musieli regulować wiązania nart. Wiazań nie regulowali, ale dłuto przyda się teraz.

Między stertami worków było wąskie przejście. Przyświecili zapawkami. Przesunęli parę worków. Znaleźli spojenia desek. Nożem i dłutem wygrzebali drzewo wokół śruby, której nie mogli odkręcić. Pracowali mozolnie. Wreszcie udało się podważyć deskę. Przyspieszony stukot na zwrotnicach zapowiedział stację. Odłożyli narzędzia, przyczaili się. Głosy kolejarzy... Lecz pociąg zatrzymał się tylko na chwilę. Czy zdążą przed następną stacją?

Deskę wyłamywali żelazem, podważali butami, ciągnęli ku sobie. Trzasnęło. Oderwała się. Szpara była jednak zbyt wąska.

Z drugą deską poszło łatwiej – słabszy jest układ, z którego usunięto jeden element. Ciemna, ruchoma taśma przesuwiała się pod wagonem. Ustalili: Bogdan wymyka się pierwszy, Piotr

podaje mu plecak i sam wyskakuje. A potem będą szukać pociągu do Budapesztu. Albo do Bukaresztu, do Warszawy lub Kijowa – Polak zażartował, dziura w podłodze poprawiła mu humor.

Pasaż zwrotnic – sprężyli się. Uwaga!

Pociąg przeskakiwał z toru na tor. Rwąca pod spodem ciemność stawała się coraz bardziej wyrazista. Parowóz zwalniał.

Bogdan przytrzymał się dłońmi – pociąg stanął – zsunął się, poczuł ziemię pod nogami, przypadł do skawalonego błota. Spod wagonu widział niewiele, ale na torach połyskiwały liczne światełka. Duża stacja. *Okey!* – szepnął ku górze. Chwycił plecak. Po chwili Piotr był już obok niego. Wyczołgali się spod wagonu.

Daleki, spory budynek stacyjny. Tory, mnóstwo torów, stojące pociągi... Skryli się w cieniu sąsiedniego składu towarowego. Pociąg, który ich tu przywiózł, wkrótce odjechał.

Szwendać się między torami nie było bezpiecznie. Powinni wejść na stację od strony miasta. Chyłkiem zaczęli się wycofywać. Noc była jaśniejsza, niż wydawało się w pierwszej chwili. Ścieżka wzdłuż torów – raz jeszcze bezczelny manewr: jawnie, szybko, bez krycia się i chowania. Aż dotarli do miejsca, gdzie zewężającą się siatkę torów oddzielała od drogi jedynie niska linia drutów. Przeskoczyli je.

Dopiero teraz Bogdan spojrzął na zegarek. Godzina przesądza o zachowaniu się w miejscach publicznych. Dziewiąta! Mogli maszerować swobodnie. Nie wiedzieli jednego tylko: gdzie są?

Weszli na ulice schludnego, dość dużego miasta. Piętrowe, zwarte kamienice, twardy bruk. Każdy szyld – węgierski. Mijani przechodnie rozmawiają po węgiersku. Jeszcze są na Węgrzech – ulga! A może w Budapeszcie, na przedmieściu Budapesztu? – naiwna nadzieja.

Kierowali się instynktem, nikogo nie chcieli pytać. Ulice wyludniające się już o tej porze doprowadziły ich wreszcie na placyk przed dworcem. Przez główne wejście wplywali i wypływali podróżni, ubrani byle jak, z wojenną i prowincjonalną skromnością, dźwigali ciężkie walizy i pękate worki. Żandarm z kitą na czapce leniwie przechadzał się środkiem dworcowej hali. Bogdan przytrzymał za łokieć Piotra i sam opanował odruch strachu. Stanęli tuż przed żandarmem, pozornie obojętni. Minął ich. Pod ścianami, na plecach, siedzieli węgierscy żołnierze, utrudzeni minionym dniem: pogniecione mundury, zmęczone twarze. Kwaśny smak złej wojny.

I najważniejsze, nazwa stacji: Miskolc! Bogdan pamiętał mapę Węgier na tyle, by wiedzieć, gdzie są: w środku kraju, na północny wschód od Budapesztu. W rozkładzie jazdy odnaleźli pociąg – pospieszny! – do Budapesztu. Rano, o wpół do piątej. Miejscowy, to znaczy, że już tam gdzieś stoi na torach.

Umówili się, że będą spać na zmianę, ale obaj czuwali. Nie zmrużyli oka – zdenerwowanie, chłód panujący w nie ogrzewanych wagonach, uczucie zagrożenia. Wczoraj wieczorem w tłumie podróżnych wymknęli się na perony. Z niezmierną ostrożnością odnaleźli pociąg do Budapesztu. Ukryli się, zasunawszy starannie firanki, w przedziale pierwszej klasy. „Jak spadać, to z wysokiego konia” – zażartował Bogdan, nie umiejąc znaleźć ani francuskiego, ani angielskiego odpowiednika polskiego przysłowia. Ryzykowali, ale nie mogli inaczej – musieli odpocząć przed najtrudniejszym odcinkiem swej podróży. O trzeciej, ciemną nocą, cicho wysunęli się z przedziału i wpełzli pod wagon. Wkrótce kolejarze zaczęły manewrować tym składem. Przedostatni wagon był chyba najbezpieczniejszy; ze względu na upadek bezpieczniejszy mógł być tylko wagon ostatni, ale pod nim łatwiej mogli być dostrzeżeni. Już wieczorem obejrzel żelazne rusztowanie oplatające osie kół. Tu się ułożą. Bogdan przy przednich kołach, Piotr przy tylnych. Anglik umocował plecak obok głowy. Leżeli na piersiach, twarzą ku ziemi – tak nakazywał rozsądek. Lepiej opadać na ręce i stopy niż na kark i plecy. Ustalili specjalną sygnalizację: ruch dłoni z góry na dół oznacza najważniejsze – wysiadka! Powolny – na najbliższej stacji; szybki, wielokrotnie powtórzony – natychmiast, choćby w biegu.

Bogdan uchwycił dłońmi żelazne listwy, wyciągnął się na metalowej belce, stopami wsparł się z drugiej strony. Nie czuł chłodu, nie czuł jeszcze nic prócz emocji oczekiwania. Czy zdoła się utrzymać? Tamten przejechał w ten sposób pół Europy, ale był to chłop jak tur, atleta i zabijaka.

Długo to trwało, bardzo długo... Najpierw odezwały się pojedyncze głosy, sygnały kolejarzy, potem trzasnęły zderzaki, zakołysały się wagony. Napiął mięśnie nóg i dłoni. Pociąg szarpnął. Bogdan utrzymał się. Wagony potoczyły się wolniutko.

Nie spadał, nie osuwał się. Hamowanie, szarpnięcie. Zdawało mu się, że wylatuje z rusztowania. Skurczył ręce, naprężył stopy.

Nic, leżał.

Stanęli. I zaraz zaklekotały nad głową ludzkie kroki. Obmurowanie peronu odgrodziło ich od cudzego wzroku. Słyszeli nerwowy gwar. Podróżni przekrzykiwali się, żegnali. Żeby już! Żeby już jechać naprawdę!

Gwizdek. Hasło do odjazdu. Ruszyli.

Wagon nabierał rozpędu, szamotał się na szynach, podskakiwał.

Bogdan wyteżał wszystkie siły. Nad głową hałas i łoskot pędzącego żelaznego pudła. Szeroko otwartymi oczami patrzył w ziemię – przemykającą, jeszcze nie widzianą, jeszcze ciemną, płynną, okrutnie wyczuwalną. Nacierала na niego przerażająca w swej bliskości.

Ogarniał go strach. Nie spaść, tylko nie spaść!

Wpierał buty w żelazo, zaciskał palce na żelazie. Żołądek to podjeżdżał do gardła, to opadał. Było mu niedobrze. Spojenia szyn dreszczem przenikały ciało, od głowy po pięty. Czuł się jak krajany bez narkozy.

Niegdyś, nie tak dawno, chodził przecież po górach, lecz zawsze bał się linowej wspinaczki. Lękał się zawierzyć sile własnych dłoni. Nogi miał mocniejsze i był ich bardziej pewny. Teraz go dopadło. Nie chciał, ubezpieczony przez przyjaciół, zawisnąć nad nieruchomą przepaścią – teraz musiał sam wisieć nad przepaścią toczącą się i przesuwającą.

Zamknął oczy – to było jeszcze gorsze! Znowu je otworzył. Aż do bólu, uparcie wpatrywał się w ziemię, nawijającą się na pozornie nieruchomą oś wagonu.

Jeszcze nie było żadnego postoju. Lotem strzały przemykali przez stacje kolejowe, pędzili dalej. Pospieszny! Pożałował własnej decyzji. Złakomili się na jazdę tylko dwugodzinną, lecz chyba lepiej było jechać dłużej, na osiach wolniej się poruszających.

Drętwiały dłonie i stopy. Brzuch twardniał. Trzymać się! Niech już wreszcie będzie ta stacja! Niech pociąg stanie! Zejdzie z tej osi – przysięgał sobie – piechotą dowlecze się do Budapesztu! Albo zgłosi się do pierwszego żandarma, niech go odeśle z powrotem do oflagu, niech się skończy tortura...

Skoki na zwrotnicach, pociąg hamował. Stacja.

Nareszcie! Rozcapierzył palce, podkulił nogi. Rozluźnił wszystkie mięśnie. Nie słyszał kroków na peronie. Był szczęśliwy. Czuł boską ulgę. Niech stoją długo, jak najdłużej...

Pociąg ruszył. Bogdan chwycił się żelaza, znowu napiął mięśnie.

Uderzyło weń zimno. Ostry chłód ogarniał dłonie, stopy, twarz. Dociskał podeszwy do oparcia i próbował poruszać palcami w butach. Raz po raz krzywił twarz, by pracowały mięśnie policzków, warg, czoła. Nie mógł ćwiczyć palców u rąk, uczepionych żelaznych listew. Poprzez ciepłe ubranie mróz sięgał piersi i brzucha. Drętwiał. Najciemniej bywa przed świtaniem, najzimniej jest nad ranem, po źle przespanej, nerwowej nocy. Kilka łyków herbaty, kawałek czekolady, parę kęsów chleba połknięte w ciągu dnia to zbyt mało. Zmordowany był już trzecią bezsennością. Anglik miał większy zapas sił.

Stracił rachubę przystanków; liczył, przez ile stacji przelatuje pociąg, i zmylił rachunek.

Coraz zimniej. Coraz gorzej. Czuł, że słabnie. Palce zgrabiałe, choć w podwójnych rękawicach, traciły siłę uchwytu. Obezwładniało go zimno. Nie, nie zdoła się utrzymać!

Pociąg podskoczył – wagon zakołysał się w górę i w dół, jakby nagle wpadli w jakieś wą-

doły i dziury. Znowu! Trzymał się. Trzymał się kurczowo, lecz słabł. I po raz trzeci...

– Piotr!... – krzyknął przeraźliwie.

Wyrzucony z łóżyska, poleciał w ruchomą przepaść. Wyciągnął ręce i wyprostował kolana.

Ocknął się. Usłyszał cichy głos Piotra. Obudził się na dnie przepaści, która pod nim zniechęciła. Poruszył się. Bolało go wszystko. Rwało w prawej stopie.

– Spokojnie – powiedział Piotr.

Szarzało. Dostrzegł pochyloną nad sobą twarz przyjaciela.

– Zleciałem... – szepnął po polsku. Piotr nie zrozumiał. Powtórzył po angielsku.

Piotr usłyszał krzyk, porwany wiatrem. Dojrzał ciemny kształt spadający w dół, między szyny. Odepchnął się od żelaznej belki i też spadł, zrećniej, bo z rozmysłem.

Wstał, gdy przeleciał nad nim pociąg; szukał Bogdana. Polak leżał sto metrów dalej, cały, ale bez czucia. I tak miał szczęście: ostry kamienny szuter i drewniane belki podkładów mogły go ciężko poranić. Anglik ściągnął towarzysza z toru. Nie znalazł rany ani widocznych obrażeń. Bogdan oddychał normalnie. Docucił go po dwóch kwadransach.

Bogdan podniósł się z wysiłkiem. Postawił prawą stopę – przeszył go ból. Przysiadł. Namacał rewolwer na brzuchu. W porządku!

– Musimy iść... do jakiejś drogi... musimy... – tłumaczył Piotr. Przełożył nad swoim barkiem ramię towarzysza.

Ruszyli z najwyższym trudem, powoli. Krok i jeszcze jeden krok. Dalej od toru! Przez pola, po zmarzniętej grudzie. Twarda ziemia urażała obolałą stopę. Posłyszeli lekki warkot samochodu. Szosa?

Jaśniało, noc kończyła się nareszcie. Zegarki im ocalały. Dochodziła siódma. Piotr obliczył: zlecieli przed szóstą, a więc jechali przeszło godzinę...

– Godzinę? – Bogdan zdumiał się szczerze. Czy to była wieczność, czy jedna chwila? Wytrzymał całą godzinę?

– Więcej niż połowa drogi – powiedział Piotr. – Budapeszt już niedaleko.

– Nie dojdę – jęknął Bogdan.

– Tylko do drogi, do szosy – przekonywał Piotr. Objął go wpół. Przystawali po każdym kroku.

Na koniec dostrzegli auto pędzące szosą; schodzili nieco w dół.

– Zatrzymamy? Nie to, jakieś następne – Bogdan prosił Piotra. Trzeba zatrzymać samochód, choćby nawet miał ich odwieźć na posterunek policji.

Usiedli przy drodze. Na ich sygnały zareagował dopiero kierowca piątego z kolei auta, ciężarowego. Przystanął, wyjrzał z szoferki. Bogdan zawołał po niemiecku:

– Do Budapesztu! Mam chorą nogę!

Młody człowiek o wesołej, okrągłej twarzy zabalgotał coś po węgiersku. Bogdan nie rozumiał – odmowa? pytanie? zgoda? Nie ruszając się z kamienia, pokazał na siebie dłonią:

– *Lengyel!*²⁹

Tamten uśmiechnął się serdeczniej. Nie mówił po niemiecku, ale zapraszał gestem. Piotr milczał, nie potrzebował się już przedstawiać. Dźwignął Bogdana, pomógł mu dostać się do szoferki.

– *Budapestre?* – kierowca dopytywał się już w biegu.

– *Ja, ja...* – potakiwał Bogdan. Nie mógł sobie przypomnieć, jak brzmi to popularne słowo w języku węgierskim. A kiedyś już je umiał.

Nie chciał zdradzić prawdziwego celu ich wędrówki. Pamiętał nazwę uliczki w śródmieściu, gdzie w konsulacie polskim zbierali się uchodźcy. Żartowali wówczas: *Veni, vidi, vaci...* Tam już dadzą sobie radę. Poprosił kierowcę:

²⁹ *Lengyel* (węg.) – Polak.

– *Vácistrasse*, ulica Váci...

– *Váci utca!* – skwapliwie potwierdził szofer. Coś zagadał, zatroszczył się wskazując nogę Bogdana.

Bogdan potakiwał: *Ja, ja!* Śmieli się i nagle obaj: *Lengyel magyar két jó barát!* „Polak, Węgier dwa bratanki!” Cieszyli się. Piotr milczał. Na skrzyżowaniu stał drogowskaz – do Budapesztu jeszcze czterdzieści pięć kilometrów.

Wsie, miasteczka, miasto – wspaniały, bogaty park, podmiejskie wille, przedmiejskie odrapane tasiemce czynszowych kamienic. Już!

Szeroka, ruchliwa ulica. Szofer coś objaśniał – nie rozumieli. Wymijali tramwaje. Dworzec. Czerwone i zielone światła. Kierowca zahamował na trójkątnym placu, otoczonym wysokimi budynkami. *Váci utca!*

Uścisnęli mu dłonie. Pogadywał coś przyjaźnie. Wreszcie zostali sami na skraju zatłoczonego chodnika. Bogdan wciąż powtarzał w myślach: „Ala ma kota, Ala kota ma...” – formułka na zapamiętanie adresu, którą podano mu w Warszawie.

Przypomniał sobie to miejsce. W pobliskiej kawiarni niecierpliwie oczekiwali wtedy na paszporty i wizy. Potem z nowym dokumentem wyjechał do Francji – by po trzech latach znaleźć się tu, dokładnie w tym samym miejscu. W kawiarence, pamiętał, były znakomite ciastka z kasztanowym kremem. „Czy teraz też są?” – pomyślał. Nie mógł ruszyć się z miejsca.

– No? – Piotr czekał na decyzję przyjaciela. Już byli w Budapeszcie, teraz miał prowadzić Bogdan.

Nie mogli dłużej zwlekać. Zanim ich ktoś zaczepi, zanim podejdzie „kogut”, musieli ryzykować. Bogdan uklonił się starszej kobiecie – bardziej ufał ludziom starszym:

– *Verzeihen Sie, bitte! Wie komme ich zur Alkotmány utca?*³⁰

Spojrzała na niego życzliwie. Czy dlatego, że mówił językiem jej austro-węgierskiej młodości, czy dlatego, że mówił po niemiecku z fatalnym akcentem, czy może dlatego, że wyglądał na człowieka potrzebującego pomocy? Węgrzy też mieli swoje gorzkie wojenne uniwersytety.

Tłumaczyła mu dokładnie. Zrozumiał: prosto *Váci utca*, ciągle prosto, jakiś plac, dalej ulicą na lewo, drugi plac, ulicą na prawo, ale ciągle prosto, aż zobaczą Parlament i wtedy będą już na Alkotmány. Daleko? O, *ziemlich*...³¹

Uparł się. Nie mogą inaczej. Dolarami nie zapłacą za taksówkę. To nic, że boli go noga, że ledwie się wlecze, ale każdy mozolny krok zbliża ich do celu.

Posuwali się niezwykle wolno. Wśród eleganckich – mimo wojny – sklepów, w ruchliwym strumieniu przechodniów, obok pomników, przez place... Na lewo była rzeka, mosty, zamek królewski na wysokiej skarpie, ale Bogdan niczego nie dostrzegał, zapamiętały w pokonywaniu bólu. Piotr z cicha sygnalizował chodniki i jezdnie. Ciągle prosto – powiedziała tamta kobieta.

Na koniec ujrzeli okazały budynek z wieżyczkami i wysoką kopułą. Bogdan poznał natychmiast: Parlament.

– *Alkotmány utca?* – śmieiej zapytał starszego mężczyznę.

Przechodzień pokazał ręką. Oto Alkotmány! „Ala ma kota...”

Szli po szerokich schodach, ozdobionych marmurowymi statuami nimf. Emocja zagłuszała ból. Pierwsze Piętro. Mieszkanie na lewo. Nie mógł się zdecydować, by nacisnąć dzwonek. Przypomniało mu się tamto popołudnie na ulicy Natolińskiej. Też stali z Piotrem przed drzwiami niewiadomego.

Otworzył szczerupły mężczyzna. Sekundę patrzyli na siebie w milczeniu. Bogdan położył

³⁰ *Verzeihen Sie*... (niem.) – Przepraszam! Jak mam iść na ulicę Alkotmány?

³¹ *Ziemlich* (niem.) – dosyć.

palec na wargach. Ten gest był pierwszą częścią hasła. Gospodarz cofnął się wpuszczając ich do przedpokoju. Z trudem – ostatni krok? – przeszedł przez próg. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, powiedział wyraźnie:

– Krokusy kwitną na śniegu.

– Ale nie wolno ich zrywać – odparł tamten.

– To grozi karą trzech lat więzienia – uzupełnił Bogdan.

Wszystko w porządku! Ciemne płatki zawirowały mu przed oczami. Dosłyszał jeszcze tylko:

– Pan jest Krzysztof? O, Boże!...

– Podporucznik Krzysztof... – szeptem potwierdził swój pseudonim i stopień nadany w Warszawie.

Trzęsienie ziemi

Budził się...

Zdawał sobie sprawę, że już nie śpi, ale nie mógł otworzyć oczu, nie mógł odnaleźć istniejącej wokół niego rzeczywistości. Męczył się. Największym wysiłkiem mdlejących dłoni i słabnących stóp trzymał się żelaznych wsporników, aby nie zlecieć w tę ruchomą przepaść, która pędziła pod nim, w którą spychał go hałas, żelazny terkot, przeraźliwy gwizd lecącego pociągu. Spadnie... Zaraz spadnie...

Budził się. Wracała świadomość rzeczywistości, ale jeszcze nie umiał, nie miał sił zerwać pepowiny łączącej go z sennym majaczeniem. Już wie, że nie jest ucepiony pod wagonem, wie, że leży w łóżku, ale oczy ma ciągle zamknięte i nie wie, czy śni nadal. Wydaje mu się, że kilka razy jakaś kobieta podawała mu buliony i kasze, coś do niej mówił, odpowiadał na pytania, zasypiał jednak natychmiast i dalej męczył się w okrutnym strachu, by nie spaść na mknącą, ruchomą ziemię... Lecz teraz budzi się już inaczej. Czuje, że jest przytomny, i wie doskonale, że trafił tam, dokąd miał trafić, że huk, który dociera do jego świadomości, to nie uderzenia kół o szyny, ale jakiś zupełnie inny hałas: tuż obok jego głowy ktoś kuje w ścianę, po prostu wali w ścianę, przy której stoi łóżko.

Odmyka wreszcie powieki.

Jasny, duży pokój. Mnóstwo mebli i mebelków. Szafy z książkami, stoły, stoliki, fotele, krzesła, etażerki, lampy, figurki porcelanowe ustawione wszędzie, gdzie się tylko da, obrazy, obrazki zajmujące całe ściany. Kotary. Serwetki. Brązowe meble o poskręcanych, secesyjnych liniach. Ramki pluszowe. Tego wszystkiego nie dostrzegł od razu, ale odczuł staroświeckie zagrzenie pokoju, z którego od wielu, bardzo wielu lat nikt niczego nie usunął, nie zabrał żadnego mebla. Przymknął oczy. Za ścianą kuto rytmicznie – kilofem, młotem, jakimś żelazem.

Zdawało mu się, że w pokoju są ludzie. Słyszał krzątanie, ale poruszali się poza kręgiem jego wzroku.

– Ciągłe śpi – usłyszał głos kobiety. Po polsku! – Trzeci dzień...

– Cholera... – zaklął jakiś mężczyzna.

– Obudzimy go... – doradzała kobieta.

Bogdan uniósł głowę.

– Już nie śpię – powiedział. – Dzień dobry!

Cichy okrzyk podwójnej radości. Pochylili się nad nim oboje. Poznał ich: kobieta z pasmem siwych włosów na skroni, która podawała posiłki, mężczyzna, który powitał go na progu mieszkania. Jednocześnie, niecierpliwie zaczęli wypytywać: jak się czuje? Czy może już wstać? To było w tej chwili najważniejsze.

Usiadł bez trudu, spragniony ruchu.

Za ścianą walono dalej.

– Niech pan się szybko ubiera – polecił mężczyzna. – Musi pan zaraz stąd odejść. I tak mieliśmy pana zabrać.

– Boże! – jęknął.

„Zaraz stąd odejść” – zabrzmiało jak hasło alarmu, nowej ucieczki. Chciał wstać, ale potrzebował jeszcze spokoju. Nie chciał uciekać. Przerażała go nowa awantura. Dłonią dotknął

twarży, językiem wyczuł zęby – w porządku.

Kobieta podała mu bieliznę i ubranie – już przygotowane. Nowe, świeże, czyste. Dokumenty, portfel, drobiazgi, wyjęte z kieszeni dawnego ubrania, leżały starannie uporządkowane na małym stolyczku. Z wdzięcznością pomyślał o zapobiegliwej troskliwości gospodarzy.

Kobieta wyszła z pokoju. Mężczyzna pracował dalej: z widocznym pośpiechem, ale systematycznie, wyciągał z szafy książkę po książce, kartkował, szukał notatek; znajdując je, odkładał na bok książkę lub pojedyncze, wyjęte z niej kartki.

– Niech pan się ubiera! – przynaglał Bogdana. Za ścianą kuto coraz głośniej. – Rewizja miała być u nas, ale Madziary wiedzą, co robią... – roześmiał się cicho, serdecznie. – Tam – pokazał głową – mieszka bogaty hurtownik handlujący skórami, Żyd, zresztą z Galicji. Sporo jest takich i teraz ich sekują, hitlerowskim wzorem, ale bez hitlerowskiego okrucieństwa. Skóra, towar wojenny, reglamentowany, łatwo na tym zarobić, a zawsze coś tam u niego znajdują... – opowiadał, starannie przeglądając bibliotekę.

Bogdan stanął na podłodze – syknął, skręcona stopa jeszcze bolała. Mężczyzna podał mu elastyczny bandaż, poradził mocno owinąć kostkę i stopę. Pierwszy krok – jednak mógł chodzić.

Ubierał się, a mężczyzna gadał dalej:

– W tamtego uderzyli celowo, specjalnie hałasują przeprowadzając rewizję, żebyśmy usłyszeli, żebyśmy zrozumieli, iż za parę godzin przyjdą do nas, tutaj. Sąsiadowi porozbijają tylko ściany, poniszczą meble, nastraszą go solidnie. W ich przekonaniu to nawet pożyteczne, nie zaszkodzi. Potem agenci zawiadomią swoich przełożonych, że nie znaleźli żadnych Polaków... A wtedy okaże się, że po prostu pomylili się o jedno mieszkanie, o jedną cyferkę przy tym samym numerze. Zeklną agentów, zwałą na nich winę i za parę godzin przyślą ich już tutaj, mając absolutną pewność, że nic nie znajdą. Wreszcie zameldują swym wielkim sojusznikom, że rewizja nie dała rezultatów...

Podśmiewał się z cicha. Książki i kartki, wyjęte z szafy, pakował do dużej torby. Hałas z sąsiedniego mieszkania nie milkł ani na chwilę.

– Czy można? – spytała zza drzwi kobieta.

Bogdan, już ubrany, przytaknął. Weszła i natychmiast energicznie zabrała się do zacierania śladów jego parodniowej choroby. Usunęła lekarstwa, bieliznę wrzuciła do worka z brudną pościelą, porządkowała pokój.

– Co z Piotrem? – zapytał.

– Z tym Anglikiem? – upewniła się. – Jest w dobrym miejscu. Pójdzie swoją drogą, nawet dość prędko.

– Zobaczę się z nim? – spytał jeszcze. Chciałby się spotkać z Piotrem.

Za ścianą huknęło głośniej.

– Rozbijają mu kominek – komentował mężczyzna. – W kominku mógł trzymać na przykład radiostację...

Kobieta roześmiała się nerwowo.

Nagle do pokoju wpadł jakiś wysoki mężczyzna. Nie zwracając uwagi na Bogdana, zawołał już od progu:

– Wzięli Felka...

– Boże! – krzyknęła z cicha kobieta.

– Jego gospodyni dała znać do Olgierdów. Olgierd do mnie. Przyszli już o dziewiątej rano, ale gospodyni bała się wyjść z domu.

– O dziewiątej przyszli i do niego – kobieta pokazała na ścianę.

– Hadik czy policja? – mężczyzna rzeczowo spytał przybysza.

– Węgrzy, policja... cóż ona może wiedzieć. Piekielnie zdenerwowana. Dla niej wszyscy są policją. Tak zawsze się przedstawiają.

– Nikt nie uprzedził, nie było żadnego sygnału – dziwiła się kobieta.

– Gospodyni opowiada, że pobieżnie tylko przejrzeni pokój, książki, ubrania. Felek nigdy w domu nie trzymał, był ostrożny. Gdy go wyprowadzili, a ona płakała w przedpokoju, powiedział do nich głośno, po niemiecku: „Panowie nic znaleźć nie mogli, nic u mnie nie ma i nie było. Wszystko to jakieś nieporozumienie”. Powtórzyła to Olgierdowi, przerażona. Już nie chce mieć żadnych lokatorów Polaków. Pewnie zabrali go ci z Hadika. To na nich wygląda.

– Tylko jego? Gdzie indziej też już byli?

– Jeszcze nie. Nie ma dalszych meldunków. Ale widzę, że tutaj...

– Tutaj to pięknie. Wiedzieli, jak się pomylić. Tylko tego pana trzeba stąd zabrać jak najprędzej. Najlepiej chyba do Haliny.

– Fredek jest z autem. Czeka za rogiem. Przywiózł mnie.

– Odwieziecie.

– Halina sama odwiezie. Ja wam się tu przydam. Dużo trzeba zabrać? – przybyły zgłaszał swą pomoc.

Nagle pokój zapełnił się ludźmi. Paru młodych mężczyzn, kilka kobiet. Zwracali się do Bogdana serdecznie i troskliwie. Dobiegły go wypowiedziane głośniejszym głosem słowa: „Panie pułkowniku!” – skierowane do szpakowatego, szczupłego mężczyzny, który właśnie wszedł do pokoju. Usłyszawszy tytuł wojskowy, Bogdan poderwał się i zameldował przepisowo:

– Podporucznik Krzysztof melduje się, panie pułkowniku !

Pułkownik przywitał się z Bogdanem, spytał, jak się czuje. Znał już szczegóły zatrzymania Feliksa, wiedział także o dalszych aresztowaniach, przeprowadzonych dziś rano w innych komórkach polskich legalnych i nielegalnych organizacji działających w Budapeszcie.

– To robota gestapo, jasne – rozsupływał ktoś zagadkę niespodziewanych uderzeń. – Niemcy sprowadzili wóz goniometryczny, bo Madziarzy na swoim nie chcieli nas łapać. Dostali z gestapo adresy, więc teraz muszą...

– Najwyżej mogą się pomylić! – jedna z kobiet zachichotała nerwowo, lecz nikt jej nie zawtórował.

– Aresztować też musieli?

– Zawsze co jakiś czas aresztują. Ostatecznie to ich państwo, a nikt nie lubi, żeby mu się ktoś szarogęsił. Nie wiesz?

Krzyżowały się zdania, uwagi, komentarze. Bogdan już się zorientował: każdy z przybyłych odbierał paczkę. Małe walizeczki, teczki, większe paczki w szarym papierze. Od czasu do czasu wymykali się pojedynczo, przez obszerny hall na schody i na ulicę. Znajdował się w innym mieszkaniu niż tamto, na *Alkotmány utca*, dokąd dobrnęli z Piotrem. Tam, pamiętał, musieli wejść na pierwsze piętro dużej kamienicy, tutaj są na parterze, w willi otoczonej ogródkiem. Willa była – domyślał się z rozmowy – złożona z bliźniaczych połówek i właśnie w tamtej drugiej buszowała węgierska policja. Młoda kobieta, stojąca przy oknie, sygnalizowała udane odejścia. Obserwowała, jak wynoszący paczki znikali za rogiem ulicy.

W sąsiednim mieszkaniu przestano kuć, lecz dobiegał stamtąd jakiś niewyraźny hałas.

Pułkownik kierował ewakuacją.

– Czy już? Czy już wszystko? – dopytywał. Pokój powoli pustoszał. Jeszcze ktoś wyniósł niewielką teczkę. Pozostał pułkownik i dwie panie. Jedna, znana Bogdanowi, wydawała się gospodynią tego mieszkania.

– Teraz mogą sobie przyjść – powiedziała – i chyba nic już nie znajdą. Papiery też mam w porządku.

– Gdyby panią chcieli zabrać – uspokajał ją pułkownik – toby się tak głośno nie zapowiadali.

– Właśnie... – Gospodyni nerwowo krzątała się po mieszkaniu, jeszcze układała książki, porządkowała pokój, usuwała ślady pobytu tak wielu osób.

– Pani Halino – pułkownik zwrócił się do kobiety stojącej przy oknie – porucznik Krzysz-

tof pojedzie na razie do państwa, dobrze? A gdy się to wszystko jakoś utrzęsie, zaraz popchniemy go dalej. Niech pan tymczasem zbiera siły i kuruje nogę. Tylko spokojnie, spokojnie...

Gospodyni delikatnie zamknęła za nimi drzwi. Prowadził Halinę pod rękę, szli jak czuła para.

– Widzi pan? – szepnęła.

Wąska uliczka willowej dzielnicy zatarasowana była z prawej strony trzema policyjnymi samochodami. Przed sąsiednią furtką kręciło się dwóch żandarmów z kogucimi piórami na czapkach.

Starał się stapać normalnie, nie kuleć. Czuł w kostce ból, ale niezbyt wielki, mógł chodzić. Minęli dwa domy i dwa ogródki. Ulica była pustawa. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Dzień mroźny i słoneczny. Skręcili w boczną uliczkę, zbiegającą łagodnie w dół. Czekał tam osobowy mercedes.

Bogdan wszedł pierwszy.

– A pułkownik zostaje? – spytał, gdy jego towarzysza ulokowała się obok.

– Wyjdzie ostatni, kiedy sprawdzą z panią Zofią, czy wszystkie pokoje są czyste. Jak kapitan statku... Ma papiery dyplomatyczne i Węgrzy jeszcze je honorują.

– Madziarzy w ogóle nas honorują... – jakoś dwuznacznie, znad kierownicy, rzucił szofer nazywany Fredkiem. I dodał po węgiersku coś, co zabrzmiało jak przekleństwo.

Samochód wydobywał się z krętych, pochyłych uliczek willowego przedmieścia.

– Jesteśmy jeszcze w Budzie – tłumaczyła pani Halina – musimy przejechać aż na drugą stronę Dunaju, do Pesztu.

Bogdan patrzył i miasto wydawało mu się zupełnie inne niż trzy dni temu, gdy wędrował przez te ulice ogarnięty strachem. Wtedy ulice były groźne, straszne. Teraz odnajdywał w nich wizerunek tamtego miasta sprzed paru lat, które jego – przybysza z pierwszej warszawskiej jesieni okupacyjnej, z miasta rozbitego bombami, usianego grobami – powitało spokojnym, obojętnym dobrobytem. Wówczas, porównując Budapeszt z Warszawą, miał wrażenie czegoś nierealnego, bajkowego, nieprawdziwego, teraz również odniósł to wrażenie na widok przechodniów spokojnie zmierzających w różnych kierunkach, gospodyń z pełnymi koszykami, urzędników z teczkami, dzieci z tornistrami... A przecież w tej samej chwili policja rozbija ściany, aresztuje ludzi, w tej samej chwili skutych więźniów przeprowadza się do ponurych cel. Tutaj wszyscy chodzą normalnie, para młodych wędruje przytulona, jakieś dwie panie śmieją się beztrząsco, chłopak ciągnie koleżankę za warkocz. Wszystko jest takie jak co dzień, jak zawsze, choć ziemia trzęsie się w Warszawie i w Berlinie, a tu, w Budapeszcie, też się już zatrzęsała. Czy ci ludzie nic o tym nie wiedzą?

Wjeżdżali do śródmieścia. Coraz większy tłok na chodnikach, coraz więcej aut i tramwajów. To miasto ma szeroki oddech, rozlewny rytm ulic i placów. Tylko domy, o dachach kopalastych jak hełmy, wydają się większe i cięższe niż w Warszawie. Podobne dachy widział w Paryżu... Sklepy szeroko otwarte, kawiarnie, kina afiszujące się kolorowymi plakatami.

Znowu wjechali w wąskie, kręte uliczki, a potem na most. Szary, brunatny Dunaj przelewał się masą wody między betonowymi cembrowinami brzegów. Żelazne łańcuchy mostu spływały z wysoka ku dołowi, by znowu wznieść się ku górze. Pani Halina objaśniała jego nazwę i dzieje, ale słowa nie docierały do świadomości Bogdana. Budził się wciąż na nowo i nie mógł oprzytomnieć. Nie był sobą, ciągle jeszcze nie był sobą.

Zatrzęsała się ziemia, uderzyły pioruny. Rozbiegli się, rozpierzchli, pochowali. I nagle – cisza, zupełny spokój. Mijały dni bez dalszych aresztowań, bez rewizji. Czy tamci się przyczaili?

Dokonywano więc obrachunku poniesionych strat. Aresztowany został szef kurierów odchodzących na południe, Feliks. Aresztowana została Maria, jedna z jego współpracowniczek. To było uderzenie bardzo poważne; wskazywało, iż wyspa przytoczyła się z południa, ze

szlaku bałkańskiego, a nie z północy, z Kraju lub ze Słowacji. Zatrzymani zostali dwaj urzędnicy legalnego stowarzyszenia uchodźców polskich, które organizując oficjalnie byt i życie Polaków internowanych na Węgrzech, nieoficjalnie, choć za cichą zgodą gospodarzy, przygotowywało przerzuty żołnierzy i oficerów przez Bałkany do Turcji, do wojska polskiego. Ponadto zatrzymano jeszcze dwie osoby, mężczyznę i kobietę, wzajemnie sobie nie znanych, zatrudnionych na rozmaitych odcinkach polskiej konspiracji na Węgrzech. Zaplanowano uderzenie w tajną radiostację nadawczo-odbiorczą, ale „pomyłka” policji węgierskiej zapobiegła katastrofie. Po południu nic już nie znaleziono w willi sąsiadującej z mieszkaniem hurtownika skór. Z węgierskiego kontrwywiadu napływały pierwsze informacje: Feliks nie jest przesłuchiwany. Siedzi w celi zupełnie sam. Nie był na badaniach ani on, ani nikt z aresztowanych. Czyżby czekali na dalsze aresztowania, które umożliwią konfrontacje i ułatwią śledztwo? Pułkownik zalecił największą ostrożność. Ograniczono kontakty, przerwano życie towarzyskie, które w Budapeszcie urozmaicało czas garstce Polaków, zajmujących się pod różnymi pretekstami organizowaniem łączności między okupowanym Krajem a wojskiem i rządem na emigracji. Przyczaiła się policja – przyczaili się i oni.

Bogdana otoczono serdeczną opieką. Mieszkał u pani Haliny, żony wyższego urzędnika węgierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który podczas podróży dyplomatycznej do Warszawy, tuż przed wojną, zakochał się w młodej Polce, a teraz, lojalny wobec swych władz, lecz dyskretnie solidaryzujący się z małżonką, nie wyrażał sprzeciwu, gdy co jakiś czas w jego mieszkaniu lożowali Polacy. Zachowywali się zresztą spokojnie i dyskretnie, po paru dniach znikali raz na zawsze, nie kompromitując węgierskiego dyplomaty wobec jego przełożonych, a pomnażając kapitał zasług na wypadek przyszłego zwycięstwa aliantów. Dziwne to bowiem było społeczeństwo – prowadzili wojnę u boku Hitlera i absolutnie pewni byli jego przegranej. Ulokowany w obszernym mieszkaniu, w eleganckiej dzielnicy nie opodal pomnika Arpadów, Bogdan czekał, aż z chaosu wyłonią się możliwości dalszej drogi. Teraz bowiem szlaki na południe stały się niebezpieczne.

Wychodził na długie spacerunki po pięknym mieście. Zatrzymywał się zaraz za bramą, starym rozglądając się po pustej, pozbawionej sklepów ulicy, czy nikt go nie śledzi. Uspokojony ruszał w powolną wędrówkę w stronę muzeów i placu z posągami Arpadów, w stronę parku, gdzie odbywały się wystawy i zabawy ludowe, lub w przeciwnym kierunku, ku gwarnym *körútom*, kolistym bulwarom, dwoma pierścieniami symetrycznie zamykającym śródmieście. Wędrował przez naddunajskie mosty, i te wiszące, i ten rozgałęziony pośrodku rzeki w literę Y, którego trzecie, krótkie ramię prowadziło na Wyspę Małgorzaty. Podczas długich spacerów trenował stopę i uczył się miasta. Na koniec zaglądał zwykle do jakiejś niewielkiej kawiarenki, za każdym razem do innej. Przy stoliku oczekiwał pułkownik, szef nielegalnej polskiej placówki łącznościowej. Bogdan składał mu obszernie sprawozdanie ze swej dramatycznej drogi, dowiadywał się szczegółów sytuacji i tego właśnie, że musi jeszcze czekać.

Radiostacja, zmontowana w innym miejscu – jak domyślał się ze słów pułkownika – odbierała już depesze z Londynu i Warszawy. Potwierdzały one informacje łączników, którzy poprzez zielone granice dotarli z meldunkami zarówno z Bukaresztu, jak i z Belgradu. Obraz sytuacji zaczynał rysować się wyraźniej, choć nie zostało ustalone źródło zagrożenia. Aresztowanych w Budapeszcie nadal nie przesłuchiowano, a bez pytań zadawanych w śledztwie nie można było zorientować się, gdzie właściwie spruła się konspiracyjna siatka. Jedno było pewne: akcję inicjowało i koordynowało gestapo. Tego samego dnia, o tej samej rannej godzinie nastąpiły aresztowania w Sofii, w Bukareszcie, w Belgradzie i w Budapeszcie. W Sofii zabrano dwie osoby, w Bukareszcie cztery, największe straty były w Belgradzie, gdzie gestapo zagarnęło szefa placówki i tajną radiostację wraz z szyframi. W Belgradzie Niemcy działali sami na rządzonej przez siebie terenie, w innych stolicach bałkańskich operowali poprzez miejscowe policje i kontrwywiady, które amortyzowały, a w pewnych wypadkach nawet sabotowały zlecenia gestapo. We wszystkich tych krajach, a na Węgrzech na pewno –

wywodził pułkownik – we wszystkich urzędach toczyła się cicha, nieustanna walka podjazdowa między zwolennikami i przeciwnikami Niemiec hitlerowskich. Tu, nad Dunajem, sprawy są pogmatwane i nie jest bynajmniej przypadkiem, że agenci węgierskiego kontrwywiadu nadal uznają i honorują paszport dyplomatyczny państwa, z którym ich własny rząd zerwał stosunki. Jeden Węgier drugiemu patrzy na ręce i sami przed sobą konspirują się przynajmniej tak, jak Polacy konspirują się przed nimi.

Pułkownik nie sypiał ostatnio w mieszkaniu, w którym był zameldowany. Paru swych podkomendnych przerzucił przez Słowację do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie – jak na ironię – najłatwiej było ukryć się ludziom poszukiwanym w Budapeszcie, tak jak ludziom prześladowanym w Warszawie czy Krakowie najłatwiej było schronić się w obozach polskich uchodźców na Węgrzech.

A na Słowacji? – dopytywał się Bogdan. Czy był to może ten sam plan – sieć nagle zarzucona na granicę, parę dni przed uderzeniem na Bałkany? Pułkownik nie zaprzeczał ani nie potwierdzał. Prawdopodobnie, choć – zastrzegał się – po cóż by taką słowacką akcją gestapo miało uprzedzać swe własne uderzenie, ostrzegać, alarmować? Ale z drugiej strony – myślał głośno – mogło im zależeć na uchwyceniu jakiejś nitki, prowadzącej z Budapesztu na północ, dla uzupełnienia tych, które wiodły na południe. Ze Słowacji przyszły już dokładne wiadomości. Karol, ciężko ranny i mało przytomny, leży w szpitalu w Bratysławie i nie może być przesłuchiwany. Wacek, drugi kurier, razem z kierowcą Słowakiem zdołali uciec, ale nie na Węgry, tylko na północ, do Polski. Przeprowadzono aresztowania w trzech słowackich rodzinach. Podczas obławy granicznej zastrzelono jednego angielskiego oficera. Francuzów zatrzymali Węgrzy i zamknęli ich w obozie dla internowanych cudzoziemców – nic im nie grozi. Kurierzy polscy, którzy szli z Piotrem i innymi cudzoziemcami, są od dawna bezpieczni w Budapeszcie, jeden z nich zdążył już nawet być w Polsce i wrócić. Uderzenie słowackie pomieszało szyki, ale nie przerwało łączności z Warszawą; kurierzy chodzą stale, tylko na czas jakiś zatrzymano przerzut ludzi.

– Pan był ostatni, a i to cudem się udało... Ma pan szczęście! – pułkownik podniósł kieliszek tokaju. W Budapeszcie wszystkie produkty – chleb, mięso, jarzyny – były na kartki, ściśle wydzielane, ale wina można było dostać. Wypił za dalszą drogę Bogdana. – Warszawa już przynaglała – przyznawał. – Gdyby nie to zamieszanie, już by pan, poruczniku, był pewnie w Sofii i szykował się do ostatniego skoku na Stambuł, a tak... cierpliwości! Lada dzień otworzą się jakieś drogi, już działamy... lada dzień...

Lada dzień – słowa jak ocean. Lada dzień – na to czekał w Warszawie. Lada dzień – powtarzają w Budapeszcie, a on już by chciał być daleko stąd, bliżej swego celu. Budapeszt to piękne miasto, ale nazbyt rozmijające się z wojenną rzeczywistością. Nie ma tu grozy heroizmu i cierpienia, jak w Warszawie, ani determinacji miast frontowych, jak – wyobrażał sobie – w Moskwie czy w Londynie. Budapeszt przypominał mu teraz Paryż z pierwszego roku wojny, gdy przybył tam w drodze do obozu wojskowego w Bretonii. W Paryżu była wojna – i równocześnie jej nie było. W Budapeszcie jest wojna – widać żołnierzy, podobno walczą gdzieś na froncie, miasto wieczorem jest dokładnie zaciemnione – a równocześnie nie ma wojny. Nikt jej nie chce, nikt nie chce się bić.

Zapytał pułkownika o dziewczynę, z którą przedarł się ze Słowacji. Aresztowana przez Węgrów? Gdzie ona może być? Pułkownik mruknął niechętnie:

– Dziwna sprawa. Wędrowała z Polski naszą linią, ale nic o niej nie wiemy. Pewnie siedzi w prowincjonalnym areszcie; zanim aresztowanych przywiezą do Budapesztu, mijają czasem tygodnie... Może wydali ją Słowakom? – wyraźnie lekceważył sprawę.

W pokoju o wysokich ścianach i wąskich oknach, wypełnionym starymi meblami i ciemnymi obrazami, w pokoju, w którego kotarach przechowały się zapachy z epoki Franciszka Józefa – bardziej odległej w stylu życia niż w czasie – co wieczór przewracał się na dużym staroświeckim łożu i nie mógł zasnąć. Był już wypoczęty i pełen sił, ale kazali mu czekać.

Czekać – w tym osobliwym budapeszteńskim przedśmionku wojny.

Podczas kolejnego spotkania pułkownik zaczął:

– Miałbym do, pana prośbę, poruczniku. Feliksa aresztowano, a tu wynikła pewna sprawa. Mam teraz mało ludzi. I dlatego zwracam się...

Bogdan gotów był podjąć się każdego zadania.

– *Verzeihen Sie, bitte. Herr Laufer?*³²

Pochylił się w lekkim ukłonie, całą swą postawą wyrażając pytanie, niepewność i przeproszenie zarazem, jeżeli zaszła omyłka. Czy pan Laufer?

Przystojny, gładko wygolony, o twarzy okrągłej i pogodnej, lekko szpakowaty brunet, siedzący przy małym kawiarnianym stolczku, odsunął *Pester Lloyd* – węgierską gazetę wydawaną po niemiecku pod angielskim tytułem – i z wyraźnym zdumieniem spojrzął na obcego, znieca go zaczepiającego mężczyznę. Bogdan poczuł się nieswojo: a nuż pomylił tych panów?

Pomylił? Dwukrotnie w ciągu pięciu minut. Przed chwilą ona – albo nie ona? – udała, że go nie poznaje, nie chciała go poznać, a teraz ten – albo nie ten? Można oszaleć.

Tamta – jeżeli to była Krystyna? – spojrzała na niego tak, jak człowiek obcy spogląda na nieznanego, bez najlżejszego drgnienia twarzy. Czy można tak spojrzeć na kogoś, z kim się przeżyło długie, straszne chwile? Jeżeli można, to tylko całym wysiłkiem woli, paralizującej najbardziej naturalne reakcje. Teraz ten człowiek – jeżeli to Laufer? – był zdumiony i zaskoczenie malowało się w jego brązowych oczach.

Czy możliwa byłaby taka pomyłka? Krystynę pamiętał znakomicie. Charakterystyczną rzeźbę jej twarzy dostrzegł przecież w tłumie na dworcu warszawskim, widział ją podczas bitwy na słowackiej drodze, wpatrywał się w nią – jak mężczyzna w kobietę – rankiem w węgierskiej stodole. Czy może być w Budapeszcie druga kobieta o identycznej twarzy i sylwetce? Bliźniaczki, które razem uciekły z Polski na Węgry, a jedna z nich pełni służbę kurierską? To była pierwsza myśl, gdy ta kobieta minęła go z absolutną obojętnością. Dostrzegł ją już z daleka. Była ubrana inaczej, elegancko, w innym palcie. Głośno, po węgiersku, rozmawiała ze swym towarzyszem. A przecież Bogdan dałby sobie uciąć rękę, że była to ta sama kobieta, którą przed dwoma tygodniami – ileż to rzeczy wydarzyło się w tym czasie? – węgierscy żołnierze aresztowali nad granicą. Uciekła z aresztu? Przyspieszył kroku, szedł naprzeciw niej, uśmiechał się radośnie, powitalnie, już sięgał dłonią do kapelusza, chciał zapytać: „Jak się wywinęłaś, Krysiu?” Zmroził go brak jakiejkolwiek reakcji. Patrzyła na niego jak na jeden z posągów, których pół tuzina stoi na rozległym naddunajskim placu. Tajemnica tej kobiety zaniepokoiła go. Krystyna – jeżeli to była ona? – dotarła do Budapesztu, pułkownik nie chciał o niej rozmawiać, ona wyraźnie unikała rozpoznania, zacierała ślady...

Nie miał czasu na rozpamiętywanie zdarzenia. Dwunasta za minutę. Punktualność spotkania z Laufrem miała znaczenie hasła. Zdenerwowany i podniecony – najchętniej ruszyłby za nią, trop w trop, aby wy badać jej tajemnicę – wbiegł w obrotowe drzwi kawiarni.

Pod dużym oknem spostrzegł siedzącego przy stoliku mężczyznę, którego wygląd zgadzał się z opisem podanym przez panią Halinę. Punkt dwunasta. Podeszedł i pochylił się:

– *Herr Laufer?*

Zdumiony wzrok tamtego. Zgrabnym niemieckim słówkiem już gotów był wycofać się z niezręcznej sytuacji, gdy mężczyzna odłożył gazetę na stolik i spokojnie potwierdził:

– *Jawohl! Was wünschen Sie?*³³

Pani Halina, bliska współpracowniczka Feliksa, technikę kontaktów z Laufrem znała bardzo dokładnie, choć sama – ze względu na męża – nigdy nie spotykała się z żadnym z tych licznych cudzoziemców, którzy na trasach Budapeszt-Stambuł, Budapeszt-Rzym, Budapeszt-

³² *Verzeihen Sie...* (niem.) – Przepraszam. Czy to pan Laufer?

³³ *Jawohl!*... (niem.) – Tak! Czego pan sobie życzy?

Zurych, Budapeszt-Lizbona godzili się świadczyć usługi dla polskiej konspiracji. Wynajdywali ich przeważnie szefowie placówek łącznościowych w Stambule, Watykanie, Lizbonie czy Genewie, zaś w Budapeszcie przyjmował i utrzymywał z nimi kontakty Feliks. Tak było i z Laufrem. Pewnego dnia zjawił się pod umówionym adresem, z umówionym hasłem i paczką ze Stambułu. Kupiec z Pragi czeskiej, współpracował z niemieckim handlem zagranicznym, dokonywał dla Niemców rozmaitych transakcji, cieszył się ich zaufaniem. Podczas swych podróży współdziałał z konspiracją czeską, przekazywał materiały z Pragi do Stambułu i odwrotnie. W Turcji Czesi zarekomendowali go swym przyjacielom Polakom. Pani Halina nie podała Bogdanowi specjalnego hasła – Feliks i Laufer znali się już dostatecznie dobrze, by obywać się bez takich zabezpieczeń. Feliks nie przewidywał jednak, że ktoś inny będzie nagle zmuszony odebrać od Laufra przywiezioną ze Stambułu pocztę. Przyjeżdżając do Budapesztu, na ogół co dwa, trzy miesiące, Laufer za każdym razem zostawiał karteczkę w Stowarzyszeniu Polsko-Węgierskim, gdzie formalnie pracował Feliks, a faktycznie działała pani Halina. Trzeciego dnia po oddaniu karteczki w sekretariacie Stowarzyszenia, punktualnie o dwunastej w południe dwaj panowie spotykali się w tej właśnie kawiarni. Wielka, mroczna, dawno nie odnawiana sala, łoże obite pluszem i skórą, brązowe krzeselka, stoliki, sute kotary, kelnerzy we frakach. Starsi panowie z maleńkich filiżaneczek powoli siorbią kawę – coraz bardziej wojenną namiastką kawy – czytają gazety, spierają się półgłosem o sytuację na frontach, grają w karty i w bilard, a nade wszystko tęsknią do dawnych, bardzo dawnych czasów. W tak nierzeczywistej atmosferze najswobodniej snuto konspiracyjne wątki. Przez wielkie okna widać pnące się ku górze – niczym szyny kolejki w lunaparku – łańcuchowe przesła wiszącego mostu; za rzeką skarpa z szeroko rozsiadłym królewskim zamkiem. Dwaj panowie rozmawiali wtedy o polityce i o kobietach. Laufer opowiadał swe przygody z Lewantynkami, Feliks gestem eks-ziemianina zamawiał najlepsze wino, pili za pomyślność. Czech dyskretnie wręczał Polakowi płaską, ciasno opakowaną paczuszkę, która przemyślnym systemem wewnętrznych sklejeń paru warstw papieru zdawała się być zabezpieczona od niepowołanej ciekawości kogoś, kto w drodze z Turcji na Węgry zechciałby do niej zajrzeć. Dyskrecja i solidność Laufra były wysoko opłacane dolarami w Stambule. Potem panowie umawiali się na następny termin, gdy Laufer, czeski kupiec w służbie Trzeciej Rzeszy, będzie wracał przez Budapeszt do Stambułu i znowu zabierze paczuszkę, by powiększyć swe konto w banku, prawdopodobnie tureckim lub w jakimś innym państwie neutralnym, za jednym zamachem przygotowując sobie kapitał na powojenne operacje finansowe oraz wzmacniając alibi, dzięki któremu kiedyś postara się o rozgrzeszenie u zwycięzców z lojalności i współpracy z państwem Hitlera. Poza tym Feliks zapraszał Laufra do bardziej ekskluzywnych lokali, gdzie znakomita kuchnia węgierska i doskonale alkohole zgrabnie maskowały rynkowe kłopoty stolicy. To wszystko Bogdan wiedział dokładnie, nie wiedział tylko, jak zyskać na początku zaufanie Laufra, jak spowodować, by tamten się nie spłoszył i nie zatrzymał paczki z tajną pocztą. Brakowało mu hasła, tych paru magicznych słów. Czy wystarczy karteczka, własnoręcznie napisana przez Laufra, oraz znajomość terminu i miejsca spotkania?

– Proszę pana... – zająknął się, przerwał, przysunął sobie krzesło i usiadłszy naprzeciw Laufra, pochylił się nad stolikiem. Zaczął poufale, w swej biegłej, acz nie doskonałej niemiezczyźnie: – Feliks musiał wyjechać z Budapesztu, na dłuższy czas...

– Dokąd? – tym jednym pytaniem tamten od razu poświadczył wiarygodność spotkania. W głosie Czecha Bogdan wyczuł niepewność. Lęk o pieniądze? Lęk o kłopot z paczką, z którą nie miałby co zrobić?

– Wyjechał... musiał... – odparł wymijająco. – Polecił mi oczekiwać na wiadomość od pana i gdy tylko zostawi pan karteczkę w Stowarzyszeniu, trzeciego dnia zjawić się tutaj, o dwunastej w południe... – Wyjął z kieszeni kartkę, podał Laufrowi i ciągnął: – Mam odebrać od pana paczuszkę ze Stambułu i umówić się na ponowne spotkanie – mnożył szczegóły sprawy, by udowodnić, że wie o niej wszystko.

Najbliższe spotkanie istotnie miał ustalić, choć wiedział, że już nie on zobaczy się wtedy z Laufrem.

– Szkoda, że nie pan Feliks... – powiedział kupiec i umilkł. Kelner, starszy człowiek, w workowato opadającym fraku, podszedł do stolika. – Kawa – zadysponował Laufer.

– Kawa i krem z kasztanów – zamówił Bogdan; polubił ten węgierski przysmak. – Koniak? Wino? – pytał Laufra, by dać mu do zrozumienia, iż nie ma powodu rozmawiać zbyt pośpiesznie, na chybcika.

Laufer wybrał koniak. Kelner odszedł kuśtykając.

– Szkoda, bardzo lubiłem spotykać się z panem Feliksem. Taki kulturalny, subtelny... Na długo wyjechał?

— Na kilka tygodni.

– Urlop?

– Nie, skądże! – Bogdan gorąco zaprzeczył. To słowo, zestawione z ofiarną pracą konspiraatora, wydało mu się profanacją, zabrzmiało niemal ironicznie. – Nie, wcale nie urlop. Podróż służbowa.

– Podróż do kresu nocy – dopowiedział Laufer literackim sloganem.

Bogdana przeszły ciarki: tamten trafił w sedno. Czyżby wiedział? Pułkownik zaklinał, by nie rozpowiadać o uderzeniach, jakie trafiły w placówkę; gestapo czekało na echa swych poczynań.

– Nie pojmuję, co pan ma na myśli – rzekł, niby zdziwiony.

– To tytuł słynnej francuskiej powieści. Znakomicie odpowiada położeniu, w jakim znajdują się nasze ojczyzny. Kres nocy jest tam, w Warszawie, w Pradze. Ale chyba do Pragi pan Feliks nie może mieć specjalnych interesów. Więc?...

– Nie wiem – Bogdan powstrzymał jego ciekawość. – Naprawdę nie wiem, dokąd wyjechał Feliks. Pan przecież orientuje się, że o tych sprawach nie rozmawiamy nawet z najbliższymi. Nie zawsze należy pytać, nie zawsze otrzymuje się odpowiedzi. Najlepiej nie wiedzieć. Prawda?

– Prawda... – przyświadczył Laufer.

Kelner już wsuwał na stoliczek dwie małe tacki: kawy i koniaki. Oddzielnie krem z kasztanów.

– Jerzy kazał serdecznie pozdrowić pana Feliksa. Jeżeli pan go zobaczy wcześniej niż ja, proszę mu przekazać te słowa – powiedział po chwili Laufer.

Jerzy? Kto to jest? Halina nic o nim, nie wspominała. Ktoś ze Stambułu? Formuła pozdrowienia zawiera jakiś szyfr. Czy potrzebny jest odzew, skwitowanie tej informacji, mającej może zasadniczą wagę? Bogdan spieszył się. Laufer przywoził paczki tylko ze Stambułu. To wiedział na pewno.

– Dziękuję. Przekażę. W Stambule wszystko w porządku? – zaryzykował banalne pytanie.

– Cóż się tam u nich może teraz zmienić? – Laufer uniósł kieliszek ze złotawym płynem. – Słońce, ciepło... auta, swoboda, pokój. Tam nie ma nocy, tam jest dzień! Nie będę tail, że podróże do Stambułu mają dla mnie wiele uroku. Nie chciałbym, aby się prędko skończyły.

– Opłacają się... – mruknął Bogdan z niezbyt taktowną domyślnością. Należało sprowadzić rozmowę na sprawy pieniężne. Pułkownik zalecił, aby Bogdan dla większej zachęty wręczył Laufrowi dodatkowy pakiet zielonkawych papierków. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę o tych pieniądzech.

– Nie będę udawał, że mi się to nie opłaca – Laufer był człowiekiem bardziej wyrobionym. – Owszem, opłaca się. I powinno się opłacać. Ale ponadto ważna jest dla mnie świadomość, iż w ten sposób dokładam swoją cegiełkę do wielkiej sprawy zwycięstwa, przyspieszam moment, gdy znowu w Pradze...

Zamilkł. Nie postawił kropki nad i. Rozmowa stawała się nazbyt patetyczna. Bogdan sięgnął po kieliszek i zadał konkretne pytanie:

– A kiedy będzie pan wracał do Stambułu?

– Najpierw skończmy z jednym – roześmiał się Laufer. Z teczki leżącej na krzeselku szybko wyciągnął płaską paczkę, owiniętą w brązowy papier. – To dla pana – podał Bogdanowi. Nareszcie! Poczawszy w palcach twardość przesyłki Bogdan odetchnął z ulgą. Laufer mówił coś dalej; podróż trwała nieco dłużej, cztery dni stracił w Belgradzie. – Straszne miasto – otrząsnął się. – Straszny kraj. Każdy pociąg, którym się jedzie, może zostać wysadzony w powietrze.

– A kiedy pan będzie wracał? – Bogdan powtórzył swe pytanie. – Chciałbym przygotować... – jękał się, nie wiedział, jak zacząć o tych pieniądzech. Nagle wyrzucił: – Gdyby pan miał jakieś dodatkowe koszty, to gotów jestem, choćby zaraz... – Laufer uniósł głowę i uśmiechnął się lekko. – Feliks zostawił mi na ten cel nieco gotówki... Jeżeli wołałby pan wcześniej...

– E, po cóż miałbym je z sobą tak długo wozić. Teraz nie. To Feliks mi poradził, by je tam lokować...

– Jak pan będzie jechał z powrotem, tak? Kiedy?

– Ano właśnie... Trudno mi powiedzieć. Za kilka tygodni, dam panu znać, jak zwykle. Ale... – pochylił się ku Bogdanowi, ściszył głos.

– Ale?... – podjął wyczekująco Bogdan.

– Hm... mam dla panów pewną bardzo interesującą propozycję. Warto z niej skorzystać. Do Stambułu wracam później, ale moja najbliższa podróż w sprawach handlowych będzie wyglądać zupełnie inaczej. Jadę w inną stronę, do Szwajcarii. Pan rozumie? Z Pragi do Szwajcarii, do Zurychu. Własnym autem. Mógłbym za kilkanaście dni przyjechać do Budapesztu i dopiero stąd przez Wiedeń... Pan rozumie? Mogę zabrać paczuszkę, mogę również... jakiegoś pana, panią, pasażera. Tylko... – nachylił się jeszcze bardziej, szeptał całkiem cicho – paszport musi być doskonały, murowany, hiszpański, portugalski, włoski, szwedzki, wiza niemiecka i szwajcarska. Niemiecka tranzytowa. Nocleg w Wiedniu, jeden skok przez Austrię i Tyrol. Pan rozumie? Niech się panowie zastanowią...

– Kiedy mam dać odpowiedź? – szepnął Bogdan. Propozycja wydała mu się oszałamiająca. Jeden skok, dwa dni – i Zurych. Pomyślał o sobie, tylko o sobie. Czy zdobędą dla niego paszport?

– Za dwa tygodnie. Przyjadę, jak zwykle dam znać karteczką, tylko spotkajmy się zaraz nazajutrz, będę miał mało czasu. Tutaj o dwunastej w południe. Dobrze?

– Dobrze... – Bogdan z trudem opanowywał ogarniającą go emocję.

– A więc... niech się panowie dobrze zastanowią. Za dwa tygodnie.

Laufer sięgnął po kieliszek. Stuknęli się – za pomyślność. Dopili koniak. Laufer zbierał się do odejścia.

– Proszę pozdrowić pana Feliksa – już się podnosił, ale jeszcze przysiadł. – I wie pan co... – jakby się wahał – jeżeli to rzeczywiście nie robi różnicy, jak pan sam powiedział... w związku z tą podróżą muszę lepiej przygotować samochód...

Bogdan wcisnął mu w rękę płaską kopertę z dolarami, szczęśliwy, że wszystko tak łatwo poszło. Ma dwie ważne wiadomości dla pułkownika: samochód do Szwajcarii i Krystyna w Budapeszcie!

Duży czarny mercedes zahamował przy chodniku. Czwarta po południu, zapadł zmierzch. Wzbierała fala przechodniów. Stefan powiedział:

– No, już...

Bogdan był gotów. Stali przed żółtym trzypiętrowym biurowcem. Budynek węgierskiego kontrwywiadu, tworzący całość z koszarami nazwanymi imieniem Hadika – generała sprzed stu lat, z czasów wojny narodowej Węgrów przeciwko Austriakom – był najbrzydszy na tej szerokiej alei Horthyego. Dziś rano jeszcze, wczoraj, przedwczoraj – całe trzy dni – schodzili tutaj ze Stefanem każdy metr trotuaru, spenetrowali układ ulic i sąsiednie podwórza na wypa-

dek koniecznej ucieczki. Odruchowo dotknął rewolweru tkwiącego w kieszeni czarnego, skórzanego gestapowskiego płaszcza. Spojrzał na przeciwległy chodnik – powoli spacerował tam pułkownik rozmawiając z nie znaną Bogdanowi kobietą.

Wysiedli. Zerknął na zegarek – za trzy minuty czwarta. Liczyła się każda sekunda. Czy Emil akurat teraz rozmawia z majorem Grollem? Bogdan nie miał czasu wyobrazić sobie sceny, która w tej chwili zapewne rozgrywa się w wielkim hotelu Gellérta, pół kilometra stąd.

... Niemiec schodzi ze schodów. Ubrany w czarny skórzany płaszcz gestapowski. Na ostatnim podeście, już niemal na parterze, zaczepia go nieznajomy mężczyzna, zastępuje drogę. Niemiec chce wyminąć przypadkowego intruza, ale tamten już jest przy nim i nachylając się mówi cicho i dobitnie, z cudzoziemskim, złym akcentem: „Panie majorze! – Niemiec patrzy zdumiony, skąd tamten zna jego stopień; jest przecież w cywilu. – Proszę o pięć minut rozmowy, mam dla pana niezmiernie ważne dokumenty dotyczące polskich bandytów, które mogą pana zainteresować”. Niemiec zatrzymuje się. „Teraz? Nie mam czasu, niech pan przyjdzie z tym...” „To są dokumenty specjalnie dla pana, bardzo interesujące, proszę tylko rzucić na nie okiem, a zaraz oceni pan ich wartość” – mężczyzna podtyka mu grubą kopertę. „Pan mnie zna?” – dziwi się niemiecki oficer. Mężczyzna już wie, że haczyk został połknięty, teraz rozmowa musi potrwać dziesięć, piętnaście minut. Na dole, w hallu, denerwuje się towarzyszy majora, woła z cicha, że muszą jechać. Major uspokaja tamtego ruchem ręki. Stoją na schodach. „Dowiedziałem się, że pan przyjechał – powoli mówi obcy mężczyzna. – Jestem Polakiem! I mam swoje powody, aby pana szukać, gdyż chcę się stąd wydostać, mam tego wszystkiego dosyć. To są dokumenty absolutnie autentyczne, które muszą pana zainteresować, a w zamian pomoże mi pan stąd wyjechać, dobrze? – od razu określa cenę swej osobliwej oferty. – Te dokumenty uzyskałem tylko na kilka godzin, pan je musi zaraz ocenić, jeżeli nie będą panu przydatne, to trudno, ale jeżeli będą... pan rozumie...” – prosi, łasi się niemal. Niemiec jest zaintrygowany. „Wezmę je i niech pan się zgłosi...” „Nie, musi je pan teraz, od razu ocenić, bo jeżeli panu nie będą przydatne, to może Węgrzy... a ja mam je tylko na kilka godzin... na kilka godzin...” – bełkocze. „Proszę pokazać...” Major sięga po kopertę, mężczyzna wyjmuje plik papierów, podaje. Niemiec, oparty o poręcz schodów, w przyćmionym świetle hallu zaczyna lekturę. „Pan major czyta po polsku? – dopytuje się mężczyzna. – Może tłumaczyć?” Niemiec uspokajająco kiwa głową – dosyć się już napatrzył na polskie dokumenty, maszynopisy, przeróżne akta, by zrozumieć ogólną treść tego pisma. „O!...” – cichy wykrzyknik ujawnia pierwsze zaciekawienie. „To są sprawozdania, które odejdą do Stambułu... przysły z Warszawy...” – podpowiada cicho mężczyzna, głos mu się łamie, jest bardzo zdenerwowany. Niemiec bez trudu rozpoznaje sprawozdanie organizacyjne polskiego wywiadu dla centrali w Londynie. Bardzo cenny materiał. „Pan ma stale z tym do czynienia?” „No... stale... tak...” – jąka się Polak, który wyraźnie nie chce powiedzieć zbyt dużo. „Teraz już muszę jechać... – major też jest podniecony, patrzy na zegarek. – Pan mi to zostawi...” „Dobrze... ale, panie majorze... jak ja mam teraz... jeżeli za kilka godzin ten dokument nie będzie leżał...” Polak wygląda na speszzonego. Ale Niemiec wie, że już na niego czekają...

Stefan wyprzedził Bogdana o pół kroku. Pewnym ruchem otworzył drzwi. Drzwi Hadika! Hadik – Hades, jak zartobliwie parodiowali konspiracyjacy w Budapeszcie Polacy. Do Hadika sprowadzano aresztowanych Polaków w wyjątkowych wypadkach – tutaj odbywały się najtrudniejsze przesłuchania. W piwnicy tego budynku znajdował się areszt złożony z pięciu cel, niektórzy Polacy już w nim siedzieli i opowiedzieli kolegom, jak wygląda. Stąd też się zresztą wychodziło, jak z innych aresztów i więzień węgierskich. Niekiedy aresztowanych zwalniano po paru dniach. Niekiedy przekazywano policji kryminalnej; w takich wypadkach ich zwolnienie załatwiano przy pomocy paru telefonów węgierskich arystokratów. Niekiedy wysyłano do karnego obozu internowanych oficerów, skąd ucieczka była już tylko niedzielnym spacerkiem. Raz jedynie, dwa lata temu, oficer Polak został prosto z Hadika wywieziony do Berlina.

I teraz – Feliks!

Piorun strzelił przed pięcioma dniami. Współpracujący z Polakami agent węgierskiego kontrwywiadu dał znać: Feliks, który nie był jeszcze przesłuchiwany, na specjalne życzenie ambasady będzie wydany Niemcom! Do Budapesztu przyjechał już major Groll z warszawskiego gestapo i w środę o czwartej po południu nastąpi na Hadiku ekstradycja. Więzień będzie czekał na dole, w pokoju wartownika, gotów do podróży. Niemiec pokaże upoważnienie ambasady, tekst stereotypowy, podpisze odbiór więźnia i zabierze go do samochodu...

W rozmowie z Węgrem Emil, jeden z Polaków, który utrzymywał ten kontakt, zapytał wyraźnie: mamy odbijać go na wiedeńskiej szosie? Węgier skrzywił się i dał do zrozumienia, że niektórzy, choć może nie wszyscy jego przełożeni byliby radzi, gdyby tak między Hadikiem a Wiedniem Feliks zniknął Niemcom z rąk, ale nie chcieliby, broń Boże, żadnej bitwy. Wyciągnął z teczki blankiet niemieckiej ambasady w Budapeszcie. Na takim arkusiku napisane będzie upoważnienie dla majora Grolla, a oto tekst upoważnienia... Emil upewnił się jeszcze, czy w środę o czwartej po południu będą w wartowni tylko niżsi funkcjonariusze, tak by major Groll nie spotkał żadnego ze swoich znajomych.

Cała polska placówka została postawiona na nogi. Czasu bardzo niewiele, to dobrze; nadmierne przeciąganie się takich przygotowań zawsze bywa niebezpieczne. Należało podrobić list niemieckiej ambasady. Sprokurować dokument, dostatecznie frapujący, by Emil mógł zająć nim uwagę majora Grolla na te dziesięć, piętnaście minut. Należało wreszcie wybrać dwóch ludzi, obcych Feliksowi, którzy udając Niemców, odbiorą Polaka z budynku węgierskiego kontrwywiadu.

Pułkownik znowu poprosił Bogdana na rozmowę.

– Pan mówi biegle po niemiecku – warunek pierwszy. Feliks nie zna pana, poruczniku – warunek drugi. Pana nikt tutaj nie zna, twarz pana nie jest znana oficerom z Hadika, przy czym za kilka dni zniknie pan stąd na zawsze – warunek trzeci. Więc... – pułkownik spojrzał na niego wyczekująco.

W pierwszym odruchu Bogdan zawahał się. A jeżeli coś się nie uda? Jego zadaniem jest dotrzeć do Londynu! Wszystko inne...

Pułkownik przekonywał i jego, i samego siebie:

– Nie mam ludzi, po ostatnich wypadkach kilku musiało zniknąć. Sytuacja jest nietypowa. Panu przecież niemal nic nie grozi...

Bogdan rozważał głośno, choć już zdecydowany był się zgodzić: czy w kurierskiej służbie wolno mu prowokować nie przewidywane, dodatkowe niebezpieczeństwa?

Pułkownik nalegał. Jeżeli ryzyko jest tak małe?... Obyczaj majora Grolla kontrwywiad miał dobrze rozpracowane, Niemiec znalazł się w sieci podwójnej obserwacji: Węgrów oraz Polaków. Major Groll po obiedzie będzie wyjeżdżał od siebie z hotelu Gellérta. Jeżeli Emilowi nie uda się go zatrzymać, to na *Hórhly Miklós utca* zderzy się z autem majora inny samochód powodując ostry karambol. Ze strony węgierskiej też jest wszystko przygotowane. Im również zależy na dyskrecji i na sukcesie.

Trzy dni na przygotowanie akcji, poznanie terenu. Trzy dni na zżycie się z rolą ważniejszą niż pomocnik *Lokführera*, tyle że odgrywaną o wiele krócej i w cywilnym ubraniu. Bogdanowi pokazano majora. Podczas kolacji w hotelu usiedli przy sąsiednim stoliku. Wydawało mu się, że powinien zapamiętać i naśladować gesty i ruchy Niemca. Major Groll nosił czarny płaszcz; taki sam gestapowski płaszcz dostarczono również Bogdanowi. Jedyne rekwiizyt.

Nie spał całą noc. Drzemał, budził się nagle z wciąż jednakowego snu: kurczowo trzyma się żelaznej obudowy przy osiach kół, ziemia ucieka, dłonie słabną, stopy mdleją, spada... Budził się i znowu pogrążał w płytki, męczący sen wypełniony koszmarami. Dopiero rano przyniósł ulgę. Jeszcze jeden spacer po *Hórhly Miklós utca*, jeszcze jedna repetycja. Niecierpliwie oczekiwał godziny trzeciej, rozpoczęcia akcji. No już, nareszcie...

Stefan pchnął drzwi Hadika.

Spacerujący po drugiej stronie ulicy pułkownik zastygł przed witryną sklepu; Bogdan zdą-

żył to dostrzec, zanim wszedł do ciemnego, wąskiego przedsionka, w przeciwnym końcu zamkniętego żelazną kratą.

– *Heil Hitler!* – zabełkotał połykając sylaby; powitanie winno być stereotypowe i byle jakie, madziarski przyjaciel nauczył ich, jak zachowują się Niemcy w węgierskich instytucjach.

Stefan podniósł rękę – nie nazbyt wysoko i bez demonstracji. Wartownik stanął na baczność. Bogdan zapytał po niemiecku:

– Gdzie jest więzień? My z ambasady...

Z bocznych drzwi wybiegł szczupły, żwawy podoficer.

– Pan major Groll? Po tego Polaka?

– *Jawohl!* – burknął Bogdan.

– *Bitte schön, bitte...*³⁴ – podoficer wskazywał drogę.

Kiepska żarówka, wysoko pod sufitem, marnie oświetlała niewielki pokój. Czekwały na nich trzy osoby. Bogdan odetchnął: wszystko przygotowane. Prędej, prędzej podpisywać te dokumenty! Feliksa rozpoznał od razu: bez krawata, zmięta koszula, wygniecione palto, kłaczasty zarost. Żywa, ruchliwa, inteligentna twarz. Brunet, ciemne wąsy, rumiane policzki człowieka, który dużo przebywał na wsi. Oczy przygaszone, jakby przesłonięte mgłą. Dłonie skute w przegubach.

Bogdan bez słowa wyciągnął z kieszeni papier w urzędowej kopercie z czarnym hitlerowskim orłem. Cywil – prosząc siadać, podając papierosa, wdzięcząc się – uważnie odczytał niemiecki tekst, zaopatrzone w pieczęcie i podpisy.

– *Alles in Ordnung! Alles ist vorbereitet!*³⁵ – Teraz on z kolei podsunął węgierski dokument, już leżący na stoliku. Wskazał miejsce u dołu, gdzie należało pokwitować przyjęcie więźnia. Od tej pory Polakiem będzie się opiekować Trzecia Rzesza.

Każdy gest, każde słowo – wieczność. Rzadkie są chwile w życiu człowieka, gdy czas ciąży tak dotkliwie. Bogdan patrzyłby teraz tylko na zegarek, ale nie wolno mu zdradzić zdenerwowania, choćby wszyscy w tym pokoju wiedzieli, że uczestniczą w przedstawieniu. A wszyscy tego przecież nie wiedzą! Z kieszeni czarnego skózanego płaszcza wyciągnął znakomitego „pelikana”, specjalnie kupionego. Podpisał dokument – przez dwa dni ćwiczył podpis majora Grolla. Cywil podsunął kopię, na kopii też! Czy Emil zatrzymał tamtego dostatecznie długo? Co się dzieje w hotelu? Na ulicy? Czy samochód majora Grolla ruszył już przed hotelu Gellérta?

– To wszystkie dokumenty? – Bogdan przejmuje plik papierów od cywila.

– Wszystkie, panie majorze, wszystkie. Straż graniczna uprzedzona, ale tam na wierzchu jest i do nich stosowne pismo, które pan im pokaże.

– *Danke!*³⁶ – ucisnęła dłoń funkcjonariuszowi kontrwywiadu. I pomyślał: „Udaje czy naprawdę nic nie wie?”

Stefan huknął na więźnia, w milczeniu przyglądającego się ceremonii:

– *Hände!* – Należało zmienić mu kajdanki.

Feliks nie znał Stefana; pułkownik specjalnie „wypożyczył” go do tej operacji z innej polskiej placówki. Tak być musiało. Jeden porozumiewawczy grymas mógł przekreślić wszystko.

Więzień poruszył się niechętnie, niemrawo.

Węgierski strażnik rozkuwał mu dłonie, chował kajdanki. „Niemiec” wyjął kajdanki własne. Zręcznie szczepił swoją lewą dłoń z przegubem prawej ręki Feliksa. I szarpnął więźnia.

„Prędej... prędzej!”

– *Auf Wiedersehen!*³⁷ *Heil Hitler!* – zabełkotał „major Groll”.

³⁴ *Bitte schön...* (niem.) – Proszę bardzo, proszę...

³⁵ *Alles in Ordnung...* (niem.) – Wszystko w porządku! Wszystko przygotowane!

³⁶ *Danke!* (niem.) – Dziękuję!

³⁷ *Auf Wiedersehen!* (niem.) – Do widzenia!

Węgierski żołnierz przyjaźnie klepnął więźnia po plecach i powiedział coś, czego żaden z trzech Polaków nie zrozumiał, ale brzmiało to jak życzliwe pocieszenie.

Teraz Bogdan najchętniej by pobiegł, ale musiał iść spokojnie. Stefan ciągnął za sobą więźnia. Feliks opierał się, zwalniał.

Drzwi samochodu były już otwarte. Szofer zapuścił silnik. Węgierski wartownik salutował służbiście. Z chodnika po drugiej stronie ulicy finał ten obserwował nieruchomy pułkownik w cywilu.

Nagle – pisk hamującego auta. Przy krawężniku, tuż za samochodem Polaków, zatrzymał się drugi mercedes. Dwaj mężczyźni jednocześnie wyskoczyli na chodnik.

Bogdan ujrzał przed sobą majora Grolla. Dwa czarne, identyczne gestapowskie płaszcze naprzeciw siebie. Dwóch majorów Grollów! Bogdan krzyknął po polsku:

– Prędeż!

Stefan wepchnął Feliksa do samochodu. Bogdan wskoczył ostatni i zatrzaskał drzwi.

Niemiec zdążył dostrzec Feliksa. Poznał więźnia, którego trzy dni temu pokazywano mu w celi, po którego przyjechał. Więźnia porywano do innego, obcego samochodu. Dosłyszał krzyk Polaka, wyrwał rewolwer i gdy tamto auto już pędziło, wywalił szybko serię celując w opony.

Zakotłowało się na ulicy. Z żółtego budynku wypadli wojskowi i cywile. Krzyk. Strzelania. Zgrzyt nagle hamujących pojazdów!

Czarny mercedes niknął w perspektywie alei Horthyego.

Mimo zapadającego mroku Bogdan dojrzał w lusterku, jak Niemcy wskoczyli do auta i ruszyli w pościg.

– Gazu! – ryknął. – Gazu!

Nie potrzebował popędzać szofera, który zrećźnie przemykał między samochodami, tramwajami i ludźmi. Wszyscy słyszeli strzały. Panika ogarnęła ulicę.

– Nie na światła, nie na światła! – krzyknął do kierowcy. Byle nie stanąć pod czerwonymi światłami!

Szofer błyskawicznie skręcił w prawo. Miasto znał doskonale.

Stefan, oglądając się do tyłu, wołał:

– Jadą za nami!

Kierowca jeszcze dodał gazu. W lewo! Zapiszczały opony. Rzucani gwałtownymi skrętami, trzymali się, czego kto mógł.

– Jadą!

Znowu szeroka ulica. Znowu zakręt.

Dwa samochody pędziły jeden za drugim. Na prostej drodze nie uciekną – tamten może być szybszy, nie boi się zatargu z policją. O tej porze wąskie uliczki były już puste. Jeszcze jeden zakręt i jeszcze jeden – w lewo, w prawo... Prędeż, prędeż!

Pędzili. Nie zwalniali. Nie zwalniali, choć nikt już za nimi nie jechał.

Minęli pusty skwerek, wpadli w szeroką aleję.

– Oddalamy się od Budy – zauważył Stefan.

Bogdan zdecydował:

– Proszę skręcić w jakąś boczną uliczkę. Zatrzymać! Natychmiast wysiadamy! Pan, panie Feliksie, i ja. Dalej pójdziemy pieszo. Wy podjedziecie jeszcze kawałek, gdzie będzie można, odkryjecie numer, no i chyba spokojnie...

Błogosławił przezorność pułkownika, który przed akcją kazał prawdziwy numer samochodu zakryć innym. Teraz wystarczy tylko szarpnąć i bezpiecznie można wracać do garażu.

Znajdowali się w willowej dzielnicy. Naokoło cisza. Nie zauważyli nawet, w jakiej chwili, na jakim zakręcie zgubili Niemców.

Samochód zatrzymał się. Wyskoczyli obaj. Auto odjechało.

Bogdan ściągnął swój szalik i okrył szyję Feliksa, żeby brak krawata nie rzucał się w

oczy.

– Zna pan drogę do śródmieścia? – spytał. – Tam na nas czekają.

– Ja w Budapeszcie wszędzie trafię – to były pierwsze słowa Feliksa. – Ale jeszcze nawet nie podziękowałem. My się nie znamy.

– Ja pana znam. Z opowiadań. Chodźmy.

Pułkownik nalał wina do szklanek. Stuknęli się. Siedzieli w małej, zacisznej winiarni na starym mieście. Bogdan był wzruszony, już ogarnęła go trema przed podróżą. Następny krok...

Pułkownik mówił cicho – sąsiednie stoliki były puste, ale kelnerka nudziła się przy bufecie.

– Feliks jest już w Warszawie. Wczoraj była wiadomość. Węgrzy są wściekli, za tę strzelaninę oczywiście. Ale to taka, wie pan, markowana wściekłość. Wciąż uprzedzają nas o możliwości nowych aresztowań, ale na razie spokój. I chyba przez jakiś czas tak potrwa. Na wszelki wypadek przymknęli tych dwóch agentów, którzy panu przekazywali Feliksa. Niech pan to wszystko im opowie, tam, w Londynie. Za dwa dni o tej porze już pan powinien być w Zurychu. Ten Laufer spadł jak z nieba... Feliks ma o nim najlepsze mniemanie...

Pułkownik raz jeszcze podziękował za pomoc okazaną w trudnej godzinie. Bogdan milczał. Wszystko już wiedział: Japończycy, Zdanowicz, profesor... Dziś wieczorem będzie w Wiedniu! Pieniądze – marki, franki, dolary – miał w kieszeni. Miał także paszport portugalskiego kupca, z kompletem wiz. Duża, elegancka walizka, wyładowana bielizną i ubraniami, stała obok. Tyle bielizny, tyle ubrań? – aby kontrola celna nie była zdumiona, że portugalski kupiec podróżuje jak byle włóczęga, w jednej kapocie! Wszystko już prane parokrotnie, w najlepszym gatunku, z naszywkami firm paryskich, berlińskich, włoskich – jak wskazywały wizy w paszporcie. Paszport, wypożyczony od autentycznego portugalskiego kupca, kosztował niemalą sumę dolarów. Za dziesięć dni miał być z Zurychu odesłany przez cudzoziemskie kanały dyplomatyczne, o które Bogdan dyskretnie nie rozpytywał.

– Panie pułkowniku – tego jednego chciał się dowiedzieć – jeszcze raz wracam do tej pani, do Krystyny.

– Spotkał ją pan znowu?

– Nie, ale...

– Niech pan mi wierzy, mam w tym względzie wielkie doświadczenie, pan był zdenerwowany pierwszym kontaktem z Laufrem i stąd to przywidzenie, rodzaj halucynacji... To niemożliwe. Nieprawdopodobne...

– A jednak...

– Będę pamiętał, będę uważał, niech pan będzie spokojny. Kazałem zwrócić uwagę na słowackie trasy, dałem znać do Warszawy. Jeżeli taka, znowu się pojawi, już my się nią zajmujemy...

– Ja się jej po prostu boję.

– Nie wydała pana Węgrom tam, nad granicą. Więc może...

– Tak, to dziwne. Mogła na mnie poczekać i oni mogli wziąć nas razem. Ale może ona dla Węgrów... a Węgrzy nie we wszystkim są chętni do współpracy z Niemcami... Różne myśli przychodzą mi do głowy.

– Teraz niech pan przestanie o tym myśleć. Portugalski kupiec nie powinien zwracać sobie głowy takimi sprawami.

Jeszcze jedna szklaneczka wina. Bardzo dobre wino. Pułkownik dodawał ostatnie, ojcowskie rady i pouczenia:

– Z Zurychu, przez Londyn, natychmiast proszę o wiadomość, pojutrze już będziemy czekać. Niech sygnalizują również do Warszawy. Warszawa tak pili!... Właściwie zazdroszczę panu, poruczniku. Za kilkanaście dni może pan być w wojsku. Ja wiem, że jestem tutaj potrzebny, ale... wolałbym być w Szkocji czy gdzieś na Bliskim Wschodzie. W mundurze czło-

wiek czuje się najlepiej. Zawsze najlepiej... – Spojrzał na zegarek. – Czas! Laufer niedługo już podjedzie.

Położył banknot na stole. Wstali.

Pułkownik miał wyjść pierwszy. Laufer nie powinien go spotkać.

– Poruczniku Krzysztofie, chciałem panu powiedzieć jeszcze jedno: posłałem wniosek o Krzyż Walecznych. Za Hadik.

– Panie pułkowniku...

Chciał dziękować, lecz tamten machnął ręką i szybko wyszedł z winiarni.

Kelnerka odliczała resztę. Bogdan przesunął drobne w jej stronę. Podniósł walizkę.

Przeszedł kilka kroków. Laufer nie powinien zastać go przed winiarnią. Wydało mu się to niestosowne. Przystanął. Czekał. I pomyślał, teraz dopiero pomyślał, że Budapeszt jest miastem pięknym i pełnym uroku. Po wojnie przyjedzie tutaj, przyjedzie na pewno. Przyjadą razem – z Alicją.

Limuzyna zahamowała cicho, niemal bezszelestnie. Laufer wychylił głowę.

– Pan, jak zawsze, punktualny.

Bogdan rzucił walizkę na tylne siedzenie. Usiadł obok Laufra. Ruszyli.

– Przynajmniej mamy piękną pogodę – powiedział tamten. Dzień był słoneczny, lekko mroźny, suchy. Idealny do takiej podróży. – W Tyrolu będziemy mieli nieco śniegu...

Wiedeński lunapark

– *Na, fertig!*³⁸

Wesoły, uśmiechnięty usiadł za kierownicą, wrzucił paszport do leżącej obok, płaskiej walizeczki, zatrzasnął drzwiczki, dłonią pomachał salutującym Węgrom. Kolorowy szlaban uniósł się w górę: droga wolna. Ruszyli.

Bogdan poczuł dreszcz emocji; droga wolna – z powrotem do Trzeciej Rzeszy. Następny kolorowy szlaban już było widać w odległości dwustu, może trzystu metrów. Tego nie przepuszczał, wymykając się w nocną zadymkę z Generalnego Gubernatorstwa, a potem ze Słowacji. Dobrowolny powrót! Przed chwilą węgierscy strażnicy przekartkowali paszport portugalskiego obywatela, João Eduardo Godinho, urodzonego w styczniu 1913 roku w Lizbonie, a więc trzydziestoletniego już kupca portugalskiego, który po pełnej zapewne wrażeń i zysków podróży handlowej wraca do swojej ojczyzny. Paszport Portugalczyka nie wzbudził najmniejszego zainteresowania; wizy były w porządku, na fotografię nawet nie spojrzeli. Przedstawiła zresztą rzeczywiście twarz podróżnego. Nie raczyli skontrolować waliz, obojętni na to, co w czwartym roku wojny światowej Portugalczyk może wywieźć z Budapesztu do Wiednia. Starannie odczytali papiery wozu: obywatel Protektoratu Czech i Moraw podróżował z paszportem Trzeciej Rzeszy, którego nie ośmieliliby się kwestionować, ale musieli przejrzeć międzynarodowe polisy ubezpieczeniowe – auto to auto! Laufer podawał im dokumenty, a Bogdan rozmyślał: właśnie tędy miał być wieziony Feliks. Jest już w Warszawie! W węgierskim kontrwywiadzie leży oddzielna teczka: śledztwo w sprawie uprowadzenia polskiego więźnia. W teczce – zeznanie aresztowanego agenta, dokładnie opisujące wygląd mężczyzny, którzy doręczyli mu sfałszowane pismo hitlerowskiej ambasady. Czy w mdłym świetle kiepskiej żarówki dobrze zapamiętał twarz człowieka udającego majora Grolla? Czy węgierskie posterunki graniczne otrzymały ten rysopis? Czy też Węgrzy szukają może sprawców porwania z takim zapalem, by żadnego z nich nie znaleźć?

Szlaban graniczny Trzeciej Rzeszy, opatrzone orłem dzierżącym swastykę, zatarasował drogę.

O jedenastej wyjechali z Budapesztu, teraz jest druga, i lekka zimowa mgła zasnuła już pola. W trzy godziny przejechali malowniczą trasę. W Esztergomie Laufer oznajmił Bogdanowi, iż w ołtarzu bazyliki znajduje się wyjątkowo wysoki obraz, chyba najwyższy, jaki można w ogóle zobaczyć. Bogdan zrewanżował się opowieścią o bitwie pod Ostrzyhomiem, właśnie Esztergomem, o powtórny zwycięstwie Sobieskiego gnającego Turków spod Wiednia, tutaj ich dopadł – tę historię przypomnieli mu Polacy w Budapeszcie. Żartowali więc, że jadą trasą wielkiego króla, w odwrotnym jednak kierunku, nieco szybciej, i że ich bitwa pod Wiedniem nie z Turkami będzie stoczona. Szosa prowadziła nad Dunajem, ale wielka rzeka nie zmieniała jakoś koloru na bardziej modry, jak chce wiedeńska piosenka z czasów Franciszka Józefa. Minęli fabryczny Győr. Bogdan musiał uważać, by nie zdradzić się z nieznaną węgierskiej ziemi. Wersja podana Laufrowi nie wspominała o niedawnym przybyciu z Polski, na Węgrzech miał się znajdować od jesieni 1939 roku. Po węgiersku prawie się nie nauczył; żartowali obaj: wszędzie tutaj wystarczy język niemiecki. Próbowali dogadać się

³⁸ *Na, fertig!* (niem.) – No, gotowe!

po czesku, ale jakoś nie wychodziło. Niemiecki był wygodniejszy. Więc po niemiecku Laufer komentował ostatnie wiadomości o bitwie stalingradzkiej. „Dziś wieczorem, w Wiedniu, austriackim winem opijemy klęskę w Stalingradzie” – zapowiadał. Chyba – domyślali się – ten blok domów, w którym jeszcze broni się generał Paulus, ten ostatni niemiecki bunkier w Stalingradzie padnie lada dzień... „Lada godzina nawet!” – dodawał Laufer, nagle ścisząc głos, choć w aucie na pewno byli sami. Opowiadał, że Niemcy w Pradze są bardzo zdenerwowani, ta pierwsza wielka klęska wyprowadziła ich z równowagi, brak im treningu przegranej, nadrabiają miną, ale jest to tylko maska rozpacz.

Niemiecki szlaban podskoczył w górę. Samochód przejechał. Laufer podniósł dłoń i okrzykiem *Heil Hitler!* przywitał umundurowanego strażnika Trzeciej Rzeszy.

Wezwano ich na posterunek. Podali swoje paszporty. Bogdanowi wydawało się, że odczytując nazwisko portugalskiego kupca, Niemiec podniósł wzrok i przez chwilę wpatrywał się w niego badawczo. Siłą woli panował nad ogarniającym go zdenerwowaniem. Wiedział: paszport autentyczny, wizy prawdziwe – w ich uzyskaniu pomogli Węgrzy – tylko fotografia została zmieniona, ale robił to znakomity fachowiec. Nie mogli mieć nawet cienia podejrzeń. A jednak przepływały przez niego fale zimna i gorąca. Byle tylko nie zaczerwienić się, nie skrzywić, byle nie zadrżała mu ręka. Bał się nie ich, lecz siebie.

Strażnik z paszportami w rękę wyszedł do sąsiedniego pokoju; zostali za barierką. Nie widzącymi oczyma błędził po portrecie Führera, po instrukcjach wywieszonych na ścianie. Co robi – myślał – gdy nagle wyskoczy uzbrojony esesman i krzyknie: *Hände hoch!* Namacał palcami rewolwer poprzez kieszeń w płaszczu, tak zgrabnie wszytą, że pozwalała, dzięki specjalnej szparze, od razu wyrwać broń spod marynarki. Będzie strzelał, stąd nie ma ucieczki! Przez okno, w pole – doskonały, odkryty cel dla pistoletu maszynowego. Żywy nie da się wzięć! Paru zabije! Laufer mówił coś do niego, ale nie słyszał.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł strażnik. Z zawodowym uśmiechem, uprzejmie zwrócił im oba paszporty. Krzyknął *Heil Hitler!* i życzył dobrej drogi.

Wszystko w porządku. Bogdan ziewnął, nie mógł się pohamować. Powstrzymał się, by nie zajrzeć – zaraz, natychmiast – do paszportu, czy aby na pewno prawo wjazdu zostało potwierdzone pieczęcią?

– *Heil Hitler!* – zaśpiewał Laufer. Wrzucił paszport do walizeczki. – W hotelu znów kontrola – poskarżył się. – Po drodze jeszcze tylko weźmiemy benzyny – zapowiedział. – Za godzinę powinniśmy być na miejscu.

Przejechawszy kilkaset metrów, zatrzymał samochód. Wyjął z kieszeni mały znaczek i starannie umocował w kłapie marynarki. Swastyka!

– Pan jest w NSDAP³⁹? – zdumiał się Bogdan.

– Tak! – warknął Laufer. W krótkim przytaknięciu zabrzmiały zupełnie nowe u niego tony. – Pana to dziwi?

– Czesi mogą być w NSDAP?

– Nie jestem Czechem. Jestem Niemcem. Mieszkam tylko w Pradze, która zawsze, jak pan chyba wie, była niemieckim miastem.

– Nie wiedziałem, przepraszam – wycofał się Bogdan. I nagle ogarnęła go bezmierna odraza do tego człowieka. Więc ani Feliksowi, ani jemu Laufer nie powiedział najważniejszego. Nie twierdził, że jest Czechem, ale takie sugestie stwarzał choćby swoim zachowaniem.

Po dłuższej chwili milczenia Laufer zagadał pierwszy:

– A jak pan sobie wyobrażał? Czy nie będąc w NSDAP, mógłbym podejmować takie podróże do Budapesztu, do Stambułu, teraz do Zurychu? Co?

– Jakoś o tym nie pomyślałem. Ma pan rację. To jest konieczne – przytakiwał Bogdan.

³⁹ NSDAP (*Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei*) – niemiecka partia faszystowska, której przywódcą (*führerem*) od r. 1921 był Adolf Hitler. Po upadku III Rzeszy uznana przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze (1946) za organizację przestępczą.

Odeszła mu ochota do dyskusji i do żartów.

Laufer obruszył się: nie każdy zaraz ma obowiązek opowiadać się wszystkim, nie należy wszystkiego o sobie wyjawiać. Prawda? I dorzucił: ostatecznie każdy z nas gra jakąś rolę i nie zawsze odkrywa wszystkie tajemnice.

Bogdan powtórnie przytaknął. Rozmowa już się nie kleiła. Czuli wzajemne skrępowanie. Bogdan gwałtownie szukał tematu. Jak daleko – pytał – mają z Wiednia do granicy szwajcarskiej? O której jutro wyjadą?

Informacja Laufra była dokładna – ilość kilometrów, ranna godzina – ale zabrzmiała sucho, formalnie, jakby ten wesoły dotąd i sympatyczny kompan wraz z hitlerowskim znacznikiem sam zapiął sobie obrozę. Bogdan odczuł lęk przed złowieszczą siłą totalizmu, która tak bardzo godzi w człowieka. Ugodzić może i w niego. Pieczętki przyłożone na granicy nic jeszcze nie przesądzą. Jeżeli Laufer wyraźnie się boi, to cóż dopiero on, trzykrotny zbieg?

Przed stacją benzynową czekały trzy samochody. Laufer stanął za nimi.

W sekundę później auto zakołysało się od silnego uderzenia. Od tyłu. Trzask!

Praski kupiec zaklął i natychmiast wyskoczył. Wojskowa ciężarówka zahamowała niezbyt zręcznie. Wybuchła kłótnia. Bogdan widział ich przez tylną szybę auta: młodziutki szofer w żołnierskim mundurze i Laufer przerzucali się obelgami. Laufer atakował z furją, niemal z pięściami doskakiwał do chłopaka, groził mu, wymyślał. Obaj pochylali się nad wgniecionym błotnikiem mercedesa. Przez otwarte okienko słychać było, jak kupiec domaga się spisania protokołu, ustalenia wysokości strat. Będą ich tu legitymować, spisywać protokoły – co ten wariat robi? Laufer coraz bardziej go złościł, wydawał mu się nieostrożny. Po co ta kłótnia? Jechać dalej, jechać! Dobrze, że tylko na tym się skończyło. Chciał wysiąść, odciągnąć kupca na bok, zaproponować, że w Szwajcarii z własnej kieszeni pokryje koszt naprawy samochodu. Lecz właśnie Laufer z wojskowym odeszli do kantorka. Jeszcze gotowi sprowadzić policję! Uparty dureń! Jak mu zależy na tych paru groszach!

Bogdan został sam. Machinalnie, nie zastanawiając się, co robi, uchylił wieko otwartej walizeczki Laufra. Na wierzchu leżał paszport. Pod nim – nagle, ogarnięty podejrzliwą ciekawością, spojrzał uważniej – jakieś niemieckie maszynopisy, przykryte czystą kartką papieru. Popatrzył w stronę kantorka: Laufer jeszcze się tam awanturował. Więc odgiął tę pierwszą kartkę – następne były gęsto zapisane. Rzucił mu się w oczy tytuł podkreślony grubą czerwoną krechą: *Dokumente des polnischen Verrats*, a poniżej wymienione nazwy stolic: Istambuł, Sofia, Bukareszt, Belgrad, Budapeszt. „Dokumenty polskiej zdrady”? W walizce u Laufra? Co to znaczy? Czytał, wciąż zerkając w stronę stacji benzynowej. *Meldung* – jakieś cyfry, litery, wśród nich wyraźne, duże „L”. – *Ich teile mit, dass ich am 20. XII. 1942. von dem polnischen Vizekonsul Georg Wolski ein neues Paket bekommen habe, um es einem gewissen Feliks in Budapest zu übergeben. Das Paket enthielt, wie immer, Anweisungen des polnischen Spionagedienstes, die polnische Presse aus London, die...*

Donośny głos rozwścieżonego Laufra. Wraca! Bogdan gwałtownie opuścił wieko walizki. Te kilka pierwszych słów zrozumiał aż nadto dokładnie: „Donoszę, że 20 grudnia 1942 otrzymałem od polskiego wicekonsula Jerzego Wolskiego nową paczkę, aby przekazać ją w Budapeszcie niejakiemu Feliksowi. Paczka, jak zawsze, zawierała instrukcje polskiej służby szpiegowskiej, polską prasę z Londynu...” Bogdan wiedział już, kto to był Jerzy, od którego Laufer przekazywał mu kiedyś pozdrowienia: wicekonsul ze Stambułu, Jerzy Wolski. Kim był Feliks, wiedział również. Wiedział, że Laufer odbierał paczki od Wolskiego, by przekazać je Feliksowi. Jedną z nich przyjął od niego osobiście – właśnie tę, z 20 grudnia 1942 roku. I oto Laufer donosi komuś o tym wszystkim, komuś, dla kogo meldunek ten opatrzył napisem: „Dokumenty polskiej zdrady”.

A pułkownik głowił się, w jaki sposób wpadli Feliks i Maria, którzy mieli do czynienia z pocztą wysyланą na południe i stamtąd odbieraną!

Pomyślał: „A kto mnie odbije? Kto mnie odbije z gestapo?”

– *Laufer! Wir sind da!* – ktoś nawoływał z rogu sali. – *Du, alter Kerl*⁴⁰ – ryczeli ku nim dobrze podpici kompani. Jeszcze nie zdążyli wybrać stolika, a już mieli towarzystwo i miejsce. Dwaj mężczyźni ze swastykami w klapach obejmowali Niemca z Pragi i swą wylewną serdeczność przenosili na Bogdana. Podsuwali krzesła, wołali kelnera, zamawiali piwo i wódkę.

Laufer przedstawił swego towarzysza:

– João Eduardo Godinho, handlowiec z Lizbony...

– Lizbona! – zaniósł się dyszkantem jeden z Niemców. – Piękne miasto, a jakie senioriny, palce lizać... Byłem tam w czterdziestym, jesienią, wylapywaliśmy Francuzów, Żydów, całą tę hołotę, co zwiewała za Atlantyk. Bardzo lubię pańskich rodaków – zwrócił się do Bogdana.

– Wolę was od Hiszpanów. Mieli, dranie, uderzyć na Gibraltar i wykręcają się...

– Przyjechaliśmy przed chwilą z Budapesztu – Laufer wpadł mu w słowa.

– Z Budapesztu! – nowy wybuch radości. – Z Budapesztu? Latający Holender! *Mein Gott!*⁴¹ Ledwie trzy dni temu piłeś ze mną tutaj, a już zdążyłeś do Budapesztu i z powrotem! Tak cię pogoniło, stary capie!

Z nadmierną żywością demonstrował swój humor. Kompan zmitygował go ostro.

„Czyżby dlatego – pomyślał Bogdan – że sypnął Laufra przy Portugalczyku? Laufer w Budapeszcie opowiadał, że przyjechał prosto z Pragi, tymczasem okazuje się, że przyjechał z Wiednia...”

Właściwie było mu to obojętne – na niego wyrok już zapadł. Nie wypuszczą go z Austrii...

Gdy stał przed niemieckim strażnikiem na granicy, te kilka minut w roli portugalskiego kupca wydawało mu się niezmiernym ciężarem. Ale teraz już wiedział: tamto nie było najgorsze. Wtedy w gruncie rzeczy nie musiał grać, nie musiał niczego udawać, strażnik i tak na pewno miał polecenie, by wpuścić do Reichu⁴² Portugalczyka podróżującego z praskim kupcem, z *Herr Laufrem*, z *Parteigenosse*⁴³ Laufrem, z gestapowcem Laufrem – to nie ulegało już wątpliwości. Domniemanego Portugalczyka z domniemanym kupcem. Tam mógł niczego nie grać; grać musiał dopiero potem. Wyklóciwszy się z szoferem – Bogdan zrozumiał już sens tego sporu, który agent policji oczywiście wygra ze zwyczajnym *gefreetem*⁴⁴ – Laufer rozgorączkowany, zasapany usiadł za kierownicą. Bogdan musiał zataić swoje odkrycie. Jeżeli chciał uciec, musiał się zamaskować. Odwróciły się role. Polak zagadał z ciekawością:

– Udało się panu?

– Nie bardzo – mruknął tamten. – Na najbliższym posterunku nie było akurat wolnego policjanta, nikt nie mógł przyjechać, by spisać protokół, ale ułożyliśmy go wspólnie z tym żołnierzem, świadkiem był ten ze stacji, będę dochodził...

– Po co to panu? – Bogdan udał zdziwienie. – I tak w Zurychu pokryję koszta tej drobnej reperacji.

– W Zurychu! – Laufer roześmiał się kwaśno. I dodał: – Byłoby nienaturalne i podejrzane, gdyby obywatel nie dochodził swoich słusznych praw. Zaraz w Wiedniu złożę w odpowiednim biurze to oświadczenie; formalności u nich długo trwają, akurat zdążę wrócić na następną fazę...

Bogdan podtrzymywał rozmowę, pytał o drogę do Wiednia i dalej z Wiednia, o mijane miasteczka i wsie, których nie miał już obowiązku znać – jak na Węgrzech – z tytułu swej roli. Laufer odpowiadał półsłówkami, półdaniami, Bogdan wciąż zagadywał. Laufer stężał, odsunął się – nic mu już na Polaku nie zależało.

Czy odwiezie go prosto do gestapo? Czy plany są nieco inne? Jakie? W którym momencie

⁴⁰ *Laufer! Wir sind da...* (niem.) – Laufer! Jesteśmy tu! Ty stary chłopie!

⁴¹ *Mein Gott!* (niem.) – Mój Boże!

⁴² *Reich* – tu: Rzesza Niemiecka.

⁴³ *Parteigenosse* (niem.) – członek partii (NSDAP).

⁴⁴ *Gefreiter* (niem.) – szeregowiec.

uciekać? Włożył dłoń do prawej kieszeni płaszcza, odszukał szparę w materiale, poczuł pod palcami kolbę rewolweru. Strzelać od razu w łeb, chwycić kierownicę i ominąwszy Wiedeń, pruć przez Austrię do tyrolskiej granicy? Trupa ukryje gdzieś po drodze. Ale cały czas jadą w kawalkadzie innych aut. Laufer urzęduje z nimi wyścigi, wyprzedza je, znowu zostaje w tyle, jakby ani sekundy nie chciał być sam na tej szosie. Więc strzał jest niemożliwy, porwanie wozu niemożliwe – byłoby to samobójstwem, a na samobójstwo jeszcze za wcześnie. Jeszcze ma prawo do nadziei. I tak, w tej powodzi aut, wpadli między pierwsze domy Wiednia. Przejechali mosty na odnogach Dunaju, dostali się w ciasne uliczki starego miasta. Myślał: skok z auta – ulice ciemniały już zimowym mrokiem – w jakąkolwiek bramę, w jakiegokolwiek podwórze! Nim tamten oprzytomnieje, zdoła uciec... Ostatnia chwila!

Zanim się zdecydował, Laufer zatrzymał wóz przed wysokim domem, ozdobionym kariatydami, kolumnkami, secesyjnymi fantazjami architektów. Napis był wyraźny: hotel, restauracja. Bardzo elegancki hotel. Po cóż by gestapo tak się maskowało we własnym kraju?

Laufer mruknął niby usprawiedliwienie: musi zatrzymywać się w najlepszych hotelach, to chroni od podejrzeń...

Bogdan pierwszy zwrócił się do portiera: dwa pokoje!

Laufer natychmiast zainteresował: wystarczy jeden, z dwoma łózkami!

Chce go stale mieć na oku. Ale po co te kłopoty, skoro mógłby go aresztować zaraz?

Pokój był przestronny, z dwoma oknami, staroświecki. Okna zasłonięte papierowymi roletami. Trzecie piętro.

„Gdzie tu może być toaleta?” – Bogdan chciał spenetrować rozkład budynku, na wszelki wypadek.

W hallu na dole siedzą już pewnie agenci gestapo; obejrzeliby go podczas meldowania i czekają na moment... tak! – raptem zrozumiał – czekają na taką chwilę, gdy sam, bez Laufra, będzie wychodził na ulicę. Wtedy go aresztują i Laufer zmartwiony wróci do Budapesztu z hiobową wieścią: on wpadł, mnie się udało uciec, miałem szczęście! Po to ten hotel, wszystkie te ceregiele, aby zgrabnie doprowadzić go do aresztowania, a samemu umyć ręce.

Laufer wyszedł razem z nim do toalety. Przez godzinę, gdy myli się i przebierali do kolarstwa, nie spuścił z niego oka ani na sekundę, omotywał tą czujnością każdy jego ruch.

Jest w klatce. W klatce zamkniętej i pilnowanej.

Laufer zaproponował kolację. Niech będzie jeszcze i to. Zjechali na dół windą, przeszli przez hali, niezmiennie wypełniony ludźmi. Patrzył po twarzach: który z tych mężczyzn czeka na niego? Znaleźli się wśród ciężkich marmurów, luster, kryształów, białych obrusów i stożkowato ustawionych serwetek.

– *Laufer! Wir sind da!* – wołali dwaj mężczyźni ze swastykami w klapach.

Czy w ten sposób Laufer chce go zaprezentować przyszłym katom? Wilhelm, Otto – wyraźnie wymawiali imiona, bełkotali nazwiska. Byli tak podpićci, że musieli wzajemnie się mitygować. Informowali Laufra i Portugalczyka: *Paulus Ende*⁴⁵, finis, szlus! Mianowany w ostatniej minucie marszałkiem Rzeszy – gest wielkoduszności Hitlera, zachwycali się wspaniałomyślnością wodza – poddał się z garstką swoich żołnierzy. Przed chwilą przyszły z Berlina tajne depeche: padł ostatni niemiecki bunkier w Stalingradzie. W mieście nikt jeszcze o tym nie wie, dopiero w nocy poda tę wiadomość radio, a jutro rozkolportują gazety. Od jutra ogłoszona zostanie żałoba narodowa, kina, teatry, kawiarnie, dansingi będą na pewien czas zamknięte – cień pierwszej wojennej klęski padnie na Wiedeń. Ale dwaj faceci ze swastykami w klapach chcą dzisiaj wypić to, czego jutro wypić nie będą mogli. Więc piją szybko, zachłannie, pilnując się nawzajem, uciszając, aby nie zwracać uwagi siedzących przy innych stolikach mężczyzn, kobiet, oficerów. W restauracji pełno. Muzyka gra do tańca, kilka par leniwie snuje się po parkiecie. Ludzie są jacyś smutni, cisi, zgnębieni, może znają już ostatnią

⁴⁵ Ende (niem.) – koniec.

wiadomość ze wschodniego frontu, może zaczynają sobie uświadamiać, że prócz pewności zwycięstwa istnieje również alternatywa klęski? „A może – myśli Bogdan – niektórzy z nich kryją radość?” Ogląda w tej chwili innych Niemców, takich dotychczas nie widywał. Tamci – na froncie, w obozie jenieckim, na ulicach okupowanej Warszawy – wszyscy byli krzykliwi, arogancy, brutalni, podobni do tych kompanów Laufra, z którymi siedzi przy stole. Ci przy dalszych stolikach są spokojni, układni, grzeczni. Stoliki luźno rozstawione, by goście eleganckiej restauracji nie czuli się wzajemnie skrępowani. Otto i Wilhelm pasują bardziej do przedmiejskiej piwiarni, gdzie wszyscy rechoczą razem ze wszystkimi. Bogdan nie znał Niemców takich, jak para przy pobliskim stoliku: wysoki, szczupły, siwy pan w smokingu, ona – równie chuda, wybujała, brzydka, suto obwieszona precjozami, oboje zasuszeni, hieratyczni, zimni. Nie znał dotąd obrazu Niemca-kaleki; nie mógł przecież funkcjonować kaleki okupant, musiał być silny i sprawny, budzić respekt swym wyglądem. Przez salę restauracyjną niezgrabnie, ociężale sunął mężczyzna w doskonale skrojonym garniturze, wsparty na kulach, powłóczący protezami – zbyt świeży w swym kalectwie. Z trudem ulokował się przy stoliku. Bogdan pomyślał: „Jak długo Szwaby będą leczyć swoje stalingradzkie rany?”

– *Za Führera!* – Otto, zwalisty, szeroki w biodrach, napelniał kieliszki. Wypili. Wilhelm z emfazą opowiadał o dawniejszych frontowych sukcesach niemieckiej armii – z patosem recytował zadaną rolę. Tak przecież – wydawało się Bogdanowi – nikt nie rozmawia w towarzystwie przyjaciół, kompanów od kieliszka. Wilhelm brał udział w bitwie o Francję, zdobywał Linie Maginota, Sedan, wkraczał do Paryża. Jego opowieść była sztuczna jak artykuły w gazetach oddalonych od frontu o tysiąc kilometrów. Pijackie gesty jakoś żałośnie harmonizowały z wulgarnością frazesów o wyczynach nadzołnierzy, bez lęku i zmęczenia unicestwiających tych podłych, parszywych, plugawych Francuzów. Laufer był człowiekiem inteligentnym, obdarzonym poczuciem humoru – takim Bogdan zapamiętał go z Budapesztu – teraz basował każdemu słowu pijanego Wilhelma, zachłystywał się tętym podziwem dla jego prymitywnych porównań. Kim Laufer jest naprawdę? – pytał siebie Bogdan i sam sobie odpowiadał: gestapowcem; wszystkie inne jego cechy – inteligencja czy tępota – natychmiast przestawały mieć znaczenie.

Rażniej było pić pod zwycięstwo niż pod klęskę. Wzruszenia z Francji miały rekompensować wieści ze Stalingradu. Ale świadomość klęski drażyła boleśniej. Otto nachylił się nad portugalskim kupcem i spytał z zadziwiająco szczerym akcentem:

– Na wojnie bywa i tak, że przegrywa się bitwy, prawda? Przegrywa się nawet wielkie bitwy. Prawda? – szukał potwierdzenia u cudzoziemca, rozmawiającego z nim po niemiecku. – Francuzi podczas tamtej wojny przegrali tyle bitew, a przecież w końcu wygrali... My też wygramy! Teraz my wygramy! Przegrywa się bitwy, wygrywa się wojny... – powtarzał cytaty z zapamiętanych artykułów.

João Eduardo Godinho potakiwał skwapliwie: przegrywa się bitwy, ale po wygranej wojnie nikt tego nie pamięta. Więc za wygraną wojnę! – wszyscy czterej tręcali się kieliszkami. Perwersja – przecież wiedzieli, kim on jest naprawdę, więc zmuszali go, by pił za Hitlera, by pił za ich sukces, by pił za swych jutrzejszych katów, wbrew sobie. Okrutne przedstawienie! Czuł wstęt – do nich, do siebie samego, że nie zdobędzie się na akt desperacji, by nagle wyrwać nabity rewolwer i wszystkim trzem palnąć w łeb, nim się ktokolwiek na sali zorientuje. Wiedział, że tego nie robi, gdyż wierzy jeszcze w jakąś ostatnią szansę. A może w długą linię życia, pięknie ciągnącą się przez całą lewą dłoń; jeszcze w szkolnych latach dziewczyny zaaferowane pochylały się nad tą jego dłonią, chichocząc na widok krótkiej linii miłości, zardoszcząc długiej linii życia. Wierzył więc w swoje szczęście.

Przy którymś kieliszku Otto opowiedział, jak to właśnie w tym hotelu, zaledwie kilka tygodni temu, zdemaskowano angielskiego szpiega. Turek! Turecki dyplomata, wielki przemysłowiec – ironizował z pogardą zwycięzcy znęcającego się nad pokonanym – fabryki w Szwajcarii! Gdy gestapo dopadło go w pokoju hotelowym, znaleziono przy nim walizeczkę

tak przemyślnie skonstruowaną, że można w niej było przewozić miniaturową radiostację nadawczą. Otto nie zdradził, czy radiostację też znaleźli, czy walizeczka była już pusta? „Więc ktoś w Wiedniu potrzebował takiej radiostacji” – ucieszył się Bogdan słuchając Ottona. Ten Turek próbował przekupić funkcjonariusza gestapo – funkcjonariusza gestapo! – tysiącem dolarów. Śmieszne, przekupić Niemca! Turecki dyplomata w szpiegowskiej służbie u Anglików! Śledzono go już kilka lat. Podróżował, drań, po Europie. Był w Warszawie, gdy uderzyli na Polskę. Był w Paryżu, gdy defilowali na Champs Elysées. Był w Berlinie, przyjechał do Wiednia. I tu go dopadli! Chciał posłużyć się przekupstwem. Dostał w mordę, w tę plugawą żydowską mordę!... Turcy są jak Żydzi. Też kombinują. Dobrze z Anglikami, dobrze z Niemcami, dobrze z Rosjanami... Zęby mu wyleciały, jak dostał w pysk, sztuczne, złote, wypadły na dywan. Trzeba umieć tak dać w mordę, by protezy od razu wylatywały na podłogę... To też sztuka! – Otto zachłysnął się uznaniem dla gestapowskich artystów.

Bogdan myślał: „Po co on to wszystko mówi? Warszawa, zęby, Szwajcaria, agent zdemaskowany w tym hotelu... Same aluzje. Delektując się opisuje dokładnie, jak Turka ze skrważoną twarzą sprowadzano po schodach, przez hali, do auta... Po co on to wszystko opowiada?”

Laufer potakuje, zachwyca się sprawnością hitlerowskiego wywiadu. Złapią, każdego złapią... – podnieca się. – Każdego złapią! – chwytą Bogdana za ramię i z sadystyczną radością wykrzykuje to, niby hasło jakiegoś wielkiego porozumienia.

Bogdan przypomina sobie: hitlerowscy ambasadorzy w stolicach państw jeszcze neutralnych zapraszali miejscowych notabli i polityków na pokazy filmów o bombardowaniu Warszawy, o klęsce Polaków, o spalonych miastach i miasteczkach, zrujnowanych fabrykach, szosach pokrytych trupami uciekinierów. Nazajutrz po takiej projekcji na kraj ten – tak było w Danii, tak było w Norwegii – uderzały armie hitlerowskie. Opór zawczasu paraliżować chciano strachem: i wam spłonie stolica! spalą się wasze fabryki! będziecie leżeć na drogach pod gradem kul! Czy dlatego opowiadają mu teraz o angielskim szpiegu, tak niedawno zdemaskowanym w tym samym hotelu?

Miał dość tego gadania, z trudem się opanowywał. Wstał z krzesła.

– Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę...

Wilhelm ryknął:

– Ja też! Pójdziemy razem, razem!

W milczeniu przyjął towarzyską propozycję Niemca. Pożegnowali obaj przez hall. Wilhelm pokazywał: tędy, tędy prowadzili tamtego bandytę, Turka!

Wracając Bogdan nagle stanął jak wryty. Poczł duszność, zabrakło mu powietrza.

– Niezła, co? – grubiańsko zarechotał Wilhelm. – Ta-aka!...

Parę kroków przed nimi oficer, kapitan, o delikatnej, kobiecej urodzie zdejmował z ramion swej towarzyszki futro – inne, eleganckie futro, ale z jej ramion! Boże!

W wysokim lustrze poprawiała włosy. Musiała go chyba dostrzec – on widział jej odbicie, jej twarz. Ich spojrzenia spotkały się w zwierciadle... Nie drgnęła, nie zareagowała najlżejszym ruchem powiek. Wilhelm taksował smukłość jej sylwetki i kształt łydek.

Znowu! Jak w Budapeszcie. I znowu w związku z Laufrem: wtedy pojawiła się, gdy miał go poznać, teraz – gdy pewnie się z nim już rozstaje. Jak omen! Wtedy rozmawiała z Węgrem, teraz po niemiecku prosiła kapitana, by z kieszeni futra wyjął jej szal, gdyż jest chłodno. Oni go aresztują, a ona zdemaskuje go – do końca, ostatecznie. Laufer i ona! Milczał nie słuchając komentarzy Wilhelma. Wydarzenia wiązał w logiczny ciąg: zwerbowała sobie kogoś w Warszawie, dostała się na szlak przerzutowy, nadała sprawę Słowakom, wprowadziła w zasadzkę. Może dlatego udało mu się tak łatwo uciec ze słowackiego aresztu, że chciała zyskać dla siebie alibi? Śledziła go w Budapeszcie... Tylko dlaczego nie chciała razem z nim jechać do Budapesztu? Wybrała towarzystwo węgierskich żołnierzy? Ona i Laufer trzymają z dwóch stron końce sznura, który gestapo chce mu zarzucić na szyję. Laufer sprowadził go tu

do hotelu, aby ona mogła go zidentyfikować.

Oficer podał jej szal. Weszli na salę. Wilhelm nie przestawał się zachwycać; pchnął nieruchomo stojącego Bogdana. Wrócili na swoje miejsca.

– Długo żęście... – przygadał Laufer.

– Patrz, jaka dziewczyna... – Wilhelm przechylił się nad kieliszkami i kuflami w stronę stolika, przy którym usiedli tamci.

Otto zaryczał basem:

– Ta-aka!

Laufer zachichotał.

Walc.

– Ach, jak ja lubię walce! – Laufrowi zebrało się na sentyment. – Cała moja młodość... Piękny, szlachetny taniec.

– Dla paralityków! – zaprotestował Wilhelm. – Takie nie wiadomo co, jakbyś się ruszał w wacie z królową z mydlanej bajki. Wolę fokstrota, nie ma kłopotu z nogami, wywijasz, jak chcesz, a dziewczynę czujesz przy sobie.

– Foksa może odwalić każdy, a walc to taniec dla ludzi z wyczuciem – Laufer nagle zdemonstrował niezależność swych upodobań.

Spierali się. Bogdan, jak zahipnotyzowany, patrzył na tamtą parę. Ona – piękna kobieta, o interesującej twarzy. On – gładki efeb, o jakim marzą pensjonarki. Wirowali spokojnie, elegancko, zgrabnie, tak zgrabnie, jakby od lat tańczyli tylko ze sobą...

Potęga gestapo jest jednak przerażająca. W którym momencie ta dziewczyna zaczęła iść jego śladem? Już w Warszawie? Ale w takim razie, gdzie rozszyfrowali go po raz pierwszy? W melinie pod Koluszkami?... Obłędne myśli. Wszystko to nie ma sensu. Był przerażony. Co teraz robić?

Desperacki odruch – odsunąć na bok te kieliszki, te kufle, głośno i wyraźnie powiedzieć trzem kompanom: dość tej zabawy! Jestem Polakiem! Przyjechałem z Warszawy! Samemu wyciągnąć dłonie do kajdanek. To ja uwolniłem w Budapeszcie Feliksa! I spokój, czarny spokój. Potem ciasna cela i potworne bicie. Każdy budapeszteński adres wybija z człowieka. Każdy adres na drodze z oflagu do Warszawy. Każdy adres w Warszawie i w Budapeszcie... To wódka? Wódka zmieszana z piwem. Zaczyna mu płątać myśli i upłynniać ruchy. Pięknie tańcząca para wróciła do stolika. Bogdan trącił Laufra.

– Niech pan mi da klucz od pokoju. Idę spać. Jestem potwornie znużony. Jutro rano przecież... Pan może zostać...

Laufer nie chciał zostać. Kelner, płacić! Skrupulatnie rozliczali na czterech ogólną należność. Bogdan – bogaty portugalski kupiec – gotów był zapłacić cały rachunek, byle prędzej skończyć z tą restauracyjną ceremonią. Nie chcieli, by płacił za nich, nie kwapili się płacić za niego. Czy jeszcze dojdzie do pokoju? Czy konfrontacja skończona? Po diabła to wszystko potrzebne? W hallu ciągle ci sami faceci siedzieli na fotelach i kanapach – żaden się nie ruszył. Otto i Wilhelm hałaśliwie i wylewnie żegnali się z Laufrem i Bogdanem. Raz jeszcze zerknął przez oszklone drzwi do restauracyjnej sali: oficer z młodą kobietą rozmawiali przy stoliku. Bogdan pomyślał: czy widzi ją po raz ostatni, czy się jeszcze spotkają?

Laufer starannie zamknął drzwi na klucz – od środka.

– Po co? – mruknął Bogdan. Po prostu chciał się odezwać, powiedzieć cokolwiek; milczeli w windzie, w milczeniu przeszli korytarz – miał już niemal pewność, że Laufer wie, iż został rozszyfrowany. Niezręczna sytuacja.

– Zawsze zamykam drzwi hotelowe od środka. Kiedyś przed wojną, w Brnie, obudziwszy się o północy, ujrzałem pijanego faceta, który w najlepsze gospodarował w moim pokoju. Jakież miałem kłopoty, zanim go wyrzuciłem! Od tej pory zawsze zamykam.

– Matka nie pozwalała mi nigdy zamykać od środka nawet drzwi łazienki w domu. Twierdziła, że w razie jakiegoś wypadku, nagłego ataku serca, ratujący musieliby stracić zbyt wiele

czasu na wylamywanie drzwi i ratunek byłby spóźniony.

Laufer roześmiał się cicho. Powoli zdjął marynarkę i powiesił w szafie. Rozwiązał krawat. Bogdan, paląc papierosa, bez ruchu siedział w głębokim, wygodnym fotelu.

Znowu zaległo milczenie.

Przerwał je Laufer. Nagle przestał się rozbierać, usiadł w drugim fotelu, wyjął papierosa, zapalił i powiedział:

– No, panie Kowalski, nadszedł czas, abyśmy porozmawiali ze sobą serio. Jak dwaj mężczyźni.

– O... – Bogdan z trudem opanował podniecenie. Już? W ten sposób? Pierwszy raz w ciągu ich wspólnej podróży nazwany został fałszywym nazwiskiem, tym byle jakim, którym w Budapeszcie przedstawił się Laufrowi. Skończyły się żarty.

– Zrozumiał pan, co opowiadali tamci dwaj przy stoliku w restauracji?

– Zrozumiałem.

– Pan wie, kim oni są?

Milczenie. Jak miał odpowiedzieć?

– Oni tam, na dole, czekają na pana. Na mój sygnał.

Milczenie.

Laufer wyciągnął z kieszeni rewolwer i wycelował w Bogdana.

– Proszę oddać broń. Natychmiast!

Bogdan sięgnął pod marynarkę. Laufer wstał i wyjął mu broń z ręki. Wziął oba pistolety i położył je razem, daleko od Polaka, na nocnej szafce.

– Sądzę, iż w ten sposób obu nam będzie wygodniej. Prawda?

Bogdan milczał.

Laufer nie wrócił na fotel. Wolał rozmawiać krążąc po pokoju.

– Wszelki opór nie ma w tej chwili ani szans, ani sensu – ciągnął. – Musi pan rozsądnie wybrać.

– Wybrać?

– Tak jest, wybrać! W sytuacji, w jakiej pan się znalazł...

– Dzięki panu...

– Dobrze, że pan się już zorientował. To nam ułatwi rozmowę. Chciałbym więc pana poinformować: w tej chwili aresztuje się w Budapeszcie pozostających jeszcze na wolności pańskich przyjaciół. Wasza placówka już nie istnieje. Podobnie jak w Sofii, w Bukareszcie, w Belgradzie...

– A po co pan mi to mówi? – zapytał czując chłód w całym ciele. To mogła być prawda.

– Nie chcę ukrywać, że sytuacja jest poważna. Gestapo wie wszystko.

Milczenie.

– Gestapo wie wszystko – Laufer krążył po pokoju, wymijał łóżka, fotele, stolik, chodził powoli, ale nieustannie, zyskiwał w ten sposób przewagę nad siedzącą nieruchomo ofiarą. – Wie i to, że akurat żaden Jerzy Kowalski nie figuruje w spisie Polaków, przebywających od jesieni 1939 roku w stolicy Węgier. Nie zna pana nikt z Polaków mieszkających w Budapeszcie, a pan tak się wysiłał przez całą drogę, by udowodnić mi swój wieloletni pobyt na Węgrzech!

Milczenie.

– Wiemy dużo, bardzo dużo...

– I żeby się o tym przekonać, mam razem z panem nocować w tym pokoju?

– Tutaj spać jest w każdym razie wygodniej niż w innym miejscu. Powinien pan również sam zdecydować właśnie o tym, gdzie woli pan nocować...

Milczenie.

– Pan już stąd nie wyjedzie do Szwajcarii.

Milczenie.

– Przykre to, ale prawdziwe. Niech się pan dobrze zastanowi nad odpowiedzią. Decyzji nie trzeba podejmować raptownie, ale musi być ona konsekwentnie wykonana. Nikt tutaj nie rzuca słów na wiatr i nikt nie ma zbyt dużego poczucia humoru. My, Niemcy, jesteśmy podobno ciężcy i brak nam polotu, ale za to jesteśmy solidni.

Milczenie. Laufer krążył po pokoju. Bogdan siedział.

– Z tego hotelu mogą być dwa wyjścia.

Milczenie.

– Wybór zależy od pana. Jedno – z kajdankami na rękach, jestem szczerzy. Drugie – normalne; wyjedziemy razem tak, jak razem tu przybyliśmy.

– Hm...

– W przeciwnym wypadku będzie pan przekazany do Warszawy, wraz ze swoimi przyjaciółmi z Budapesztu. Pan wie, czym to grozi.

Milczał.

– Pan zapewne rozmyśla o bitwie pod Stalingradem...

– Nie tylko pod Stalingradem – mruknął.

– No tak, w Afryce... Ale te przegrane o niczym nie świadczą. Sam pan nam to powiedział. Historia nie zna takiej armii, która by wygrała wszystkie bitwy. Ale też historia nie znała takiej potęgi wojennej i gospodarczej, która by obejmowała całą Europę, od Koła Podbiegunowego po Morze Śródziemne, od kanału La Manche po przedpola Moskwy, Leningradu i nadwołżańskie stepy. Żołnierz niemiecki stoi na Kaukazie! Od dwóch tysięcy lat nie było w Europie takiej potęgi... Tej potęgi nikt już nie zwycięży. Fizyczne niepodobieństwo. Dla nas pracuje cała Europa.

Milczenie.

– Wpadł pan. Chcieliście nas przechytryć, a daliście się podejść jak dzieci. Proszę, niech pan rzuci na to okiem... – Z płaskiej walizeczki wyciągnął dokument, ten sam, który Bogdan kartkował w aucie, i podał go Polakowi.

Bogdan nie mógł się pohamować. Odsunął papiery.

– Znam to! *Dokumente des polnischen Verrats...*

– O!... – zdumiał się Laufer. – Już pan to wypenetrował? Kiedy?

– To chyba nieistotne.

Laufer odrzucił maszynopis.

– Niech pan się zastanowi: żyć w niemieckiej Europie czy... – zatrzymał się i wykonał ruch dłonią koło szyi. – Każdy z nas ma tylko jedno życie i bardzo długo można je stawiać na kartę, ale...

– Więc?

– Pan musi się zgodzić na współpracę z nami.

– Muszę?

– Pan musi się zgodzić na współpracę ze mną!

– Współpracę? To znaczy?

– Dokładnie to sobie omówimy. Potem.

– A w zamian?

– W zamian? Nie sądzę, by w pana położeniu należało się targować. Zresztą powiedziałem: stawka najwyższa – życie.

Bogdan milczał.

– Muszę jeszcze dodać, nie powinniśmy niczego owijać w bawełnę, że aresztowani dzisiejszej nocy w Budapeszcie jutro będą przez nas przesłuchiwać. Może się zdarzyć, iż w trakcie przesłuchania odniosą oni wrażenie, że to pan był głównym sprawcą ich wszystkich nieszczęść.

– O!...

– Naturalnie, my nie jesteśmy zainteresowani w tym, aby pańscy eks-koledzy, tak czy

owak należy ich już traktować jako eks-kolegów, mieli o panu tak fatalną opinię. Przeciwnie, lepiej, aby pan stąd wyszedł jako człowiek wolny, cieszący się pełnym zaufaniem...

– Musiałbym jutro zjawić się w Szwajcarii.

– Może... Niekoniecznie zaraz jutro. W podróży zdarzają się różne wypadki i katastrofy, ale za kilka dni... My zawsze jesteśmy bardzo dyskretni. W obopólnym interesie.

– Czy miałbym podpisać jakieś zobowiązanie?

– Naturalnie...

– Jako Jerzy Kowalski?

– Prawdziwe nazwisko my też znamy.

– O!...

– Między nami nie powinno być niedomówień. Pan się zdecyduje i zagramy w otwarte karty. Zgoda?

Nacierał, szantażował, żądał – wciąż chodząc po pokoju. Obszedł dookoła fotel, na którym siedział Bogdan. Były chwile – sytuacja tai powtarzała się za każdym nawrotem gestapowca – gdy mijał Polaka odwrócony doń tyłem.

Na to Bogdan czekał już od kilku minut.

Zerwał się z fotela, błyskawicznie skoczył na Laufra i z całej siły – jak go ćwiczyli w Warszawie, jak trenował na stole w budapeszteńskim mieszkaniu – kantem płaskiej dłoni z odstawionym palcem ciął Niemca w kark, w miejsce gdzie szyja przechodzi w plecy... Silnie, jak tylko mógł. Laufer zwiotczał i bez jęku osunął się na podłogę. Dywan zgłuszył upadek ciała.

Uderzenie mogło być jednak zbyt słabe. Potworne, ale nie miał innego wyboru, nie mógł postąpić inaczej. Strzelić w łeb – rewolwery leżały na stoliku nie opodal – to zaalarmować cały hotel. Tamci dwaj czekają na dole. Nie wolno postąpić inaczej. Pochylił się nad leżącym mężczyzną, zacisnął obie dłonie na jego szyi, zdusił, jak mógł najsilniej. Zamknął oczy i cisnął. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo i jak mocno. Wiedział, że morduje człowieka – że musi zamordować tego gestapowca. Czuł odrazę, wstręt, rozpacz, obrzydzenie do samego siebie. Nienawidził Laufra, który go do tego zmusił. To nie była bitwa, to nie było strzelanie, gdzie wróg padał z daleka, gdzie wróg też strzelał. Nie ja jego, to on wyda mnie, wyda nas, oni nas zniszczą... – nie skoordynowane myśli. Jedno jedyne usprawiedliwienie: wojna!

Puścił go. Już? Żeby drań nic nikomu nie mógł powiedzieć! Może nie zdążył powiedzieć?... Bogdan rozejrzał się po pokoju. Na umywalni lusterko do golenia, które Laufer wyjął z walizki. Podsunął pod usta leżącego – lusterko lśniło czysto, bez śladu zamglenia.

Wyprostował się.

Od tej chwili działał już szybko i zdecydowanie. Oba rewolwery – większy i mniejszy – schował do kieszeni. Obmacał leżącego, nic nie znalazł. Zerwał z łóżka kołdrę, rozpostarł na podłodze. Wciągnął na nią ciało, owinął i wepchnął pod niskie łóżko. Marynarka? W szafie! Dokładnie przeszukał kieszenie. Pieniądze zabrał. Będą potrzebne. Paszport? – w portierni hotelu. Paszport Laufra i paszport portugalski zostały tam oddane. Legitymacja służbowa – *Geheime Staatspolizei*.⁴⁶ Taką legitymację po raz pierwszy trzymał w ręku. Legitymacja NSDAP z 1939 roku. Schował obie. W Warszawie po wykonaniu wyroku na gestapowcach zabierano ich dokumenty w celu dokładnej weryfikacji, dla sądu podziemnego. W portfelu fotografia kobiety – miła twarz pani w średnim wieku. Notatki – nie miał czasu ich odcyfrowywać, odłożył. Z płaskiej walizeczki wyciągnął „Dokumenty polskiej zdrady”. Papiery samochodowe – na co mu one? – podarł ze złośliwą satysfakcją.

Wszystko.

Odkręcił kran w umywalni, odczekał chwilę, aż napłynęła zimna woda. Łykał ją łapczywie, zachłystywał się, lała mu się z brody na koszulę, na spodnie. Nie czuł już wódki, mo-

⁴⁶ *Geheime Staatspolizei* (niem.) – gestapo.

mentalnie wytrzeźwiał. Puścił strumień gorącej wody. Starannie, choć szybko, mył ręce. Mydlił, spłukiwał, jeszcze raz mydlił. Czystymi rękami przemył twarz, oczy. Po raz trzeci namydlił i opłukał dłonie.

Poprawił krawat. Papiery zabrane Laufrowi przełożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Miał broń, miał pieniądze, ale nie miał żadnych dokumentów. Palto, szalik, kapelusz, rękawiczki – powinien wyglądać przyzwoicie. Do kieszeni płaszcza wsunął przybory do golenia, cienki ręcznik, mydło, zapasową koszulę, zapasowe skarpetki i parę chustek do nosa.

Zgasił światło. Wyszedł na korytarz. Przekręcił klucz w zamku. Będą musieli wywazać drzwi, to trochę opóźni znalezienie ciała.

Ostrożnie ruszył korytarzem. Z hotelu muszą być co najmniej dwa wyjścia. Jak znaleźć to drugie?

Szybkie kroki z za zakrętu korytarza, głośnie rozmowa. Cofnął się. Otworzył swój pokój. Zamknął – od środka. Wyjął klucz z zamku. Nie zapalił światła. Stał przy drzwiach słuchając.

Korytarzem przeszło dwóch mężczyzn i kobieta. Łatwo odróżnić kroki. Rozmawiali sobie. Oni dwaj i ona?

Dopiero teraz ogarnął go strach.

Jak przedostanie się przez te korytarze pełne ludzi? W hallu są gestapowcy, może i drugie wyjście też jest przez nich strzeżone?

Opadł na fotel w palcie, przygotowany do ucieczki. W pokoju było zupełnie ciemno – zaciągnięte rolety z papieru.

Znowu kroki na korytarzu.

Kobiece!

Nasłuchiwał. Przystanęła pod jego drzwiami. Krystyna? Wstrzymał oddech. Chciała dowiedzieć się – dosłuchać – czy ktoś jest w ich pokoju? Trwało to długo bardzo. Wreszcie odeszła, z powrotem w stronę windy i schodów.

Męskie kroki. Znowu ktoś się zbliża.

Korytarze hotelowe zawsze wydają się puste. A jakież ruch na nich teraz panuje! Akurat teraz! Co chwila ktoś przechodzi. Mężczyźni, kobiety. Znowu ktoś stanął pod drzwiami. Kto i po co? Kontroluj! Dziwi się, że ciemno, że nikogo nie ma w ich pokoju. Może Laufrowi też nie ufają? Zaraz przyjdą sprawdzić...

Podszedł do okna, podniósł papierową zasłonę, cichutko otworzył. Cofnął się ku drzwiom. W tym staroświeckim hotelu zamki zaopatrzone były w klapki zasłaniające dziurki od klucza. Zasunął klapkę, żeby ktoś zaglądając nie ujrzął jego sylwetki w oknie.

Wychylił się, zbadał sytuację na podwórzu. Okna naprzeciwko były zaciemnione. Oczywiście ktoś mógł ich stamtąd obserwować, zaczajony w mrocznym pokoju. Wszystko jednak było ryzykiem. Musi ryzykować, inaczej doczeka się gestapo tutaj, i to szybko. Z restauracji na parterze dobiegały dźwięki muzyki. Poniżej okna ciągnął się szeroki gzyms. Nieco na prawo, ale już za sąsiednim oknem – rynna. W dole jakiś składzik, dobudówka, garaże. Kwadratowy dziedziniec zastawiony był beczkami, skrzynkami – skład hotelowy, restauracyjny. Ciemniała wnęka bramy.

Zdecydował się.

Zamknął okno, ale nie zapalał światła. Błogosławiąc swą przezorność, wyciągnął z walizki kilkunastometrową cienką linkę, przygotowaną w Budapeszcie, właściwie sznurek – mocny, ale niestety zbyt słaby, by utrzymać zwisającego człowieka. Płaszcz i kapelusz zwinął w tłumok, obwiązał linką. Szczyrykiem ciął prześcieradła, szerokie, podwójne, poszwy, poszewki. Skręcał, wiązał, pracował kilkanaście minut. Korytarzem wciąż przechodzili ludzie. Płócienną linkę zmoczył, aby stała się mocniejsza. Powtórnie otworzył okno. Spuścił tłumok z paltem na daszek dobudówki. Moką linkę umocował do kaloryfera. Do rynny było jakieś pięć metrów, nie więcej. Powinna wystarczyć. Drugi koniec owinął dookoła piersi i ujął dłonią.

Przesuwając się po gzymsie, musi minąć sąsiednie okno. Znowu ryzyko! Okno pewnie jest

zaciemnione, ale trzeba się wystrzegać najłżejszego hałasu.

Wszedł na parapet, opuścił się na zewnątrz. Trzymał się ramy, pod stopami wyczuł szeroki gzyms. Twarzą zwrócony do ściany, przycisnąwszy się do muru, szeroko rozłożywszy ramiona, przesuwając się drobnymi, ostrożnymi ruchami. Powoli... Najgorszy moment – już stracił pod palcami prawej ręki parapet okna, a lewą nie domacał się jeszcze sąsiedniego. Jeszcze jeden, jeszcze małe kroczki. Rozkrzyżowany na ścianie myślał o wszystkim najgorszym. Z ciemnego okna po przeciwnej stronie ktoś na niego patrzy. Za chwilę strzeli... Pod palcami wyczuł sąsiednie okno. Może ktoś nasłuchuje zza szyby?... Zaraz będzie rynna. Już dotknął jej ręką. Lewą. Prawa jeszcze trzymała się ramy.

Dłońmi i kolanami objął blaszaną rynnę. Odrzucił linę. Zwisła z otwartego okna – znak ucieczki. Sekundę odpoczywał. Czy tamten teraz właśnie strzeli? Powoli zaczął się zsuwać. Stopy trafiły na gzyms. Jedno piętro. Nikt nie strzela. Nikt nie alarmuje. Przewinął się przez występ muru. Następny odcinek przebiegł łatwiej. Znowu gzyms. Już mógłby skakać na dach przybudówki, lecz wolał ostrożnie, cicho się zsunąć. Pod stopami poczuł lekko pochyloną płaszczyznę dachu. Tłumok z paltem leżał obok.

Przyczaił się na daszku, przy murze. Okna hotelu we wszystkich czterech ścianach nieme, ciemne. Spokój. Orkiestra ściszoną melodią wypełniała studnię podwórza. Nikt go chyba nie zauważył.

Tłumok strącił na ziemię. Skoczył. Zastygł nieruchomo. Nic. Cisza.

Rozejrzał się. Stał obok garaży. Włożył palto. Rozprostował kapelusz. Na podwórzu nie było nikogo, ale nie mógł zwlekać. Naprzeciw rysowała się ciemna wnęka bramy. Przez półotwarte drzwi kuchni padała smuga światła i dochodziły odgłosy gospodarskiej krzątaniny. Wzdłuż muru – nie chciał wychodzić na środek – dotarł do bramy.

Nagle chlusnął nań hałas, gwar, krzyk. Stał, powstrzymał odruch ucieczki. Kłótnia – gwałtowna, rozpaczliwa. Głosy kobiece, głos męski. Z drzwi wysypała się gromadka kobiet: otaczały staruszkę, którą szarpał jakiś mężczyzna. Bogdan, przyklejony do muru, z bijącym sercem patrzył na rozgrywającą się przed nim w ciemności scenę. *Mein Kind, mein Kind, mein Sohn*⁴⁷... – zawodziła kobieta. Czy był to lament na frontową śmierć syna? Czy była to skarga przeciw szarpiącemu ją mężczyźnie? Pijak czy trzeźwy? Dramat ludzi zgnębionych wojną? Może syn jej poległ właśnie w Stalingradzie – za wodza, za führera i Trzecią Rzeszę? Może zginął na gorącej pustyni afrykańskiej? Zestrzelony został nad Kanałem? Przywalony ruinami bombardowanego Berlina? Może. Może ta pomywaczka czy kucharka, ogarnięta gniewem na wojnę, bluźniła wodzowi i jego gwardii?

Na Bogdana nie zwracano uwagi. Przemknął się między murem a skłębioną gromadką ludzi i z otwartej bramy wypadł na ulicę, spokojną, ciemną, migocącą latarkami przechodniów i zamaskowanymi światłami sygnalizacji samochodowej. Wydała mu się inna niż tamta, na której Laufer zaparkował auto. Nie dostrzegł półkulistej kopuły nad frontowym wejściem. Brama wychodziła więc na boczną uliczkę.

Skręcił w prawo i ruszył. Szybko. Byle dalej.

Spojrzał na zegarek – dziesiąta trzydzieści. Przed kwadransem był jeszcze w pokoju. Za parę godzin, nad ranem, zauważą linę zwisającą z otwartego okna. Wtargną do pokoju. Znajdą Laufra. Z paszportu Bogdana wydrą fotografię, odblaski roześlę w listach gończych. Co zrobi prawdziwy portugalski kupiec w Budapeszcie?

Od rana już będą tropić. Poszczują psy.

Przyspieszył kroku.

Dokąd?

Szybko, Szybko – pustoszącymi ulicami. Znikali z nich ludzie, pojawiały się koty. Przebiegały drogę. Pomyślał: „Może to nie koty, tylko wielkie szczury. Szczury ze starych miast...

⁴⁷ *Mein Kind, mein Sohn...* (niem.) – Moje dziecko, mój syn...

Wiedeń był niegdyś obozem wojskowym rzymskich cesarów”. Ulice są ciemne, dokładnie zaciemnione. W Budapeszcie nauczył się poruszać ulicami zaciemnionego miasta – do domu wracał tam o wiele później niż w Warszawie. W Polsce godzina policyjna wcześniej zamykała ludzi w mieszkaniach, gdzie lada chwila mogło wpaść gestapo. Gestapo! Czy teraz, o tej właśnie porze, policja węgierska wkracza do pokoju pułkownika? Czy teraz aresztują panią Halinę i jej męża? Czy teraz wdzierają się do innych mieszkań? Na Alkotmány? Skąd Niemcy znają te wszystkie adresy? Czy policja węgierska zechce przekazać ich w ręce gestapo, by „zrehabilitować się” po ucieczce, po wykradzeniu Feliksa? Ilu jeszcze Laufrów myszkuje wśród Polaków w Budapeszcie? Wojna! Ja zabiłem jednego z nich, a oni... Straszliwe prawa walki. Każdy chwyt dozwolony. Każdy strzał dozwolony. Kamienice, które mijają, są ciemne, lecz może za każdym oknem ktoś czuwa? Czuwają hitlerowcy czy ci, którzy przeciwko nim walczą?... Mijał wyniosłe, zdobne kolumnami budynki – znak życia nie przenikał spoza papierowych zasłon i ciężkich staroświeckich kotar. Kierunek obojętny, byle iść. A może zapukać do czyichś drzwi i powiedzieć: zabiłem człowieka, zabiłem – poprawił się – gestapowca, żądam pomocy?! Po raz pierwszy w życiu zabił z premedytacją. Lecz zabił prowokatora, zdrajcę! Umył twarz, oczy, ręce, ciągle jednak widział grymas tamtej twarzy, czuł pod palcami miękkość gardła. Nigdy nie wiedział, czy to od jego kuli padł niemiecki żołnierz podczas bitwy. Strzelali wszyscy – czyja kula trafiła człowieka biegnącego w odległości dwustu metrów? To było zupełnie co innego. W słowackiej wsi zostawił leżącego na ziemi gwardzistę, ale nie wiedział – zabitego czy tylko ogłuszonego... Pod marynarką niósł maszynopis. W kieszeni dokumenty. Legitymacja gestapo z fotografią Laufra... Wystarczy! Wykonał wyrok sądu podziemnego. Jaki wyrok? Wyrok, który zapadnie, który będzie wydany z całą pewnością – jutro, pojutrze, za rok. Przedstawi dokumenty i dowody. Czy aresztowani dziś w nocy, w Budapeszcie, będą mogli zeznawać? Czy potwierdzą jego słowa? Czy na pewno ich już aresztowano? Czy dowie się o tym tam, dokąd idzie, choć nie zna kierunku ani drogi do owych „sześciu domów”? Gdzie jest te „sześć domów”? Żołnierze niemieccy wałęsają się po ulicach ciemnego miasta – nie podejście do nich. Nie wolno mu podejść do żadnej młodej kobiety. Jedynie do staruszki, która w pierwszej chwili może przelęknie się zaczepiającego ją mężczyzny, lecz potem nie pogna chyba z donosem na najbliższy posterunek. Nie spotkał jeszcze żadnej starszej kobiety. Innych przechodniów unikał. Skręcał. Ciągle skręcał. W najbliższą przecznicę, za najbliższy róg, przechodził z jednej strony ulicy na drugą. Czy ktoś za nim idzie? Przystanął we wnęce muru. Nikt za nim nie skręcił. Więc nikt nie śledzi. Nikt jeszcze nie śledzi. Opanował się – powinien poruszać się bardziej naturalnie, tak jak wszyscy inni. Jak więc należy przechodzić obok policjanta nudzącego się na swym posterunku? Jak nadać sobie wygląd wiedeńczyka zmęczonego dniem, pracą, rodziną? W Budapeszcie mówiono: Wiedeń jest pięknym miastem! Nie dostrzegał Wiednia – ani jego ulic, ani pałaców. Tylko chodnik, ścianę budynku, krawężnik. Czy jest ktoś w tym mieście, kto usłyszawszy, że zabił gestapowca, wyciągnąłby do niego rękę gestem pomocy? Coraz donośniej klekoczą jego kroki... Może to właśnie dobrze? Przechodzień, który tak wyzywająco stuka butami, musi mieć czyste sumienie. Z ciemności wyłoniła się sylwetka starszej kobiety. *Verzeihen Sie, gnädige Frau...*⁴⁸ – powinien podejść. Dzieli ich już jedynie kilka kroków. Kobieta powoli kuśtyka o lasce, nie pobiegnie do gestapo – nienawidzi przecież tej rzeczywistości, śni o czasach minionej monarchii. *Gnädige Frau...* Przeszedł bez słowa. Nie zapytał. Może jedyna okazja tej nocy? Ulica Sześciu Domów? *Sechshäuserstrasse*? Gdzie jest *Sechshäuserstrasse*? Adres powtarzał sobie nieustannie. Laufer tego adresu nie znał. Czy nie zna go również gestapo? Czy może czekają tam już na niego? Gestapo wie wszystko?... Bogdan uświadomił sobie, że podczas całej ich rozmowy nie padło przecież ani jedno słowo, które by wskazywało, iż Laufer wie o nim coś więcej niż to, że w Budapeszcie nie zna go żaden Polak. Groził, że wie, ale

⁴⁸ *Verzeihen Sie...* (niem.) – Przepraszam, łaskawa pani...

nie zdradził się ze swą wiedzą. Może nie wiedział nic? Może tylko domyślał się, bluffował? Uczyli go w Warszawie: badanemu na ogół wydaje się, że przesłuchujący zbliża się o włos do odcyfrowania tajemnicy; w ten alarmujący sposób interpretuje słowa nawet mimochodem przez śledczego wypowiediane, gdyż badany wie zawsze więcej! A tymczasem – uczyli go w Warszawie – przesłuchujący zawsze wie mniej i bardzo często nie zdaje sobie nawet sprawy, jak blisko ociera się o tajemnicę. Badany i badający prowadzą surową, przebiegłą grę; zwycięża ten, kto ma silniejsze nerwy. Nie przyznawaj się nigdy do niczego! – uczono go w Warszawie. Laufer mógł nic nie wiedzieć. Gestapo może nic nie wiedzieć. Pocieszaj się... a w Budapeszcie dziś w nocy wszystkich aresztują! Zaledwie wczoraj wieczorem – a minęła od tej pory wieczność – pułkownik zanotował mu na kartce: *Jamatuno, Sechshäuserstrasse 37*, z bramy na lewo, drugie piętro, mieszkania cztery. Kartkę miał zniszczyć – i zniszczył. Adres wykuł na pamięć. Dwanaście godzin temu jeszcze był w Budapeszcie. Dlaczego nie zaaresztowali go wczoraj? Bo nie byli pewni, czy Węgrzy zechcą wydać go Niemcom. Dopiero w Wiedniu mogli z nim zrobić wszystko. Powtarzał ten adres, gdy zbliżali się do Wiednia, gdy w towarzystwie gestapowców ucztował w hotelu. Pułkownik powiedział mu: „To nie opodal cesarskiego pałacu, sławnego i pięknego Schönbrunnu”. Gdzie jest ten pałac? Zapytać o Schönbrunn? Tam zapewne urzęduje hitlerowski namiestnik, *gauleiter* Wiednia. Czy bezpiecznie jest o północy rozpytywać o kwatery hitlerowskiego dostojnika? Należy pytać raczej o ulicę Sześciu Domów. Ale tam, na *Sechshäuserstrasse*, brama, jak wszystkie inne, jest już zamknięta. Obudzić dozorcę, który zwlecze się z łóżka i zagadnie: „A pan do kogo?” Dozorcy są przyuczeni przez gestapo. Podać inne mieszkanie, inne nazwisko? – nie zna żadnego. Musi powiedzieć, że idzie do pana Jamatuno! Czy wolno mu dekonspirować pana Jamatuno przed dozorcą, który na pewno jest agentem gestapo? Nie, tego robić nie wolno! Więc cała noc, aż do rana... Ucieszył się: nikogo nie potrzebuje zaczepiać, nikogo o nic pytać. Czuł już zmęczenie. Czy nie powinien odpocząć? Ale gdzie? Idąc prosto przed siebie, musi w końcu trafić na jakiś park; będzie tam mógł przysiąść, odpocząć z dala od ludzi. Zmarznie, ale doczeka ranka, by raz jeszcze zaryzykować... Zaturkotał nocny, widmowy tramwaj. Most przerzucony nad kanałem. Człowiek w mundurze podniósł rękę. *Heil... tla...* – wymamrotał. *Heil... tla!* – energicznie odpowiedział Bogdan. Hasło zostało wymienione. Minął most i wszedł w ulicę zabudowaną starymi, brzydkimi kamienicami. Inna dzielnica, znacznie mniej okazała. Witryny sklepów zasunięte żaluzjami. W bramie drzemał na stołku stróż. Aż nagle domy się skończyły, ulica wprowadziła go między drzewa, a na granatowym tle nieba ujrzął ogromne, wielopiętrowe, stojące koło z uczepionymi – jak łopatki na kole wodnego młyna – wagonikami. Widok z tysiąca wiedeńskich pocztówek. Widok z dalekiej przeszłości... Przytulony do ojca, ściskając jego dłoń, szczęśliwy i jednocześnie przerażony, zapada się w przepastną głębię, wagoniki rozpędzonej kolejki szusują pionowo w dół, oni siedzą pierwsi, pod nimi tysiące ludzi na ogromnym placu, wszyscy krzyczą, wagoniki przelatują im nad głowami to rzucając w dół, to podrywając pionowo ku górze. Prosto z wagonika w ramiona matki. „Jeszcze raz?” – pyta ojciec. I chciałby, i nie chce. „Później, tato!” To „później” spełnia się dopiero teraz. Prater – to już na zawsze wściekle rozpędzona napowietrzna kolejka, po której powolna, hieratyczna jazda na ogromnym kole, najpierw w górę, potem w dół, wydawała się bardzo nudna, żałośnie nijaka. Prater! Wiedeński lunapark. Szał dziecięcych lat. Gdzie napowietrzna kolejka? Szukał. Dojrzał z daleka. Rusztowanie obudowane gipsową masą, markującą czarodziejską górę: wagoniki przelatywały przez; pieczary, wśród egzotycznych krajobrazów. Wrota otwarte. Nikt nie pilnuje lunaparku. Budy! Przed jedną krasnolud piętrowej wysokości, z potwornie opuchniętym i wykrzywionym nochem. Przed drugą żyrafa, której papierowa szyja lekko kołysze się na wietrze. Bawole łby błyskające białkami monstualnych oczu... Rozróżniał te figury, wzrok już przywykł do ciemności. Ze ścian baraków wyskakują półwy i półwilki. Przed wejściem zasłoniętym czarną kotarą szczerzą zęby dwa kościotrupy. Każda buda inaczej zachęca tych, którzy pragnęliby się zabawić. Każda buda straszy inną poczwara.

Mijał beczki śmiechu, nieme, nieruchome, nikt się w nich nie przewraca. Pod daszkiem elektryczne samochodziki – nikt nimi nie pędzi w szale wzajemnego obijania się. Foteliki karuzeli zwisają smutne, beczynne. Wyciszony, pusty, wymarły lunapark straszy prymitywną brzydota urządzeń. To już nie jest Prater z dawnych snów. Nie powinno się nigdy wracać do miejsc dzieciennych radości.

– *Was suchen Sie hier?*⁴⁹ ...

Szarpnął się w nagłym strachu.

Niski, chuderlawy staruszek, wsparty ciężko na lasce. Nawet nie podniósł tej laski. Z otwartych drzwi baraku – przed chwilą, zdawało się, uśpionego – padła smuga światła.

– Wszystko już jest zamknięte – wyjaśniał strażnik skarbów. – Teraz zamykamy o zmierzchu... – Głos jego brzmiał życzliwie i przyjaźnie; był miękki, pozbawiony pruskiej sztywności.

Staruszek nie krzyczał, nie posądział o złe zamiary. Cóż tutaj można ukraść? Najwyraźniej ucieszył się nawet, spotkawszy człowieka w tej nudnej pustce zaczarowanego świata.

– Przyjechałem do Wiednia na kilka godzin – Bogdan poczuł zaufanie do tego małego, drobnego staruszka. – Przyjechałem wieczorem, wyjeżdżam rano. Jutro już będę daleko stąd...

– Wojna ludzi nosi i roznosi – westchnął starowina.

– Gdy miałem siedem lat, dawno temu, byłem tu z ojcem i matką.

– Po tamtej wojnie! – ucieszył się kaleka.

– Po tamtej wojnie. Jeździłem na tej szalonej kolejce – wskazał ręką wysokie rusztowania.

– Ludzie głośno krzyczeli, gdy zjeżdżaliśmy w dół...

– Zawsze krzyczą.

– Jeździłem na tym wielkim kole...

– *Riesenrad!*⁵⁰

– Cały Wiedeń widziałem, ale nic już nie pamiętam z tamtego widoku.

– Tak, cały Wiedeń stąd widać. Tylko że Wiedeń bardzo się zmienił – powiedział staruszek jakimś cichym, bezbarwnym głosem.

– Przyszedłem więc popatrzeć. Mam tylko jedną noc czasu.

– Wiele pan nie zobaczy. To już nie jest tamten Prater. Świąteł nie ma... Wieczorem wszystko zamknięte. I ludzie teraz przychodzą inni. Przeważnie żołnierze, dziewczyny jakieś, szczeniaki... Skąd mają pieniądze? Dawniej w sobotę, w niedzielę, to aż przyjemnie było popatrzeć: eleganccy panowie, panie, chcieli się spokojnie zabawić... Umieli się ładnie bawić! – roztkliwił się nad wspomnieniami z dawnych lat. – Chodź pan, zimno...

Pociągnął Bogdana za rękaw, ku oświetlonym drzwiom baraku. Zamknął je starannie. Wyjaśnił z przekąsem, że niekiedy przychodzą i tutaj sprawdzić, czy światła wygaszone.

– Jak pana zobaczyłem, w pierwszej chwili pomyślałem nawet, że to znowu kontrola... Ale oni inaczej się poruszają. Szybciej.

Barak był magazynem pełnym wielkich kukieł – diabłów, aniołów, krasnoludów, kościotrupów, dam w krynolinach, panów we frakach... Strażnik wyjaśnił, że to zepsute kukły z tunelu cudów. Mieli je reperować, odnawiać, lakierować; remont tunelu rozpoczęli tuż przed wojną, porzucili robotę, specjaliści poszli do wojska, więc tunel czeka na ich powrót. Nie ma już cudów. Będą po wojnie! Czy będą? – posmutniał. Czy będą? – Bogdan powtórzył pytanie.

– Napije się pan?

Światło słabej żarówki potęgowało osobliwy nastrój magazynu. Mógłby się schować wśród tych wielkich kukieł. Stanać bez ruchu. Ciekawe, czy zostałyby odkryte? Może staruszek wydałby go nadchodzącym policjantom? Czy już ruszyli jego tropem? Czy pies wywę-

⁴⁹ *Was suchen Sie hier?* (niem.) – Czego, pan tu szuka?

⁵⁰ *Riesenrad* (niem.) – olbrzymie koło; chodzi o słynny „diabelski młyn” w wiedeńskim lunaparku.

szy jego ślad na ulicach miasta?...

Strażnik skarbów wyjął dwie szklaneczki. Kuśtykając wyciągnął gdzieś z kąta butelkę wódki. Szklanki przetarł ściereczką. Wódka cuchnęła naftą, była wstrętna. Cena za spokój najbliższych godzin – trzech, czterech, może i pięciu, które przesiedzi z tym starcem w ciepłym ogrzewanym piecykiem baraku. Odpoczywa. Zbiera siły. Czuje się bezpieczny.

– *Prosit! Prosit!* – zaakcentował toast. – Za stary Prater! Za Prater dawnych lat!

– Czy jeszcze kiedyś taki będzie? – staruszek dopytywał człowieka znacznie od siebie młodszego. – Stary Prater! – rozrzewnił się.

Wypili jeszcze raz. Bogdan aż się zachłysnął. Staruszek poweselał. Czuł potrzebę zwierzeń, a Bogdan mógł być tylko słuchaczem. Z rzadka wtrącał słówka, które przedłużały tok opowieści. Od urodzenia przebywał tutaj, na Praterze. Był chłopcem, gdy zaczął obsługiwać napowietrzną kolejkę. Każdy pociąg – pamięta pan? – prowadzony był przez „motorniczego”, który właściwie nie kierował sznurem wagoników lecących po szynach, tylko uruchamiał skład i hamował pod koniec jazdy, a w ogóle siedział przede wszystkim po to, by bardziej lękliwi pasażerowie sami też siedzieli spokojnie. Czyścił wagoniki, sprzątał, wykonywał sto rzeczy, pan nawet nie ma pojęcia, ile roboty jest przy takiej kolejce. To była przyjemna praca. Wszystko, co miłe, trwa krótko – filozofia życiowa staruszka była pesymistyczna. Kiedyś się upił. Po prostu, smarkacz, upił się nie wiedząc dlaczego. Razem z kolegami – wielu chłopców pracowało w lunaparku. Mieli dobrze w czubie, akurat nie było ruchu, wagoniki stały puste i martwe. Wskoczyli całą gromadą, uruchomili mechanizm. Porwał ich wąż wagoników. Byli młodzi, odważni, pełni brawury, rozpychali się podczas jazdy. Trzeźwy by tak nie zrobił: pijany pechnął pijanego. Szczęście, że właśnie byli niemal na dole, nisko. Chłopak zleciał, potłukł się okropnie, złamał obie nogi. Na zawsze już został kaleką i... dozorcą. Nie musiał iść na wojnę – roześmiał się gorzko.

Znowu wypili po kieliszku.

Bogdan udawał, że zbiera się do odejścia, lecz pragnął, by staruszek zatrzymywał go jak najdłużej.

– Spiesz się pan? Do czego? – pytał strażnik skarbów. – O tej porze w Wiedniu już wszystko śpi! Spiesz się pan na pociąg? Zdaży pan. Na wojnie nigdy nie należy się spieszyć. Wojnę wygrywają dla siebie nie ci, którzy idą naprzód, lecz ci, którzy wloką się na samym końcu – roześmiał się z cicha. – Teraz na przykład ocalili ci, którzy do Stalingradu nie doszli. Bohaterowie zawsze giną.

– Pan nie był na wojnie. Skąd pan to może wiedzieć?

– Tu, na Praterze, wie się wszystko. Ludzie opowiadają. Rozumie pan, ludzie zawsze opowiadają więcej i szczerzej, kiedy się dobrze bawią. Już drugą wojnę słucham żołnierskich opowieści. Widziałem, kto po tamtej wojnie miał najwięcej pieniędzy. Maruderzy. I po tej wojnie oni będą najbogatsi. Nie trzeba się spieszyć. Niech pan zostanie...

Bogdan został – chciał zostać. Popijał cuchnącą wódkę. Taki bimber pędzono w Generalnym Gubernatorstwie. Czyżby żołnierze hitlerowskiej armii rabowali nie tylko koniaki i szampany, ale i taki ordynarny bimber też wysyłali w paczkach do rodzin? Może ten staruszek miał na froncie syna lub wnuka-marudera, który słuchał jego doświadczonej rad?

– Skąd pan przyjechał? – zapytał strażnik.

– Z Budapesztu – odpowiedział machinalnie i natychmiast się poprawił: – To znaczy ze Stambułu, tylko przejeżdżałem przez Budapeszt.

Stambuł nie interesował starca. Ale Budapeszt!... Tam jest Angolpark. Taki jak Prater!

– Był pan w Angolparku? Jak tam pięknie! U nas jest pięknie, ale tam też jest bardzo ładnie. – Przypomniał sobie, że kiedyś, jeszcze jako chłopiec, wybrał się z bandą rówieśników na kilka dni do Budapesztu, któryś z nich miał tam rodzinę. W Angolparku przesiedzieli cały dzień.

Bogdan zaczął się jękać. Nie był w Angolparku, lecz chciał staruszkowi zrobić przyjem-

ność, więc mówił, powtarzając podpowiadane mu słowa, jaki piękny jest teraz Angolpark, jak się tam bawią ludzie.

– Czy tam też obowiązuje zaciemnienie? Czy tam też lunapark zamykają o zmroku? – dopytywał starszek.

Niestety, oczywiście, w całym Budapeszcie jest ciemno i Angolpark muszą zamykać o zmroku. Smutne. Smutne! Cały świat jest smutny i głupi... Strażnik skarbów nie znosił wojny. Wojna przeszkadzała ludziom się bawić.

Nagle – rozmawiali już długo – zawyły syreny. Bogdan poderwał się. Policyjne auta? Starszek nie rozumiał jego lęku: alarm lotniczy, ale któż by rzucał bomby na Prater? Na Wiedeń w ogóle nie rzucają! Przelatują tylko. Podniósł szklaneczkę z bimbrem...

Straszliwe uderzenie powietrza wyrwało drzwi z zawiasów. Kukły zakotłowały się, runęły z hałasem. Posypało się szkło. Dwaj mężczyźni padli na ziemię.

Zewsząd dobiegał przeraźliwy jęk syren. Nad nimi, w górze, przetaczał się nieustannie huk ciężkich samolotów. Skowyczały pociski artylerii przeciwlotniczej; działa musiały stać gdzieś blisko, może ukryte wśród drzew Prateru. Zakołysała się ziemia. Bogdan wyskoczył z baraku. Nie bał się samolotów sprzymierzonych. Był szczęśliwy. Pierwszy raz widział i przeżywał bombardowanie Rzeszy. Już płonęły dalsze baraki i urzędnia lunaparku, ogień buzował na rusztowaniach napowietrznej kolejki.

Biegnący za nim strażnik zataczał się i kulał. Coś krzyczał boleśnie. Jego Prater płonął!

Niebo zachłystywało się artylerią. Reflektory gorączkowo szukały nieprzyjaciela, wychwytywały migotliwe, mylące płyty srebrzystej folii. Pociski goniły w przestrzeń, skowycząc groźnie i żałośnie. Huk w przestworzach, huk na ziemi!

Bogdan spojrział w niebo, niewidocznym lotnikom radośnie zamachał ręką w braterskim pozdrowieniu. Niech padają bomby, niech wali się Wiedeń, niech płonie Prater! Niech, dranie, poczują na własnej skórze klęskę niszczonej miast! Niech ich – a nie nas!...

I nagle krzyknął:

– *Stille Nacht! Heilige Nacht!* – przypomniały mu się słowa niemieckiej kolędy. – *Stille Nacht! Heilige Nacht!*⁵¹

Wpadł do najbliższej budy. Jeszcze nie płonęła. Przy kasie dostrzegł w mroku podniesioną rączkę dźwigni – chwycił ją, nacisnął ku dołowi.

Drgnęła maszyneria. Coś zazgrzytało, zachrobotowało – w budzie zaczęły poruszać się chodniki, ściany, sufit...

Wybiegł. Następna buda: poziomo ułożona, wielka beczka. Dopadł, nacisnął dźwignię. Beczka zaczęła się obracać. Skrzypiała na niewidocznych osiach. Spozobegł inną dźwignię, przesunął rączkę. Tworzył ruch, tworzył dźwięk. W hałas lotniczego bombardowania i artylerijskiej obrony wdarła się piskliwa, skoczna melodia. Jeszcze jeden głos straszliwej orkiestry. Skowyt, huk, grzmot – i jodłowanie tyrolskiego śpiewaka.

Ogień objął lunapark, przerzucił się z baraku na barak. Wyschnięte ściany, od lat służące ludzkiej zabawie, paliły się doskonale. Fosforyzujące materiały raz za razem powodowały eksplozje.

Bogdan, pijany radością, biegał od budy do budy, od baraku do baraku, szarpał metalowe rączki, przesuwał dźwignie, przekręcał kontakty.

Zaczęły obracać się koła, ruszyły motory, potoczyły się wagoniki. Krzykliwa melodia rozkołysała lunapark – z dziesiątek głośników odezwały się chrapliwe dźwięki. Z łoskotem runęła do basenu spadająca z wieży Łódź motorowa. Napięły się łańcuchy karuzel, w płonącym powietrzu zafalowały – niby skrzydła aniołów zniszczenia – puste huśtawki. Z wizgotem ruszyły kręcące się konie, krzeselka, kanapki, niby-auta, niby-filizanki, niby-karety. Sztuczne wodospady chlusnęły wodą, a potworny karzeł otwierał i zamykał swą wielkozębną paszczę.

⁵¹ *Stille Nacht, heilige Nacht* (niem.) – Cicha noc, święta noc.

Bogdan dopadł do kolejki, którą jeździł niegdyś z ojcem. Sztuczna góra już ogarnięta była płomieniami, szybko trawiącymi dekoracje. Nacisnął dźwignię. Pchnął najbliższy wagonik. Taśma porwała cały skład, uniosła na najwyższą wieżę. Po płonących rusztowaniach puste wagoniki gnały w szalonym pędzie. Jak widma!

Płonęły ruchome ściany baraków. Płonęły pędzące z góry na dół wagoniki. Płonęły jak pochodnie kołujące nad ziemią huśtawki. Płonęły dachy. Świetliste słupy biły w niebo. Niebo ciągle huczało, grzmot nie ustawał ani na chwilę. Rozbrzmiewała muzyka sprzężona z ruchem mechanizmów – najweselsze, najgłośniejsze melodie.

Nagle na niebie poprzecinanym smugami reflektorów rozbłysła ogromna flara oślepiającym światłem. Na chwilę przemieniła noc w jasny dzień. Czaszę światła rozpostarła nad płonącym, sprawiedliwą zemstą dotkniętym miastem.

Bogdan był szczęśliwy. Był pijany szaleństwem. Patrzył, jak płomienie trawią Prater. Słyszał huk bomb spadających na Wiedeń. To była jego bitwa...

Bezwiednie powtarzał spieczonymi wargami:

– Sto koni do stu brzegów dopłynię w sto dni!...

To hasło zabrzmiało jak fanfara upragnionego zwycięstwa.

W sutannie

Japończyk starannie przygotowywał aparat fotograficzny: czyścił soczewkę, manipulował obiektywem, medytował nad światłem. Niewysoki, szczupły, ruchliwy mężczyzna, o zaokrąglonych rysach twarzy, krzątał się po dużym pokoju, którego punkt centralny stanowiła dość osobliwa konstrukcja: niska bibliotekarska drabinka przystawiona do dwóch okazałych skrzyń, a na nich mały fotelik. Ksiądz zakomenderował po niemiecku:

– Naprzód!

Bogdan prawą dłonią lekko zgarmał fałdy sutanny, lewą ujął rączkę walizki. Ksiądz dodał spod okna:

– Prawą będzie się pan trzymał poręczy, wchodząc do wagonu.

Bogdan wyciągnął rękę ku wyimaginowanej poręczy, pewnym krokiem wszedł po drabinie na skrzynię, usiadł na foteliku, z kieszeni ukrytej w fałdach duchownej sukni wyjął grubą księgę, otworzył ją w miejscu założonym fioletową wstążką, przeżegnał się i pogрузzył w lekturze.

– Już lepiej, coraz lepiej... – ksiądz zaakceptował próbę. – Proszę zejść.

Bogdan wstał, wziął walizkę – dość ciężką – i powtórzył drugą część tego samego ćwiczenia.

Coraz płynniej i naturalniej, coraz zgrabniej poruszał się w tym niezwykłym dlań stroju. Czwarty dzień ćwiczeń, a gdy pierwszy raz poczuł owijającą mu się dookoła kostek materię sutanny, zdawało mu się, że chodzić w niej nigdy nie będzie umiał. Preceptor cierpliwie korygował jego ruchy; sam wkładał duchowną suknię tylko na godzinę lekcji z Bogdanem. Ksiądz, którego nazwisko nigdy dotąd nie padło, nosił krótki surdut, a koloratkę starannie zasłaniał szalikiem, gdy opuszczał mieszkanie doktora Jamatuno. We trzech, razem z Japończykiem, zastanawiali się długo, czy Bogdan powinien jechać w surducie, zwykłym stroju większości księży w Niemczech i w Szwajcarii, czy raczej w sutannie. Sutanna bardziej zwraca uwagę, ale też swą demonstracyjną odmiennością skuteczniej chroni od podejrzeń, zwiększa gwarancję bezpieczeństwa. Wybrali więc sutannę. Bogdan włożył tę duchowną suknię, przyniesioną przez Japończyka, i cały dzień musiał tylko w niej chodzić. W sutannie ćwiczył ruchy podróżnego, chód powolny i spieszny, mył się, jadł posiłki, aż – prędzej, niż sądził – przyzwyczał się do osobliwego stroju. Ciasna koloratka, ściśle opięta górna część sutanny – przypominało to dobrze skrojony mundur oficerski i jak mundur prostowało postawę noszącego.

Tydzień temu o siódmej rano – jeszcze półmrok zimowy kładł się cieniem na rozdygotanych akcją ratunkową ulicach Wiednia – stanął przed kamienicą na *Sechshäuserstrasse*. Tutaj był spokój, na tę część miasta nie spadły bomby. Z płonącego lunaparku uciekł, gdy między ognie kręcących się karuzeli i pędzących wagoników – przepalone, z hukiem łamały się i waliły – wjechał pierwszy samochód straży pożarnej. Nic tam już nie miał do roboty. Znikła euforia, zgasło podniecenie, poczuł dotkliwy poranny chłód i zmęczenie po nie przespanej, szalonej nocy. Znów ruszył ulicami miasta, na których auta straży pożarnej tarasowały jezdnie i chodniki. Łały się strumienie wody, sypano piasek. Kolumny sanitarne, szukając ofiar nalołu, ryły w wysokich, jeszcze dymiących hałdach gruzu. Rannych dźwigano do karet pogotowia, zabici szeregiem leżeli wzdłuż krawężników. Hałas pracujących maszyn, trąbienie

karetek, lament ludzi. Swąd pożaru, mdlący zapach spalenizny. Odór śmierci i klęski.

Dojrzał starą kobietę, która na skraju chodnika stała w ponurym milczeniu.

– *Verzeihen Sie, bitte, Sechshäuserstrasse?*

– Pan ma tam krewnych? – ożywiła się. Domyślała się jego niedoli: szukał pewnie dachu nad głową. – W jakiej to dzielnicy?

– Nie opodał Schönbrunn – wyjaśnił.

Spojrzała zdumiona. Nie wie, gdzie pałac Franciszka Józefa? Nie jest chyba wiedeńcykiem. Lecz nie mówiła nic więcej, wskazała tylko kierunek. Jeszcze kilka razy musiał pytać o drogę, zanim wreszcie stanął przed domem na *Sechshäuserstrasse 37*. Brama była już otwarta. W pobliżu nikt się nie kręcił. Na drugim piętrze Bogdan poświecił zapałką: *Dr Jamatuno*. Nagle zabrakło mu odwagi. Jeżeli drzwi otworzy Niemiec, Niemiec w mundurze... Cofnął się. Wszedł piętro wyżej, na mosiężnej tabliczce odczytał czysto niemieckie nazwisko: *P. Kieffer*. Wrócił znowu pod drzwi mieszkania numer cztery. W razie czego zapytał: „Czy to mieszkanie pana Kieffera?” Usłyszy, że pomylił piętra. Wtedy pójdzie na dworzec.

Zapukał. Japonka we wzorzystym kimonie – jak w powieści.

– Chcę się widzieć z doktorem Jamatuno...

Mężczyzna w pidżamie wyszedł do przedpokoju. Tak jak było umówione, Bogdan powiedział po francusku:

– Słyszałem, że pan ma do sprzedania japońskie znaczki pocztowe.

– Interesują pana znaczki z końmi czy z kwiatami? – zabrzmiała odpowiedź Japończyka.

– Wolałbym wizerunki miast.

– Japońskich?

– Europejskich!

– Jakich?

– Polskich.

Kobieta w kimonie wycofała się przy ich pierwszych słowach, zostali sami. Jamatuno uważnie obserwował przybysza. Płaszcz Bogdana poplamiony był sadzą i smarami, kieszenie wypchane drobiazgami zabranymi z hotelu. Pachniał dymem.

– Dziś w nocy bombardowali Wiedeń – powiedział nagle doktor Jamatuno.

– Tak. Może dzięki temu udało mi się przeżyć tę noc? A teraz przyszedłem do pana prosić o pomoc. Tak mi przykazano w Budapeszcie, gdy wczoraj stamtąd wyjeżdżałem. Nie sądziłem jednak, że będę jej potrzebował.

Jamatuno otworzył drzwi wysokiego, przestronnego pokoju. Ruchem głowy zaprosił gościa. Przez trzy następne dni Bogdan nie opuścił tego pokoju, przez tydzień – i jeszcze dłużej – nie opuścił tego mieszkania.

Opowiedział swoją historię, ale zataił egzekucję, którą wykonał. Zdemaskował Laufra, Laufer zaproponował mu współpracę, więc go ogłuszył, związał, zakneblował mu usta i uciekł z hotelu. Aż do rana wałęsał się po płonących ulicach. Prosi o pomoc w przedostaniu się do Szwajcarii. To wszystko.

Jamatuno wysłuchał tej opowieści w milczeniu, o nic nie pytając. Japonka podawała posiłki, ścieliła mu tapczan. Japończyk przynosił gazety, dowiadywał się o zdrowie. Bogdan domyślał się, co oznacza ta trzydniowa kwarantanna: przy pomocy szyfrowanych depeesz, rozslanych do agentów wywiadu japońskiego w środkowej Europie, sprawdzano jego tożsamość.

Pułkownik w Budapeszcie wprowadził Bogdana w podstawowe elementy tej gry. Przedzielone frontami wojny, działające w dwóch przeciwnych obozach, wywiad polski i wywiad japoński nadal, podobnie jak przed wrześniem 1939 roku, współpracowały ze sobą. Interesy wywiadów nie układają się tak, jak deklaracje polityków. Interesy Japonii są nieco inne niż interesy Hitlera: zbieżne we wrogości wobec Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, odmienne w stosunku do Związku Radzieckiego. Japończycy radzi by wiedzieć o swym sojuszniku możliwie dużo, potrzebne są im również te informacje, które może dla nich zdobyć wy-

wiad polski. Interes jest interesem: wy pomożecie w trudnych sytuacjach naszym kurierom, my dostarczymy wiadomości, które mogą wam być przydatne jeżeli nie dziś, to jutro. Japończycy lubią sprawiać Niemcom małe – jakże drobne w skali tej gigantycznej wojny – kłopoty, to też się może opłacić. A zresztą wśród zawsze uśmiechniętych Japończyków – wyjaśniał pułkownik Bogdanowi – też są przyzwoici ludzie nienawidzący faszyzmu i Hitlera, gotowi pomagać nam bardziej, niż przewidują instrukcje z Tokio.

To wszystko Bogdan wiedział. A jednak nie mógł jeść ani spać, ogarnięty niepokojem. Z coraz większym, atakującym go falami przerażeniem oczekiwał skutków swego lekkomyślnego kroku. Godziny lęku przeplatały się z godzinami uspokojenia, kiedy trzeźwo tłumaczył sam sobie, że denuncjacja doktora Jamatuno nastąpiłaby momentalnie, już by go wydał gestapo, tymczasem przecież piorun nie uderza! Znów musi czekać. Tylko czekać!... Okna pokoju, w którym siedział, wychodziły na ulicę; tamtędy nie mógł uciec. Drzwi były przez Japończyków demonstracyjnie zamykane.

Czwartego dnia rano uśmiechnięty – uśmiechnięty bardziej niż zazwyczaj – Japończyk wkroczył do pokoju. Poinformował Bogdana, że w Budapeszcie wszystko w porządku, żadnych aresztowań ostatnio nie było. Przyjaciele przesyłają mu pozdrowienia. Bogdan uśmiechnął się z wdzięcznością. Japończyk mówił dalej: w hotelu znaleziono uduszonego Laufra, agenta gestapo... „Jednak udusił się...” – spokojnie skonstatował Bogdan. Gestapo szuka sprawcy. W końcu Japończyk zapowiedział, że niebawem zjawi się jego przyjaciel, człowiek godny zaufania, ksiądz katolicki – zaakcentował słowo „katolicki” – z którym omówią szczegóły dalszej drogi Bogdana.

Ksiądz przyszedł w południe. W paczce przyniósł dwie sutanny. Dla siebie i dla Bogdana. Pani Jamatuno, filigranowa Japonka, dokonała ostatecznej przymiarki. Suknia duchowna musiała leżeć zgrabnie, tym bardziej że Bogdan nie miał do niej prawa.

Zaczęły się długie godziny rozmaitych ćwiczeń. Podróż koleją do Zurychu trwała parę godzin, ale po drodze niejedno mogło się wydarzyć. Najpierw Bogdan musiał chodzić – po prostu chodzić w sutannie. Potem siadał i wstawał. I żegnał się. I odmawiał pacierze.

– Jak tylko wejdzie pan do przedziału i usiądzie, proszę zaraz wyjąć brewiarz i powoli, bardzo powoli czytać. – Ksiądz mówiący po niemiecku, do którego Jamatuno zwracał się: *father*, był nauczycielem solidnym i cierpliwym. Raz po raz, bez końca powtarzał ćwiczenia, gesty, ruchy i odruchy przebranego księdza. – Czytać trzeba bardzo powoli, niemal nie przewracając kartek. Jakby pan drzemał nad tym brewiarzem. To nie lektura, to poza, którą podróżujący ksiądz odgradza się od pokus zewnętrznego świata. Niech pan sobie zapamięta raz na zawsze: ksiądz w pociągu czy w tramwaju nigdy, ale to nigdy nie może ustąpić miejsca kobiecie. Tego wymagają kościelne obyczaje oraz stosowne przepisy. Księdzu z Francji nie potrzebowałbym tego mówić, ale pan jest Polakiem. Polacy zawsze są grzeczni dla kobiet... Potem niech pan niepostrzeżenie zapadnie w lekką drzemkę. Gdy pociąg ruszy, proszę się przeżegnać, to bardzo istotne, ale nie tak... – ksiądz szerokim gestem nakreślił krzyż na czole, piersiach i ramionach. – Pan jest kanonikiem, a nie wiejskim proboszczem. Żegnać się trzeba w sposób dyskretny, naturalny, nawet jakby skrycie, szybkim i lekkim ruchem palców koło górnych guzików sutanny.

Co może się przydarzyć księdzu w podróży? Czego pasażerowie mogą od księdza żądać? Zestawiali różne okoliczności. *Father* uspokajał Bogdana: jeżeli nawet wysłucha spowiedzi człowieka, który o to poprosi, jeżeli nawet udzieli błogosławieństwa, nie oszuka potrzebującego. Chrystus powiedział: „Wiara twoja uzdrowi cię”. Gdy katolik wierzy, że otrzymuje sakrament z uświęconej ręki, jest tak, jakby rzeczywiście go otrzymał.

– Grzech obarczy moje i pana sumienie – skonstatował *father*.

Nie pytali o przekonania Bogdana. Wyznawca sintoizmu razem z katolickim księdzem kształcili w kunszcie kapłańskim niewierzącego.

Modlitwy musiał odmawiać głośno i wyraźnie na początku i na końcu wersetu – środkową

partię szybko bełkotał po łacinie. Żeby słowa płynnie bełkotać, należało je dokładnie znać. *Father* przynosił łacińskie modlitwy, starannie przepisane na maszynie. Bogdan uczył się ich na pamięć, wdzięcznie wspominając talenty dydaktyczne swego gimnazjalnego profesora łaciny. Przypomniawszy sobie naukę ministrantury, również pobieraną w szkole. Prefekt, zwany Pasztetem, miał niemałe kłopoty, by każdy z uczniów dwukrotnie odbył służbę przy ołtarzu: nie było im w smak zrywać się o czwartej rano, by jeszcze przed lekcjami, na czczo, w dalekim kościele służyć księdzu do mszy. Aż tu raptem dopadły go te cytaty i zwroty, tym razem pochłaniane pilnie, gorączkowo, niecierpliwie. *Father* niczym nie przypominał gimnazjalnego prefekta. Tamten był rozlewny i przejmował się ceremoniałem, ten był skupiony, oszczędny w słowach i rzecz całą traktował w kategoriach wywiadowczo-technicznych. Chodziło o opanowanie roli dla wygrania stawki wojennej i życiowej. Więc raz jeszcze: proszę się przeżegnać. Więc raz jeszcze: pomodlić się z brewiarza. Więc raz jeszcze: proszę wejść do wagonu i usiąść w przedziale...

Japończyk przygotował aparat. Bogdan zszedł ze skrzyni i usiadł na niskim taborecie. Doktor Jamatuno namydlił mu czubek głowy, a pani Jamatuno, instruowana przez księdza, zręcznie wygoliła krążek tonsury.

– Pacierz! – komenderował *father* nie tracąc chwili czasu.

Bogdan rozpoczął kolejną mrużankę. Głośniejsze „amen” i natychmiast wtrącił się Japończyk:

– Imię?

– *Joseph* – odpowiedział Bogdan. Przepytywany był już wielokrotnie. Japończyk nie zostawiał mu sekundy do namysłu.

– Nazwisko?

– *Kugler*.

– Data urodzenia?

– 25 października 1913 roku.

– Za wolno! – denerwował się Jamatuno. – Pan się chwilę zastanawiał. Gdzie?

– *Sattel bei Schwyz*.

– Zawód?

To *Priester* powinien wymawiać z niejakim zdumieniem w głosie – po co pytać o zawód księdza w sutannie?

– Adres?

– *Zürich, Bernerstrasse vierundvierzig*.

W ciągu paru tygodni już drugi raz uczył się cudzoziemskich personaliów: João Eduardo Godinho i ksiądz doktor Joseph Kugler.

Japończyk natarł mu włosy brylantyną, przygładził. Ksiądz musi mieć wygląd zadbane i mieszczańsko schludny. Podał mu okulary w cieniutkiej złotej oprawce i uskokzył za aparat.

– Prawdziwy szwajcarski ksiądz! – powiedział z uznaniem i zrobił serię zdjęć, z których jedno zostanie wklejone do paszportu księdza Kuglera.

– Czy ksiądz Joseph Kugler, prawdziwy Joseph Kugler, wie o tym? – zapytał Bogdan. – Czy nie zawiadomi o zgubieniu paszportu policji?

Ksiądz-reżyser roześmiał się cicho:

– Nie, nie. Ksiądz Kugler zostaje w Wiedniu jeszcze bardzo długo. Paszport nie jest mu potrzebny, policja zupełnie się nim nie interesuje, a za tydzień dokument będzie tu z powrotem.

– A jeżeli nie? Paszport lizbońskiego kupca pozostał już na zawsze w aktach gestapo i policja w Budapeszcie ma pewnie do Portugalczyka niemałe pretensje...

– Odpukać! – *father* rozejrział się za nie malowanym drzewem. – Miejmy nadzieję w Bogu.

– A jak mnie zdemaskują na granicy i zapytają księdza Kuglera?...

– Wtedy okaże się, że już kilkanaście dni wcześniej ksiądz Kugler złożył w odpowiednim

komisariacie wiedeńskiej policji meldunek o zgubieniu lub ukradzeniu mu paszportu.

– Wszystkie zabezpieczenia może pokrzyżować przypadek – Bogdan jakby dyskutował z samym sobą.

– Tak – zgodził się *father* – ale... Pan ryzykuje, my ryzykujemy, ksiądz Kugler ryzykuje również. Każdy z nas ma swoje cele, może nawet odmienne. Pan ma swój cel, doktor Jamatuno ma swój cel, ja mam swój i ksiądz Kugler ma swój. Istnieje jednak wspólny mianownik...

– Wspólny mianownik?... Czyżby – zdziwił się Bogdan. – Księża niemieccy jakoś dogadują się z Hitlerem...

– Nie jestem Niemcem. Jestem Szwajcarem i pracuję w watykańskiej nuncjaturze. – Ta nazbyt może otwarta informacja podana została oschle i lakonicznie.

Bogdan pomyślał: „Może to sam ksiądz doktor Kugler? W najogólniejszym opisie paszportowym jesteśmy do siebie podobni. Trochę tylko starszy ode mnie...” I powiedział:

– Ale Watykan też przecież nie potępił hitlerowskich zbrodni. Czy ksiądz wie, że w Warszawie wielu ludzi z żarliwą nadzieją oczekuje głosu papieża, kiedy w majestacie swego apostołskiego tronu potępi on niemieckie zbrodnie, może proklamuje nową wyprawę krzyżową, przeciw Hitlerowi?

– Ja jestem żołnierzem, który skrupulatnie i bez dyskusji wypełnia rozkazy przełożonych. Tak samo zresztą, jak pan.

– To, co ja czynię, nie pozostaje w żadnej sprzeczności z deklaracjami moich dowódców: prowadzimy bezpardonową walkę z Niemcami. Ksiądz natomiast w tej chwili pomaga mi w czymś, za co jestem głęboko wdzięczny, ale co pozostaje w jawnej niezgodzie z co najmniej powściągliwym zachowaniem się Stolicy Apostolskiej. Nuncjusz papieski w Berlinie wyrzucił księży polskich, którzy zgłosili się do niego z raportami o prześladowaniach Kościoła w Polsce. Czy o tej sytuacji ksiądz również nie chce nic wiedzieć?

– Ja o niej wiem dokładnie. Mogę podać panu liczbę zamordowanych księży polskich. Raport, którego nie przyjął nuncjusz, bardzo szybko trafił do kancelarii watykańskiej. Watykan wie wszystko o obozach i egzekucjach, o aresztowaniach i morderstwach, może nawet więcej niż pan, niż wy wiecie.

– A nuncjusz w Berlinie?

– Nuncjusz... ba! Nasz gospodarz, doktor Jamatuno, też robi coś, czego japoński ambasador w Berlinie nigdy by otwarcie nie zaakceptował. Z ambasady japońskiej w Berlinie wyrzuciliby pana portierzy. A tutaj świadczą panu pomoc... Świat teraz nie jest prosty.

– Ale zwyczajny człowiek tego nie rozumie. Zwyczajny człowiek, udręczony, wciąż czeka na słowo, które nie pada, a które zbrodnię nazwałoby zbrodnią...

– Być może dzięki temu, że takie słowo dotychczas nie padło, pan i panu podobni możecie kursować po Europie, realizując swoje sprawiedliwe cele...

– A zrozumienie tego – wtrącił Jamatuno – też należy do obowiązków księdza podróżującego przez Europę. Ktoś może z panem zacząć dyskusję...

– Będę chyba musiał nieco inaczej odpowiadać, niż czyni to *father*.

– Ale równie błyskotliwie – uśmiechnął się Japończyk.

– Proszę księdza, nie mamy czasu! – ksiądz prawdziwy zwrócił się do tego, który miał grać jego rolę. – Proszę raz jeszcze przejść się po peronie, wsiąść do pociągu, zająć miejsce...

Bogdan ruszył przez duży pokój. Wszedł po drabince na skrzynię, usiadł na foteliku, sięgnął po brewiarz, zamruczał modlitwę...

Brewiarz leży na małym stolczku pod oknem. Dłonie księdza, splecione, spoczywają na kolanach. Oczy ma przymknięte. Udaje, że śpi, choć sen go nie ogarnia. Ta pozorna nocna drzemka odgradza go od najgorszego, od pogwarek z podróżnymi. Pociąg przecież usypia – człowiek o zdrowym sercu i czystym sumieniu śpi, gdy alpejska noc zaciera kształty gór i dolin, gdy czarna roleta i żarówka zasmarowana niebieską farbą pogłębiają mrok panujący w przedziale. Można tylko dostrzec kontury postaci. Bogdan odmyka na chwilę oczy – lekko,

leciutko – widzi, na kanapie kiwające się cienie strudzonych nocną podróżą ludzi. Na rzadkich stacjach niektóre znikają, pojawiają się inne. Trwa nocna cisza w przedziale, w którym drzemie sześć osób.

Zastanawiali się w Wiedniu: jechać dniem czy nocą? Mieli do wyboru dwa pociągi. Zdecydowali się na nocny: przyćmione światło, sen izolujący od podróżnych. W nocy nie trzeba korzystać z wagonu restauracyjnego, gdzie jest się narażonym na przygodne znajomości, a szwajcarskiemu księdzu, podróżującemu pierwszą klasą międzynarodowego ekspresu, niepożądanie wyjmować z teczki bułkę z wędliną. Na wiedeńskim dworcu, starannie zaciemnionym w obawie przed bombardowaniem, z daleka obserwowany przez księdza-reżysera, odnalazł właściwy pociąg. Bez kłopotu wszedł do przedziału, jakby zapomniał o sutannie, usiadł w rogu pod oknem i przeżegnawszy się zaczął odmawiać modlitwy z brewiarza. Potem, gdy ruszyli, odłożył grubą książkę i zapadł w niby-sen.

To jest gorsze – myślał, rachował, ważył – niż pierwsza nocna jazda z Warszawy do Krakowa. Wtedy czuwał nad nim towarzysz podróży, teraz był sam. Sam w obliczu innych pasażerów. Sam w obliczu nieuchronnie zbliżającego się momentu kontroli granicznej. Znowu, jak przed dwoma tygodniami na granicy węgierskiej, będzie musiał podać fałszywy paszport i wytrzymać tę chwilę długą jak wieczność, gdy strażnicy będą odczytywać personalia księdza Kuglera i badawczo patrzeć mu w twarz... Nie chciał myśleć o chwili, która zbliża się nieustannie, z każdym uderzeniem kół o spojenia szyn. Jak wyglądają pod tym luksusowym wagonem kraty oplatające resory? Czy tak samo jak pod skromnym węgierskim pulmanem? Czy na stacjach granicznych sprawdzają resory? Zdarza się, że ludzie pod wagonami przekraczają granicę... A może... może ktoś leży akurat pod tym wagonem? Uciekinier z obozu koncentracyjnego, z oflagu, Francuz, Żyd, Niemiec poszukiwany przez gestapo? Ręce grabieją mu z zimna, stopy drętwieją z wysiłku. Boi się runąć w huczącą przepaść między kołami i boi się kontroli granicznej. Jakże prędko człowiek zapomina! Tak przecież on sam jechał... Jak wytrzymał tę potworną drogę? Nie rozumiał w tej chwili, jak udało mu się uciec z oflagu do Warszawy? Jak potrafił wydostać się ze słowackiego aresztu i przejść z Krystyną granicę? Jak zabił Laufra? Dopiero teraz uświadomił sobie, ile za każdym razem ryzykował. Gdyby przed pięcioma miesiącami wiedział, że po upływie tego czasu, zatoczywszy łuk przez cztery kraje, ciągle jeszcze będzie się znajdował na terenie Trzeciej Rzeszy, czy zdecydowałby się na skok za druty obozu? Na dalekim Pomorzu, w drewnianych barakach, czy jeszcze go wspominają? Myślał może, że już dotarł do Anglii? Droga do wojska... Hm... w sutannie szwajcarskiego kanonika! Kim innym był w mieszkaniu Alicji, gdy rzucał się na plugawego szmalcownika, kim innym, gdy uwalniał Feliksa czując wokół siebie przychylną usłużność węgierskich oficerów, kim innym, gdy z gestapowcami siedział w wiedeńskiej restauracji. Zmieniał nazwisko, skórę, słowa – tylko język wyczuwał wciąż te same, wstawione w Warszawie zęby. Kim była Krystyna? Nic o niej nie powiedział Japończykowi. Zostawił mu – w pełnym zaufaniu – papiery gestapowskie Laufra, by przesłał je pocztą dyplomatyczną do Budapesztu. Koperta była zapieczętowana, Japończyk chyba jej nie otworzył. Czy nie należało tam włożyć karteczki ostrzegającej przed Krystyną?

Niezwykłe wolno wlokły się godziny. Wszystko go uwierało. Nie mógł znaleźć miejsca, aby wygodnie oprzeć głowę. Pod powiekami czuł piasek. O jakiejś nocnej godzinie usłyszał wołanie konduktora: „Linz!” W ciemnościach nocy wyrastają przepiękne Alpy. Tyrol z zaciemnionymi miasteczkami i wsiami, przytłoczonymi wojenną żalobą, policyjnym terrorem, drżącymi z lęku przed bombardowaniem... Nieprawda! Te wioski nie były przytłoczone wojną, te prowincje Austrii były zawsze najwierniejsze Hitlerowi. Nie znalazłby tutaj sojuszników, gdyby przekradał się przez zieloną granicę. Wydano by go gestapowcom. Linz, Salzburg, Innsbruck – padały nazwy miast, które nie były teraz miejscami wspaniałych koncertów i festiwali muzycznych, ale stacjami męki, przybliżającymi najgorszy moment: kontrolę paszportów. Pociąg jechał coraz wolniej, piał się pod górę serpentynami szyn. Z nocy przeta-

czał się w nadchodzący dzień.

W przedziale zmieniają się pasażerowie. Częściej teraz wychodzą, niż wchodzą. Nieruchomo tkwiący pod oknem ksiądz zna drogę na pamięć, wyuczył się jej z mapy. Wie, że od Innsbrucka blisko już do granicy. Jeszcze nie chce się budzić, choć promienie światła przenikają przez szpary w papierowym zaciemnieniu. Coraz mniej ludzi w przedziale. Jakiś mężczyzna z kobietą rozmawiają po francusku – oboje mówią kiepsko, ze złym akcentem, szukają brakujących słów.

Wreszcie ksiądz budzi się powoli, z demonstracyjnym wysiłkiem, niby z głębokiego snu. Naprzeciw rosłego, tęgiego mężczyzny w średnim wieku siedzi młoda, chuda brunetka. Życzliwym uśmiechem witają go: dzień dobry! Mężczyzna po niemiecku informuje o bliskiej już stacji granicznej. Słyszając to ksiądz wzdycha z ulgą – więc chyba wygląda jak Niemiec.

– Czy dobrze się księdzu spało? Podróż była bardzo wygodna – stwierdza mężczyzna głośno, zadowolony z siebie, z całego świata, z uprzejmych odpowiedzi ojca duchownego. – Chwała Bogu, że nie było alarmu! Tutaj na ogół bomb nie rzucają, lecz alarmy lotnicze często na długie godziny unieruchamiają pociągi. Teraz każda podróż to zawsze ryzyko...

Ksiądz z tęgim pasażerem wymieniają zdawkowe spostrzeżenia. Mężczyzna dodaje, że często jeździ tędy do Szwajcarii, woli tę drogę niż przez Monachium, Na to ksiądz, że wraca do domu, do siebie. Ksiądz jest Szwajcarem? Uprzejmie potaknięcie głową. I znowu w przedziale zapada cisza. Szum pociągu. Granica coraz bliżej...

W drzwiach bezszelestnie staje konduktor, ten sam, który już raz, po wyjeździe z Wiednia, sprawdzał bilety. Za nim dwóch ludzi w mundurach. Oficerowie SS. Kontrola paszportów.

Odpina górny guziczek sutanny – ten ruch trenował tysiąc razy – sięga do wewnętrznej kieszeni na piersiach. Jest zupełnie spokojny. Nie myśli już o niczym. Lekko uśmiechając się, patrząc Niemcowi prosto w oczy, podaje paszport. Konduktor ogląda go starannie – czyta pierwszą kartkę, przerzuca następne, szukając wiz. Są, na pewno są. Wizy są prawdziwe. Oficerowie SS patrzą konduktorowi przez ramię. Jeden z nich podnosi wzrok na księdza – uśmiechają się do siebie dwaj panowie, pan w sutannie i pan w mundurze, obaj na służbie. Potem Niemiec spogląda na tęgą mężczyznę: *O, gut Morgen, Herr Fischer! Wie geht's?*⁵² – widocznie zdążyli się już poznać przy okazji poprzednich kontroli. Mężczyzna podaje paszport niemiecki. Kobieta – włoski. Oficer SS, opierając książeczkę o framugę drzwi, zamasytym ruchem przybija pieczęć z datą. Podpis. Gotowe! Ksiądz odbiera paszport. *Bitte! Danke!* – wymiana grzeczności.

Ułga, choć jeszcze zeszytywniałe wszystkie mięśnie. Ręce poruszają się jak źle naoliwione przekładnie. Chowa paszport do kieszeni, pod sutannę. Jeszcze kilka, kilkanaście minut...

...I potem jeszcze sto pięćdziesiąt kilometrów dalszej maskarady, zanim w jakimś mieszkaniu będzie mógł zdjąć sutannę i włożyć męskie ubranie. W Budapeszcie opowiadano mu historię młodej kobiety, kurierki, która znakomicie znając język niemiecki, zdecydowała się iść przez zielone granice z Budapesztu do Zurychu, prosto przez Austrię. Drogę starannie przygotowano. Oficer, Polak internowany w Szwajcarii, w obozie dla tych, którzy w czerwcu 1940 roku przeszli z Francji, został uprzedzony, że winien z demonstracyjną czułością przyjąć nie znaną mu dotychczas „żonę”, która być może pewnego dnia zjawi się w komendzie obozu twierdząc, iż przybyła prosto z Warszawy. Młoda kobieta przejechała szczęśliwie Austrię i przeszła granicę szwajcarską. Miała jednak pecha, akurat lał ulewny deszcz i oto w odległości pięciu kilometrów od granicy patrol szwajcarski zwrócił uwagę na dziewczynę wyglądającą jak zmokła kura. Zaczęli ją legitymować – nie miała papierów. Tłumaczyła, że wędruje tak, na wariata, z Warszawy do męża internowanego nie opodal Berna. Nie wzruszyła ich ta miłość. Nie pozwolili nawet zatelefonować do obozu, natychmiast wydali ją Niemcom. Transportowana do Warszawy, na dworcu w Wiedniu zdołała uciec konwojentom i wrócić do Bu-

⁵² *O, gut Morgen...* (niem.) – O, dzień dobry, panie Fischer! Jak pan się miewa?

dapesztu. Szwajcarzy mogą również zdemaskować księdza Kuglera, mówiącego, jak by nie było, ze złym akcentem. Szwajcarzy bardzo dbają o to, by głupim drobiazgiem nie skalać swej cudownej neutralności.

Kontrolerzy oddają paszporty Włoszce i Niemcowi.

Ksiądz sięga po brewiarz, otwiera go i zaczyna mrużyć poranne modlitwy.

Kontrola odbywa się teraz w sąsiednim przedziale. *Bitte! Danke!* Jakiś żart... I następny przedział. Bogdan liczy je z łakomą niecierpliwością: jeszcze trzy przedziały i tamci wysiądą z wagonu. Tęgi mężczyzna w kiepskiej francuszczyźnie podtrzymuje swój leniwy flirt z brunetką. Ksiądz mruży pacierze.

– *Nein... nein!*... – nagle rozdziera ciszę rozpaczliwy krzyk.

Wszyscy się zrywają.

I znów cisza.

Ksiądz odrzuca brewiarz, wybiega z przedziału, nie potrafi opanować swych ruchów. Pęka napięta sprężyna niepokoju. Co się stało?

Mężczyzna i kobieta za nim. Mężczyzna woła po niemiecku:

– Znowu kogoś złapali! Zawsze ich łapia!...

Krzyki, nieartykułowane wrzaski, szamotanie, jakby konduktor i esesmani mocowali się z kimś w przedziale.

Łoskot padającego ciała.

Wołanie: doktora!

Wołanie: księdza!

Pierwszy odruch Bogdana: uciekać! Dokąd? Jak?... Tego tylko brakowało... Księdza! Oficer z trupa czaszką na czapce wyrasta przed nim jak złowrogie fatum.

– Proszę księdza, tam... – Rozkaz, od którego nie ma odwołania. Rozkaz wydany krzykiem, gestem, całą postawą tego Niemca.

Bogdan musi iść. Idzie za esesmanem.

W przedziale pusto. Tylko na podłodze, na wąskiej przestrzeni między kanapami, leży siwy, starszy mężczyzna.

– Przegryzł fiolkę, połknął truciznę, zaraz będzie koniec... – informuje trupia czaszka.

Samobójca jeszcze żyje, poznaje księdza. Chwyta go za rękę, przyciąga do siebie, coś szepcze. Jego dużą, wyrazistą twarz wykrzywia ból. Bogdan nic nie rozumie – nie odbiera tego szeptu, nie stara się nic usłyszeć, nic pojąć ze słów będących może wyznaniem, testamentem. Chodzi mu przede wszystkim o porządek gestów i słów, które winien teraz wykonać i wypowiedzieć. Ksiądz przy ulicy Sześciu Domów dobrze go tego wyuczył – na wszelki wypadek.

Ostrożnie wysuwa dłoń z rąk umierającego człowieka. Wie, że nie wolno okazać solidarności z mężczyzną, który jest mu w tej chwili druhem i bratem, który jest jakby nim samym. Musi wypełnić tylko obowiązek kapłana.

Żegna go szerokim, wyraźnym znakiem krzyża. Przy ulicy Sześciu Domów ćwiczył ten ruch całymi godzinami. Wie, co ma powiedzieć, i pamięta, że jeżeli ten człowiek nie jest katolikiem, jeżeli kapłan nie jest tego pewny – a nuż oficer gestapo spyta później podejrzliwie: „Skąd ksiądz wiedział?” – to formuła, która zastąpić ma spowiedź umierającego, zaczyna się od wypowiedzenia warunku: „Jeżeli zdolny jesteś przyjąć rozgrzeszenie...” Mówi więc głośno, by słyszeli go wszyscy zgromadzeni na korytarzu:

– *Si capax es* – łacińskie słowa brzmią patetycznie w milczeniu ludzi i stukocie wjeżdżającego na stację pociągu – *ego te absolvo ab omnibus censuris et peccatis. In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.*⁵³

⁵³ *Si capax es...* (*łac.*) – Jeżeli zdolny jesteś (przyjąć rozgrzeszenie), rozgrzeszam ciebie z wszystkich kar i grzechów. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Przebrany ksiądz udziela prawdziwego rozgrzeszenia. Ten umierający człowiek, wróg Trzeciej Rzeszy, a więc sojusznik obu księży Kuglerów, i prawdziwego, i przebranego, zasłużył na to, by w ostatniej sekundzie – może pierwszej bohaterskiej sekundzie swego zwyczajnego życia – być spokojnym o wieki przyszość. A jeżeli ten człowiek jest niewierzący? Jeżeli umiera ze świadomością gwałtu dokonywanego na jego sumieniu? Jeżeli pierwsze słowa konającego, których nie zrozumiał, były tylko wyznaniem, że nie chce księdza... Jeżeli nawet, to za plecami kapłana stoi dwóch oficerów gestapo i pięciu, siedmiu, iluś tam Niemców, którzy muszą wiedzieć, że ksiądz jest najprawdziwszym księdzem. Zaczyna ostatni akt ceremoniału – błogosławieństwo apostołskie. Mówi z namaszczeniem:

– *Ego, facultate mihi ab Apostolica Sede tributa, indulgentiam plenariam et remissionem omnium peccatorum tibi concedo. In nomine Patris et Filii* – czyni nad umierającym znak krzyża – *et Spiritus Sancti. Amen.*⁵⁴

Bogdan słyszy własne słowa. Nie pomylił się... Pochylony nad martwym już ciałem, czuje, że w obozie czy na warszawskiej ulicy esesman z trupią czaszką po prostu kopnąłby umierającego człowieka i to byłaby ostatnia posługa, ale tu, w Niemczech, nad szwajcarską granicą, odprawia komedię, wzywa księdza, cierpliwie przysłuchuje się obco brzmiącym łacińskim werse-
tom.

– *Per sacrosancta humanae reparationis mysteria remittat tibi omnipotens Deus omnes praesentis et futurae vitae poenas, paradisi portas aperiat et ad gaudia sempiterna perducat. Amen.*⁵⁵

Akcentuje zbawcze „amen”. Dobrnął do końca. Zdał ten egzamin. Jednego złapali, doprowadzili do samobójstwa, ale wymyka im się drugi. Wieczny ruch, wieczne perpetuum mobile tej upodlonej Europy. Pochylony nad zmarłym milczy. Wszyscy milczą. Rachunki ziemskie skończone. Amen. Jak długo prawdziwy ksiądz powinien trwać w tej pozie?

Ciszę przerywa oficer wskazując na walizki: jego? Pasażerowie kiwiają głowami. Zdejmuje z półki niewielki kuferek. Wychodzi na peron. Drugi gestapowiec zostaje na straży.

– Księdzu słabo? – pyta ktoś ze współczuciem.

Ksiądz nie odpowiada. Przysiadł na podnoszonym krzeselku w korytarzu i nie może się ruszyć. Podają mu koniak w turystycznym kubeczku.

Bogdan wie, że musi oprzytomnieć. Nie wolno mu się tak zachowywać. Oficer pochyla się nad nim i mówi łagodnym głosem:

– Cóż, wojna... Niemieccy księży już się przyzwyczaili.

– Jeden taki przekłety wszarz! A ilu naszych ginie na Wschodzie! – wybucha nagle jakiś zajadły cywil. – Ten drań chciał uciec! Uciekał!

Koniak działa – Bogdan wie, że koniak powinien działać. Więc trzeba wstać – wstaje. Powiedzieć: *danke!* – mówi: *danke!* Oficer SS usłużnie podtrzymuje ramię szwajcarskiego duchownego. Dziękuje mu jak swemu współnikowi.

Odejść stąd, odejść jak najprędzej!

Wagon nagle wypełnia się esesmanami. Otwierają okno i na noszach ostrożnie wysuwają ciało człowieka, przed chwilą jeszcze żywego, wierzącego, że za godzinę w wolnej Szwajcarii będzie uratowany, że spełni może jakieś powierzone mu zadanie. Uciekinier? Kurier? Spiskowiec?... Z odległości paru metrów ksiądz patrzy na okryte kocem ciało. Rozpoznali go? Mieli zapisane jego nazwisko? Paszport był źle podrobiony? A może ten uciekinier z Trzeciej Rzeszy stracił panowanie nad sobą i rzucił się na oficera SS?

Ksiądz wraca do przedziału. Pasażerowie powoli zajmują swoje miejsca. Włoszka mówi

⁵⁴ *Ego, facultate mihi... (lac.)* – Władzą otrzymaną od Stolicy Apostolskiej udzielam ci odpustu zupełnego i odpuszczenia wszystkich grzechów.

⁵⁵ *Per sacrosancta humanae reparationis ... (lac.)* – Przez świętą tajemnicę odkupienia rodzaju ludzkiego wszechmogący Bóg niech ci daruje wszystkie kary w życiu obecnym i przyszłym, niech otwórzy bramy rajy i doprowadzi cię do szczęścia wiecznego. Amen.

po francusku, jakby ze współczuciem:

– Nie udało mu się...

Tęgi mężczyzna odpowiada:

– Mieli fotografię, poznali go... widziałem.

– Zawsze mają fotografie – uzupełnia kobieta. – To nie pierwszy raz...

Niemiec odpowiada, może zuchwale, może z przechwałką, a może ze strachem:

– Z gestapo oni nie wygrają, gestapo nikt nie oszuka, gestapo wie wszystko...

„Tak samo twierdził Laufer” – pomyślał Bogdan.

Na korytarzu słychać szybko zbliżające się kroki.

Nagły dreszcz: gestapo wie wszystko! Idą po niego!

W drzwiach staje oficer SS.

– *Bitte...*

Szwajcarski ksiądz powoli unosi głowę znad brewiarza.

– Proszę się podpisać, tutaj – oficer podsuwa kartkę papieru dopasowaną do tekturki – jako świadek zgonu.

Ksiądz przebiera palcami w kieszeni sutanny. Gdzie jest to pióro? Nie może znaleźć. Wreszcie trafia. Powoli odkręca autentycznego szwajcarskiego „mont blanca”. Podpisuje wyraźnie, jak się nauczył: *Joseph Kugler*. Grafolog ustaliłby fałszerstwo – między podpisem w paszporcie i na tej kartce na pewno są znaczne różnice. Chętnie by to sprawdził. Nie sprawdzi. Nikt teraz tego nie będzie sprawdzał. Podaje również i adres: *Zürich, Bernerstrasse 44*.

Oficer dziękuje i:

– *Auf Wiedersehen!*

– *Auf Wiedersehen* – szepcze Bogdan. Jeszcze żaden Niemiec nie był wobec niego tak uprzedzająco grzeczny.

Mężczyzna mówi:

– Papierzy zawsze muszą być w porządku!

Brzmi to jak sentencja na całe życie.

Ksiądz znowu otwiera brewiarz.

Kobieta stwierdza:

– Już mamy opóźnienie.

Mężczyzna dodaje:

– Przez tego... przez tego... – szuka wyzwiska, lecz nie zna francuskich wyzwisk.

Pociąg rusza powoli. Za oknem przesuwiają się budynki niemieckiej stacji granicznej. Widać góry.

Mężczyzna mówi:

– To był Schaan.

Kobieta mówi:

– Szwajcarska graniczna stacja nazywa się Buchs.

Ksiądz szepcze modlitwy. Przedstawienie trwa dalej.

„Dokąd serce tęskni...”

Za oknami powoli odwracała się ruchoma tarcza podgórskiego krajobrazu – pochylone trawiaste stoki pokryte cienką warstwą śniegu, niewielkie doliny z asfaltowymi wstęgami szos, ponad którymi przeskakiwały wiadukty kolejowe. W dali piętrzyły się wysokie góry, zasnuwane zimową mgłą. Krajobraz starannie ukształtowany ręką człowieka: najmniejszego skrawka ziemi, jednego drzewa nie pozostawiono tu własnemu losowi, wszystko zostało obudowane, obramione cywilizacją; domki, zajazdy, stacje wychuchane, wymalowane, wymiecione, łąki i drzewa jak w strzyżonym ogrodzie francuskim.

Bogdan siedział sam w przedziale. Szerokie okno ofiarowywało widok daleki, rozległy, zupełnie odmienny od krajobrazów polskich, słowackich, węgierskich. Krajobrazów austriackich nie znał; przez tamten kraj podróżował w mgliste popołudnie i ciemną nocą.

Po drodze oglądał miasta i osiedla tak zagospodarowane, tak schludne, tak spokojne, jakby nie dochodził tu żaden odgłos piorunów trzaskających w europejski świat. „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie” – tak przed laty polski pisarz podsumował jakże ciężkie losy swej ojczyzny. Cokolwiek się zdarzy, niech omija nas – wydawało się być niewzruszoną dewizą każdego gospodarza w tym pięknym kraju. A więc urządzać się można na wieczność. Nic się nie zdarzyło, nic się nie zdarza i nie zdarzy – dzieci rodzą się w pokojach, w których przyjdzie im umierać, wnukowie zasiadają w fotelach pradziadów. Czystość i kurz narastają w tych mieszkaniach równomiernie, spokojnie odkładają się przez stulecia. Z najdalszej podróży wrócisz zawsze do tego samego domu, nie przebudowanego wskutek kaprysu, nie naruszonego bombą. A on, raz jeszcze wróciwszy do Warszawy, czy zastanie dom, w którym się wychował? Szkołę, do której chodził? Zazdrości wszystkim, którzy nie wyobrażają sobie, że dom swój można utracić.

Gdy po raz pierwszy, nazajutrz po przyjeździe z Zurychu, wałęsał się wąskimi uliczkami szwajcarskiej stolicy, poczuł przyjemne zwiótczenie napiętych dotąd mięśni. Ludzie wokół niego poruszali się, istnieli bez świadomości zagrożenia. Zdanowicz, jedyny tutaj człowiek, który znał cel jego podróży i kierował jego krokami, skarżył się przybyszowi z Budapesztu: panie, jakaż tu nuda! Nic się nie dzieje, żadnych niespodzianek! Skarżył się, że los każe mu tkwić, gnuśnieć w tym pięknym, górzystym kraju, gdzie miasta zatłoczone są zwalistymi kamienicami o kopulastych dachach, przeładowane kariatydami, secesyjnymi girlandami i kolumienkami. Gdyby nie wojna, to reszta naukowców i artystów dawno by stąd uciekła. Wszystkich ich zabija rygor mieszczańskiej obłudy i mieszczańskiego sknerstwa. Kraj drobnych ciułaczy! Piją doskonałe mleko i nie potrafią nic przyrządzić z fantazją... Z fantazją!...

„Niech będzie nudno, jeżeli nuda gwarantuje zawsze ten sam dach nad głową! – myślał Bogdan chodząc po berneńskich uliczkach. – Niech będzie nudno, jeżeli spokoju dnia nie naruszają dramaty ucieczek, ukrywania się, egzekucji i zamachów! Kraj, w którym nic się nie dzieje! W którym wieczór zapowiada poranek... Choć może – jak opowiadał Zdanowicz – ci ludzie też są sparaliżowani strachem przed Hitlerem, boją się siły, którą radzi by od siebie odwrócić posłuszeństwem...”

Przesiadywał w stallach gotyckich kościołów. Łuki strzelające ku górze urągały prawdzie o przemijaniu świata, potwierdzały wiarę w wieczystość rzeczy materialnych. Te gotyckie sklepienia nie miały w sobie nic niezziemskiego, nic metafizycznego, były dla niego czymś

konkretnym i realnym. Siedząc w stallach myślał o sztuce budowniczych, o cegle, kamieniu i zaprawie murarskiej, setki razy trwalszych niż życie człowieka. W te gotyckie sklepienia nigdy jeszcze nie trafiła bomba... Z półmroku świątyn wychodził dręczony niespokojnymi myślami. Szwajcarzy są mądrzejsi, przebieglejsi, ulepieni chyba z innej gliny? Potrafili uchronić swe gotyckie sklepienia i uchronić ludzi przed bombami. A więc to jest w ludzkiej mocy! Cokolwiek się zdarzy, niech omija nas... Przechodził pod arkadami najstarszych bram miejskich, z niewielkim tylko skutkiem próbując wyobrazić sobie wędrujących tędy Wilhelma Tella czy Winkelrieda. Brakowało mu poetyckiej fantazji, by renesansowymi postaciami kupców i bankierów wypełnić okna zabytkowych kamienic. Królowała tu pewność dobrobytu gromadzonego w ciągu stuleci. Pewność cegieł i centymów. W tym kraju ważny był centym, centym mnożony przez dziesiątki i setki lat absolutnego spokoju. Centym, który przesłaniał wszystko, zniechęcał może artystów i uczonych, lecz jednocześnie zapewniał wygodną egzystencję rozważnym kupcom, spokojnie wypoczywającym na swych wygodnych łóżach w samym środku rozbełtanej Europy.

Na takim łożu próbował spać Bogdan. Nie mógł spać, co noc męczyły go majaki przebytej drogi. Laufer nagle zmartwychwstały, Otto, Wilhelm ścigający go – i Krystyna. Krystyna w okrutnej scenie gestapowskiego przesłuchania: on uparcie powtarzał, że jest księdzem Josephem Kuglerem, stał nagi przed Ottonem i Wilhelmem, a ona była gdzieś z boku, niby obecna, lecz jakoś dziwnie daleka. Budził się z krótkiej drzemki sparaliżowany strachem; leżał na tapczanie, w niewielkim, schludnym pokoiku, ozdobionym malowanymi na ścianach zajaczkami, króliczkami, krasnoludkami, jako że w zamyśle architekta był to pokój zawsze i tylko dziecięcy. Wynajmowali go Polacy z poselstwa; Zdanowicz płacił niezmiernie wysoką cenę, by para szwajcarskich małżonków mogła mieć czyste sumienie nie meldując w policji swoich przelotnych lokatorów, którzy zresztą zachowywali się cicho i spokojnie, nigdy nie zatrzymywali się zbyt długo. Mieszkanie to było bezpieczniejsze niż jakikolwiek hotel pozostający pod obserwacją policji. A jednak każda noc była koszmarem. Budził się zły zimnym potem, we śnie ulegał namowom Laufra, godził się na współpracę z gestapo, podpisywał zobowiązania...

Zdanowiczowi złożył dokładny raport z całej swej podróży, nie pomijając żadnego szczegółu. Wykonał samowolny wyrok, gestapowskie papiery Laufra wysłał za pośrednictwem doktora Jamatuno do Budapesztu. Prosił o zalegalizowanie tej egzekucji. Zdanowicz pochwaliał jego decyzję i szybki refleks – tak należało postąpić. Lecz w sennych majakach prześladowały go alternatywy: zdrada, zdemaskowanie, przesłuchania, tortury... I wszędzie – Krystyna! Krystyna co noc pojawiała się w tych snach. Krystyna...

A przecież wiedział, że jest wolny. Naprawdę wolny, dopiero teraz. W pół roku po ucieczce z oflagu. W dwa miesiące po opuszczeniu Warszawy. W trzy tygodnie po wyjeździe z Budapesztu. Wolny – dopiero teraz.

Na stacji Buchs automatycznie przyłożono pieczęć w szwajcarskim paszporcie księdza Josepha Kuglera. Strażnik mruknął coś nawet porozumiewawczo w narzeczu, którego ksiądz oczywiście nie rozumiał, zareagował więc kordialnym: *Ja, ja!* – co mogło oznaczać zarówno zachętę, jak i niechęć do dalszej pogawędki. Ksiądz był raczej małomówny. W dwie godziny później pukał do mieszkania, którego adres otrzymał w Wiedniu, przy ulicy Sześciu Domów. Na jego hasło brzydka, kanciasta Szwajcarka podała właściwy odzew. Bez zbędnych słów wymieniła sutannę na niezbyt dopasowaną cywilną marynarkę. Odebrała paszport księdza Kuglera i zapewniła, że wszystko będzie w porządku. Jej słowa były oszczędne, ruchy celowe, jakby codziennym jej zajęciem było przebieranie fałszywych księży w cywilne ubrania. Niedaleko stamtąd, w prywatnym mieszkaniu czekał Zdanowicz. Tego samego dnia wczesnym popołudniem byli w Bernie, gdzie cicerone zakomunikował kurierowi z Warszawy, iż niebawem z paszportem państwa neutralnego – „Czy znowu portugalskim?” – zapytał Bogdan, Zdanowicz uśmiechnął się: „Raczej nie...” – poleci szwajcarskim samolotem prosto do

Portugalii. Aby swobodnie mógł przeczekać te kilka dni, wręczono mu legitymację studencką oraz dokumenty wojskowe niejakiego Karola – ujrawszy to imię jęknął – Lipskiego, podchorążego internowanego w Szwajcarii w czerwcu 1940 roku wraz z całą dywizją; studiował on chemię na uniwersytecie w Bernie i mieszkał w polskim internacie, skąd – zaznaczono Bogdanowi – studentom nie wolno wieczorem wychodzić na miasto; żołnierzy internowanych w neutralnej Szwajcarii, obywateli stron walczących, obowiązywała swoista godzina policyjna. Kilka tygodni temu prawdziwy Karol Lipski uciekł przez Francję i Hiszpanię do Anglii, ale Szwajcarzy jeszcze o tym nie wiedzieli. Papiery mogły więc gwarantować jakieś takie bezpieczeństwo osobiste w ciągu najbliższych dni.

– Czy mam pojechać do Genewy, do profesora? – zapytał Zdanowicza w myśl budapeszteńskich zaleceń.

Konieczniesz! Musisz pojechać i jako naoczny świadek opowiedzieć o terrorze panującym w Generalnym Gubernatorstwie. Profesor jest Polakom niezmiernie przychylny, jego głos liczy się w szwajcarskiej opinii. Każdy więc, kto może dokładnie zrelacjonować sytuację w okupowanym kraju, winien być u profesora. Relacje osobiste mają wartość większą niż jakiegokolwiek dokumenty.

– Pojedziemy tam razem – zaproponował Zdanowicz – wcześniej rano, szybkim pociągiem elektrycznym, wieczorem powrót.

Bogdan zaoponował: chce wybrać się sam. Nic mu tutaj nie grozi. Chciał być sam – i sobą. W kieszeni znów miał cudze dokumenty, lecz zdawało mu się, że po raz pierwszy od chwili ucieczki z obozu jest sobą. W Szwajcarii czuł się bezpieczny – wyrwał się z niemieckiego kręgu. Jak gdyby już wygrał swoją własną wojnę z Trzecią Rzeszą. Pragnął pełnej swobody. Sam pojedzie, sam wróci. Sam!

Przyglądał się krajobrazowi przesuwającemu się za szerokim oknem. Siedząc wygodnie na miękkiej kanapie pierwszej klasy, powoli przenosił wzrok to w lewą, to w prawą stronę.

Nagle drgnął.

Pustym korytarzem pulmana szybko przeszła kobieta. Idąc zwrócona była twarzą do okien, ale zdawało mu się, iż w tym jednym, jedynym momencie, gdy właśnie mijała jego przedział, jakby leciutko odwróciła głowę. Dostrzegł ją w ostatniej chwili, gdy już znikwała za szybą przedziału.

Znowu?! Tutaj?

Trop w trop za nim...

W roztargnieniu śledził samochód ścigający się z pociągiem na szosie równoległej do toru. Nie myślał o samochodzie, myślał o kobiecie, która mignęła mu na korytarzu. Skąd ona wie, że jedzie do Genewy, do profesora? Zmora nocnych snów stała się rzeczywistością.

Usłyszał pospieszny rytm kroków. Błyskawicznie odwrócił głowę i wydało mu się, że ta sama kobieta znów przemknęła przez korytarz. I po raz wtóry dostrzegł tylko jej znikającą sylwetkę.

Gdyby weszła?...

Usiadłaby... Spojrzeliby sobie w oczy... Odezwałby się pierwszy czy tylko by milczał patrząc na nią? Patrzyłby na własny cień, a cień siedziałby bez słowa. W snach, upartych, męczących snach, nie odzywała się nigdy, najkrótszym słowem, bowiem każde by ją mogło zdradzić, wydać, rozświetlić tajemnicę uporczywego pościgu za nią.

Więc siedzieliby w milczeniu. Nie mógłby jej przecież wyprosić z przedziału, każdy ma prawo jeździć szwajcarskimi kolejami, jeżeli wykupił bilet. A gdyby coś powiedziała? Po polsku, oczywiście po polsku... Odpowiedziałby jej: „Nie znam pani...” – odpowiedziałby po niemiecku, skryłby się za zasłoną niemieckiego języka, którym każdy teraz rozmawia w tej części Europy. „Nie znam pani, to nieporozumienie, pani mnie bierze za kogoś zupełnie innego, pani pojawia się w moim przedziale i atakuje mnie swymi pytaniami, pani mnie zaczepia, pani jest źle wychowana, pani zachowuje się co najmniej niewłaściwie, pani...” Mnożyłby

wyraży oburzenia, byle tylko stanowczo zaprzeczyć jakiemukolwiek związkowi z osobą, którą zna doskonale, a która ściga go po całej Europie. Odpowiedziałaby po niemiecku, że jednak musi mu coś zakomunikować, że bez względu na to, czy on jest tym, kogo szuka, czy też kimś zupełnie innym, ona musi mu coś powiedzieć... Będzie się bronił: nie chcę nic od pani słyszeć, pani jest dla mnie najzupełniej obcą osobą, nie mam zwyczaju rozmawiać z obcymi, którzy zaczepiają mnie na ulicy czy w pociągu... To już powinno jej wystarczyć! Powinna poczuć się dotknięta, urażona, zerwać się i uciec z tego przedziału... Lecz ona jeszcze zatrzymuje się w drzwiach, już chwyta za klamkę, a jeszcze wraca ku niemu... Czego ona chce? Ten przeklęty sen jakoś nie może się skończyć... Przecież zbudzi się wreszcie i wszystko to minie... Ona jeszcze się cofa i mówi coś ostro, w pasji wyrzuca słowa, których on początkowo nie rozumie. Czuje, że śpi, że zaraz się obudzi, że to tylko jeszcze jeden sen... Wie, że śni, śni o swych snach... Ona pochyła się ku niemu, jej twarz wypełnia cały przedział, zawisa nad nim jak pajak nad ofiarą, i woła gniewnie, po polsku; „Nie wiem, kim jesteś, ale jeżeli możesz mnie zrozumieć, jeżeli chcesz mnie zrozumieć, jednego tylko bądź pewny: nie bój się mnie! nie bój się mnie!”

Już jej nie ma. Otrząsnął się. Dreszcz spłynął po karku. Wskoczył z przedziału na korytarz i znowu wydało mu się, że w drzwiach dzielących od siebie dwa wagony, tam gdzie przejść można po pomoście osłoniętym harmonijką z czarnego materiału, znika ta postać kobieca.

Wrócił do przedziału. Chwycił płaszcz, kapelusz i ruszył korytarzami w stronę przeciwną niż ta, w której zniknęła kobieta. Kobieta, która była czy nie była w jego przedziale? Mówiła coś do niego czy też to wszystko było złudzeniem?

Pociąg hamował przed zwrotnicami. Wkrótce wpadł na peron i zatrzymał się pod oszklonym dachem. Bogdan wysiadł i stanął tuż przy stopniach ostatniego wagonu – nawet wychylając się z okna, gdzieś z przedziału, nie mogłaby go tutaj dojrzeć. Gdy po minucie pociąg ruszył, Bogdan odwrócił się tyłem.

Lozanna! Przyglądał się pasażerom, którzy wysiadłszy z pociągu szybko znikali w podziemnych przejściach. Nigdzie jej nie było. Pojechała do Genewy? Tam będzie czekać na niego?

Wrócić do Berna? Opowiedzieć wszystko Zdanowiczowi? Wzruszy ramionami i powie tylko: „Jednak szkoda, że nie pojechalibyśmy razem! Profesor na pana czekał, nawet telefonował zniecierpliwiony...”

Krażył po dużej, ruchliwej stacji. Odnalazł rozkład jazdy. Za pół godziny pociąg do Berna, za godzinę do Genewy. Sprawdził starannie: następny pociąg nie jest ekspresem, zatrzymuje się na wszystkich przystankach. Również i na przedmieściu Genewy.

Przepuścił pociąg do Berna. Wsiadł do genewskiego.

– Przyklekli, mieli czapki w dłoniach, a on, starzec siwiuteńki, ze strzechatą czupryną i długimi zwisającymi wąsami, kładł swe suche, drżące dłonie na ich pochylonych jasnych głowach, duże pojedyncze łzy kapały mu z oczu. My oboje z Zosią, wnuczką patriarchy – jeszcze dzieci przecież, choć byłem od niej starszy – przycupnięci w rogu pokoju patrzyliśmy na tę scenę z takim samym przejęciem jak jej bohaterowie. Doskonale rozumiałem jej sens. Sierpień tysiąc dziewięćset czternastego roku. Świat już się krztusił wielką wojną, na polach Flandrii i Mazowsza już kotłowały się wojska, a my, w naszej cichej, spokojnej Szwajcarii, służącej Bogu i diabłu naraz, obliczającej swe nowe zyski, wszystko wiedzieliśmy z naszych doskonałych gazet. Byłem wówczas wyrostkiem, a ci dwaj młodzi ludzie tylko o parę lat byli ode mnie starsi. Studenci szwajcarskiej politechniki przyszli do sędziwego pisarza po błogosławieństwo. Pan już dziś nie potrafi sobie wyobrazić, kim był Teodor Tomasz Jeź dla tych młodych chłopców! Jego powieści pewnie ich już nudziły, należały do innej epoki artystycznych gustów, ale jego legenda żołnierska ciągle ich fascynowała. Może byli członkami jednej z tych tajnych polskich organizacji, w których przysięgano na imię Teodora Tomasza Jeża.

Stary pisarz płakał. Zosia płakała. Ja przygryzałem wargi. Pan się zdumiał, że tak dobrze mówię po polsku... Dziękuję za miły komplement, ale moja przyjaźń z pańską ojczyzną wtedy się właśnie zaczynała. Moi rodzice i on, prawie dziewięćdziesięcioletni polski pisarz, emigrant, mieszkali obok siebie w Lozannie. Przyjaźniłem się z Zosią i całymi godzinami słuchałem, coraz lepiej rozumiejąc, jak starzec opowiadał o swoich powstańczych bitwach. Opowiadał wspaniale! Był to czas, gdy co dzień wstając o trzeciej rano, pisał swój znakomity pamiętnik – profesor podszedł do półki i palcem dotknął trzech jasnobarzowych tomów. – Opowiadał nam, jak z tajnymi zleceniami przemierzał szlaki bałkańskie, wędrował ze Stambułu do Warszawy, emisariusz antycarskich spisków. To były lekcje języka polskiego. Starca odwiedzali inni Polacy, drzwi się w tym domu nie zamykały. Przychodził Sienkiewicz, przychodził Żeromski – ich chętniej młodzi czytali – lecz „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty”, jak pięknie napisał Mickiewicz, którego Jez tak serdecznie i do samej swojej śmierci nie znośli, był właśnie ten starzec z Lozanny. Dużo Polaków mieszkało wówczas w Szwajcarii, studiowali na naszych uniwersytetach. Opowiadali o zamachach na carskich urzędników, o bombach, które kobiety rzucały na policjantów i generałów. Z pana słów wnoszę, że wy czynicie to nieco inaczej: serie z broni maszynowej... Pan opowiada o uwolnieniu więźniów z karetki gestapo, tamci opowiadali nam, jak przebrany za żandarma bojownik wyprowadził z Pawiaka dziesięciu uwieczonych młodych socjalistów. Pawiak ciągle jeszcze stoi w Warszawie. Więzienia i kościoły zawsze stoją najdłużej... Każdy chłopak znajduje sobie bohaterów, którzy rozpalają jego wyobraźnię, łaknącą wielkich czynów. Moją wyobraźnię rozplamiali polscy bojownicy o niepodległość. Z czerwonymi uszami i przyspieszonym oddechem słuchałem o dziewczętach, które w gorsetach przenosiły tajną prasę, o drukarni nielegalnego „Robotnika”. Polska była dla mnie wtedy drugą ojczyzną, może nawet tą bardziej własną i bardziej prawdziwą, gdyż wymarzoną i wyśnioną. Jeżeli dziś uważam siebie za socjalistę, za gorącego sympatyka socjalistów, to dlatego, że socjalistami byli owi młodzi Polacy, którzy odwiedzali sędziwego Jeża, choć on sam zżymał się na te ideowe nowinki, zawsze wierny demokracji takiej, jaką dla Europy i dla swej własnej ojczyzny wymarzył Włoch Mazzini. Ci dwaj byli w pana wieku...

Niski, starszy mężczyzna, o dużej, czerwonej twarzy i siwych włosach, krążył po przestronnym pokoju, którego ściany zastawione były półkami; książki piętrzyły się na nich, leżały powrzucone byle jak, przewracane jedna na drugą. Dziesiątki książek zawałyły ogromne biurko zajmujące środek pokoju, pełno ich było na kominku, na fotelach, wszędzie. Nad kominkiem wisiał duży portret bardzo pięknej, młodej kobiety. Bogdan siedział naprzeciw tego obrazu, w głębokim, przepaścistym fotelu. W dłoniach trzymał kieliszek ze złotawym koniakiem, z maleńkiej filiżanki popijał gęstą kawę po turecku, którą przyrządził sam gospodarz i serdecznie zachwalał jako prawdziwą.

Jak wprowadzić profesora w mroczny labirynt okrucieństw popełnianych przez hitlerowców w dalekiej, okupowanej Polsce? Od czego zacząć? Od łapanek ulicznych, od egzekucji, od muru getta czy od informacji o stu pismach podziemnych i o siatce konspiracyjnej obejmującej cały kraj? Zaczął... od kawy.

– Pan, panie profesorze, powiedział akurat tak, jak zaczynają swe spotkania warszawiacy: ktoś podaje kawę, może kelnerka, a może gospodyni konspiracyjnego lokalu, i zapewnia: „Prawdziwa, z Lizbony!”

– Wiem, wiem – profesor zatrzepotał rękami. – Sam figuruję jako nadawca lizbońskich paczuszek dla dwustu chyba profesorów w Warszawie i Krakowie. Prosił mnie, abym użył swego nazwiska. Zgodziłem się oczywiście...

– Kawę wysyłają żołnierze z Anglii, pomagając swoim najbliższym. Kawa podreperowuje głodowy budżet w wielu domach, krzepi rozdygotane serca. Nigdy przedtem tak nie handlowano kawą prawdziwą, brazylijską, z Lizbony, i nigdy tyle jej nie pito. Powstały setki barów kawowych, maleńkich lokalików: pokój, pięć stolików, przy których żony i córki żołnierzy

wywiezionych do obozów, walczących za granicą lub w kraju, w konspiracji, podają swym gościom prawdziwą kawę. Przy kawie spotykają się konspiratorzy... Młoda kobieta nachyla się nad filiżanką z czarnym płynem ku młodemu mężczyźnie, cichym głosem informuje go o miejscu, dniu i godzinie zbiórki. Spotkają się nazajutrz. Mężczyźni przyjdą w luźnych płaszczach, lepiej maskujących ukrytą pod nimi broń maszynową i pistolety. Broń na to spotkanie przyniosą dziewczyny.. Przed paru godzinami wydobyły ją ze schowków w rozmaitych punktach miasta, przeniosły, mimo łapanek, wśród gęstych patroli niemieckiej policji penetrującej Warszawę. Dźwigały ją w torbach z podwójnym dnem lub w koszykach, zwyczajnie przykrytą sweterkiem, bluzeczką lub paroma główkami kapusty. Kobiety z niezmierną zręcznością potrafią oszukiwać żandarmów i wymijać patrole. Większe i cięższe pistolety automatyczne przewiezie rowerzysta czy ryksiarz w skrzynce umocowanej pod siedzeniem. Podczas spotkania broń zostanie rozdzielona i młodzi ludzie pojedynczo będą wymykać się na ulicę. Rozstawią się na chodnikach, będą udawać przechodniów i gapiów. Nagle dziewczyna na dalekiej czujce podniesie rękę, jej znak powtórzy inna młoda kobieta, potem jeszcze inna poprawi beret, gest wykonany przez czwartą czujkę tego łańcucha obserwatorów będzie już przeznaczony dla zamachowców. Stare auto; gruchot z niemieckim napisem stojący przy chodniku, nagle ruszy, by znieruchomieć na samym środku jezdni, tuż przed pędzącym mercedesem. Mercedes musi hamować. Młodzi chłopcy wyskakują jak spod ziemi, atakują hitlerowskie auto. Ostra strzelanina. Przechodnie przypadają do ścian, kryją się po bramach. Któryś z chłopców strzela hitlerowskiemu dygnitarzowi prosto w serce. Niemcy z obstawy ostrzeliwiają się w obronie. Hitlerowiec leży na bruku. Zamachowcy rozbiegają się. Wyją syreny gestapowskich aut, pędzących z daleka na pomoc. Dziewczyny, wyszkolone na tajnych kursach pielęgniarskich, unoszą rannych kolegów. Ulica pustoszeje i cichnie równie nagle, jak nagle rozbrzmiała hukami strzałów. Wyrok Polski Podziemnej został wykonany... A zaczęło się od paru spotkań przy kawie, od rozkazów powtórzonych szeptem lub zapisanych na skrawku bibułki, od parosobowego zespołu młodych ludzi, którzy w mieszkaniach swych rodziców tygodniami ćwiczyli przebieg tego zamachu, atak, obronę i odskoczenie. Jednocześnie inne młode dziewczyny cierpliwie obserwowały ulice, którymi zwykł przejeżdżać dygnitarz hitlerowskiej policji, ustalały godziny, badały siłę obstawy...

Profesor słuchał uważnie, z bolesnym grymasem na twarzy – bohaterowie jego młodości!

– Panie profesorze, czy pamięta pan ulicę Marszałkowską?...

Miał prawo zadać to pytanie, wiedział, że gospodarz tej willi wielokrotnie bywał w Warszawie. I ciekaw był nade wszystko, jak dawno Bogdan opuścił Warszawę. Zdanowicz przykazał mu nie zdradzać szczegółów przebytej drogi. Skłamał więc gładko: przed paru dniami! Lecz zaraz opanowały go wątpliwości czy słusznie zrobił? Wiadomości z Warszawy powinny być wprawdzie jak najbardziej aktualne, ale szybkość przebytej drogi dowodzić mogła tylko jednego; braku przeszkód ze strony Niemców. Trzeba było raczej opowiedzieć Szwajcarowi, z jakim trudem przewyciężał i pokonywał każdy etap, jakich przygotowań wymagał każdy odcinek drogi – dopiero wtedy uzmysłowiłby mu trud ucieczki z obozu, jakim było Generalne Gubernatorstwo. Tego wszystkiego nie wolno było powiedzieć.

– Czy pamięta pan ulicę Marszałkowską?

Potwierdzający szept.

Zaczął więc opowieść o Marszałkowskiej, o ulicy poszczerbionej ruinami, zatłoczonej przechodniami, z których każdy załatwia dwie pilne sprawy swej codzienności: konspiruje i handluje. Handluje, aby żyć. Konspiruje, bo nie godzi się, bo nie chce godzić się z terrorem i upodleniem.

Marszałkowską pospiesznie wędrowali ludzie niosący codzienną, skromną porcję towaru: sweterek przez starszą panią zrobiony na drutach przy złym świetle karbidówki, pudełko ciastek wypieczonych w domowej kuchence dla dalekiego baru kawowego, zagraniczne pończochy, paczuszkę kawy przysłanej z Lizbony. Przechodnie na Marszałkowskiej! Łączniczka

niosąca na punkt konspiracyjny codzienną porcję wąskich bibulek z zaszyfrowanymi rozkazami i meldunkami oraz paczuszkę z nielegalną prasą – tego nie można przesłać pocztą, to musi być doręczone z ręki do ręki. Chłopak idący na zbiórkę oddziału konspiracyjnej armii. Ludzie ukrywający poszukiwanych przez gestapo Żydów, uratowanych przed śmiercią w getcie. Literat, który dziś w nocy napisał artykuł, aby podtrzymać na duchu mieszkańców tego miasta zagrożonych codziennymi egzekucjami, schował kartki maszynopisu w podwójną okładkę książki, odda ją komuś, kto przekaże ją jeszcze dalej, aż trafi do rąk redaktora i zecera jednej z wielu konspiracyjnych gazetek. Setki, tysiące uczniów tajnych kompletów gimnazjalnych i uniwersyteckich... Na murze czarną farbą wymalowano kotwicę – znak Walczącej Polski Podziemnej. Dziś nad ranem stłuczona została witryna w zakładzie fotografa, który wystawił zdjęcia Niemców w hitlerowskich mundurach. Krzyk, przeraźliwy alarm. Przejechało auto z niemieckimi żołnierzami, zahamowało i kilkunastu zielonych zamknęło w poprzek ulicę. Łapanka, polowanie na ludzi! Przechodnie nurkują w bramy, na schody, na strychy. Otwierają się drzwi obcych mieszkań, by dać schronienie komuś, kto tego potrzebuje. W nocy, po godzinie policyjnej, przy zaciemnionych oknach, każdy budząc się nerwowo nasłuchuje, czy przed bramą jego domu zabrzmi wizgot hamującego auta. Martwiejąc ze strachu, ludzie liczą: do których drzwi, na którym piętrze, wpadną Niemcy? Krótkie westchnienie ulgi: jeszcze nie do nas, jeszcze nie po syna czy córkę, jeszcze darowano nam tę noc i być może jutrzejszy dzień.

Bogdan opowiadał. Profesor słuchał. W jego bibliotece było bezpiecznie i zacisznie. Nagle Bogdan pomyślał, że to, co mówi, składa się ze zdań i pojęć wzajemnie sobie zaprzeczających, prawie każde zdanie przeczy poprzedniemu i następnemu. Miał wrażenie, jakby między nim a tym siwym człowiekiem znajdowała się szklana szyba, dostatecznie cienka, by każde słowo było słyszalne, i dostatecznie gruba, by sens tych słów był zupełnie niezrozumiały. Pomyślał: „On mi po prostu nie wierzy!”

Gdy w listopadzie 1939 roku uciekł z kraju i po paru tygodniach znalazł się wśród żołnierzy polskich w bretońskim Coëtquidan, opowiadał im o pierwszych tygodniach okupacji w Warszawie, o godzinie policyjnej, o człowieku bez żadnej przyczyny zastrzelonym na ulicy, o pierwszej konspiracyjnej gazecie. Ludzie, którzy granicę węgierską przeszli tylko trzy miesiące wcześniej od niego, nic z tego nie rozumieli, chcąc przecież zrozumieć wszystko. Bywają doświadczenia, których drugi człowiek nie zrozumie nigdy. Czy potrafisz komuś, kto przez całe życie posługiwał się tylko prawdziwym nazwiskiem, wytłumaczyć uczucie strachu ogarniające w momencie, gdy twój fałszywy paszport przegląda uzbrojony hitlerowiec? Czy ktoś, kto nigdy nie pracował w konspiracji, może pojąć jej sens? Czy zatem można logicznie wyłożyć tę przewrotną zależność między stale rosnącym terrorem – a więc i strachem człowieka bojącego się cierpienia i śmierci – a jednocześnie rosnącą w tym samym człowieku przemożną pasją oporu wobec przemocy i gwałtu, coraz potężniejszą wolą przeciwstawienia się złu, które godzi w moją ojczyznę, w moją rodzinę, i wrogowi, który chce uczynić ze mnie niewolnika? Jeżeli okupant dokonuje krwawych zbrodni – wydaje się temu, kto sam nie przeżył upodlenia okupacji – to przerażeni ludzie winni być coraz bardziej posłuszni. Jeżeli natomiast prawdą jest, że w Warszawie działa kilkadziesiąt tajnych drukarni, że w całym kraju toczą się walki partyzanckie, że wykonywane są wyroki na Niemcach, to – zgodnie z logiką człowieka żyjącego w normalnym świecie – terror zaborcy nie jest pewnie zbyt groźny. Albo terror – więc strach paraliżujący wszelki opór. Albo konspiracja, więc rządy liberalne i wyrozumiałe... A tymczasem istnieje ścisła zależność zupełnie odwrotna. Im większy terror, tym większa nienawiść do hitlerowskich zbrodniarzy, a ta nienawiść ustokrotnie woli walki.

– Nie wiem, czy pan profesor dobrze mnie rozumie? – zapytał po prostu.

– Rozumiem – profesor spojrział Bogdanowi w oczy. – Dlaczego miałbym nie rozumieć? Pan mówi wyraźnie.

– Nie chodzi o słowa. Czy pan rozumie to, co najważniejsze... że taka konspiracyjna walka

może istnieć przy takim terrorze? Czy pan nie myśli: albo terror, albo konspiracja?

– Czy ja tak myślę? – Profesor odgarnął z czoła zwichrzone włosy. Wziął kieliszek z koniakiem i odruchowo ogrzewał go w dłoniach. – Czy ja tak myślę? Nie! Ja tak myślałem, nie ja jeden zresztą, gdy w tym fotelu zaczęli siadywać pierwsi ludzie przybyli z Warszawy, jeszcze w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym roku. Potem zrozumiałem na nowo: wystarczy odczytać dzieje którejkolwiek rewolucji, by doskonale pojąć mechanizm terroru i walki, jaką rodzi opór. Ale ja zadaję sobie, proszę pana, zupełnie inne pytanie: czy wy tam, w Warszawie, w te długie noce oczekiwania na odgłos hamującego samochodu, naprawdę wierzyacie, że nasz świat, nasz wolny świat, jak go nazywacie, rzeczywiście tak bardzo przejmuje się waszą walką i waszym cierpieniem?

– Jak to... przejmuje się? – wybełkotał Bogdan nie rozumiejąc słów uczonego.

– O, niech pan spojrzy – profesor przerzucił stertę papierów leżących na dolnej półce – mam tu właśnie komunikat pewnego amerykańskiego instytutu badania koniunktur gospodarczych. Amerykanie oceniają, że gorsze odżywianie w okresie wojennym i większa śmiertelność wywołana chorobami zmniejszy stan zaludnienia w środkowej Europie o jakieś cztery, pięć procent... Gorsze odżywianie i choroby! Pan rozumie, co oni chcą wmówić swoim czytelnikom? W ten sposób kwestionują wszelkie informacje o terrorze hitlerowskim! Ludzi w Polsce nikt nie morduje, umierają sami, gdyż gorzej się odżywiają. Napisałem w oburzeniu list do redaktora biuletynu. List wydrukują, ale nie będzie miał najmniejszego wpływu na ich przekonania. Oni kwestionują terror niemiecki i potrzebę waszej konspiracyjnej walki. Czy pan wie, że Anglicy zabronili swym obywatelom, zamieszkującym okupowane przez Niemców małe wyspy na kanale La Manche, jakiegokolwiek działalności konspiracyjnej? Uważają bowiem za usprawiedliwione, jeżeli gestapo rozstrzela człowieka schwytanego z antyhitlerowską ulotką w kieszeni, i naturalnie lekceważą jakikolwiek wpływ tej ulotki na przebieg wojny. Oni nie mogą uwierzyć w oddziaływanie antyhitlerowskich tajnych gazetek, gdyż musieliby jednocześnie uwierzyć w oddziaływanie antybrytyjskich tajnych gazetek, ulotek lub chociażby nastrojów wśród ludności Indii czy jakiegoś kraju afrykańskiego. Wiedzą, że ich policjant, policjant brytyjski zabije człowieka, który w Indiach organizowałby powstanie przeciw Brytyjczykom. Może przesadzam... Oni takich Hindusów pakują tylko do więzień, gdyż wiedzą, że tą pozorną łagodnością zabezpieczają się przed ostrzejszym ich przeciwdziałaniem. Lepiej siedzieć kilka lat w więzieniu niż być od razu zabitym. Ale istota sprawy pozostaje nie zmieniona. Imperialiści, sami mając nieczyste sumienie, z oporem i niechęcią przyjmują do wiadomości zbrodnie Niemców... Pan się dziwi, że ja to mówię? Pod tym względem, jako Szwajcar, mam czyste sumienie. My nigdy nikogo nie prześladowaliśmy. W pojęciu Anglików tajna działalność antyhitlerowska liczy się tylko na odcinku wywiadu wojkowego...

– A sabotaże, a partyzantka, a wykolejone transporty?...

– Buchalteria wojenna mocarstw, które na wielu frontach angażują kolosalne siły, być może efektów tej walki nie docenia. A strat moralnych, jakie zadaje potędze hitlerowskiej wasza konspiracja, nie sposób obliczyć w żadnej skali znanych wartości fizycznych czy finansowych. Wasza podziemna walka jest potrzebna przede wszystkim wam, jest wam konieczna. Gdybyście biernie, bez oporu poddawali się hitlerowskim zbrodniom, nie mielibyście szacunku dla samych siebie. Kiedyś w Warszawie przyjaciele zaprowadzili mnie na sztukę Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka”. Rzecz jest romantyczna i patetyczna. Padają tam bardzo piękne zdania. Zapamiętałem sobie szczególnie jedno z nich: „Bo takie są moje obyczaje!” Wydaje mi się to dewizą człowieka, każdego człowieka, który chce o sobie myśleć z szacunkiem. Konspiracja polska jest realizacją zasady szacunku dla samego siebie. Pan mnie rozumie?

Bogdan powiedział: – Rozumiem.

Pomyślał jednak: „To wszystko jest znacznie prostsze. Oni nas napadli, więc musimy z

nimi walczyć. Obyczaje!... On jest moim wrogiem i albo ja go zabiję, albo on mnie zabije, po prostu...”

W hallu odezwała się kukułka. Za oknem było już ciemno. Bogdan spojrzął na zegarek: za godzinę ma pociąg. Profesor nalał jeszcze jeden kieliszek złotego płynu.

– Tamci dwaj byli w pańskim wieku. Pan też idzie teraz do wojska?

– Tak.

– *It's a long way to Tipperary...* – Profesor uniósł kieliszek. – Więcej nie trzeba mówić. Polski poeta napisał słowa najmądrzejsze: „Rzadko na moich wargach... jawi się... wyraz Ojczyzna”. Im mniej używa się wielkich słów, tym głębiej tkwią one w człowieku. *It's a long way...*

Bogdan wstał z fotela. Ten Szwajcar bardzo mu się podobał. Tręcili się kieliszkami.

Profesor podszedł do Bogdana, ujął jego głowę w obie dłonie, jakby przypomniał sobie pisarza, żegnającego przed laty, w Lozannie, dwóch polskich studentów.

– Pan wie, że do Szwajcarii przeszli z Francji polscy żołnierze. Przynieśli z sobą pieśń: „Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy...”

– „Wrócimy tam, wszyscy razem, i młodzi, i starzy...” – dopowiedział Bogdan zduszonym głosem. Ile już lat nie słyszał tej pieśni, która wtedy, we Francji, i teraz, zawsze powodowała skurcz krtani i wilgotnienie powiek.

– „Wrócimy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany...” – ciągnął Szwajcar w swej zabawnie akcentowanej polszczyźnie.

– „Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj kochany...” – dokończył Bogdan.

Szli razem przez pokój, przez hall, schodami, przez ogródek, w którym krzewy osłonięte były na zimę papierowymi chochołami. Milczeli. Tylko wielki owczarek, obudzony z długiej drzemki, wyszczekiwał pożegnanie gościa.

Cicho zamknęła się furka za Bogdanem.

Po paru krokach Polak odwrócił się. Profesor stał nieruchomo w świetle ulicznej latarni.

Zastanawiał się przez chwilę, w którą skrócić przecnicę. Te wille wśród ogródków tak były do siebie podobne! Niezbyt dobrze zapamiętał drogę. Aż trzema taksówkami przyjechał tutaj, do profesora. Pierwszą chwycił przed stacją podmiejską – dotarł nią do śródmieścia Genewy, przed Pałac Ligi Narodów. Stamtąd przeszedł kilka ulic, uważnie rozglądając się, czy nikt go nie śledzi. Wziął drugą taksówkę, kazał zawieźć się nad Rodan, do zupełnie innej dzielnicy. Po drodze mijali puste ulice – nie dostrzegł za sobą żadnego samochodu. Jeszcze raz zmienił taksówkę i polecił kierowcy zatrzymać się nie opodal willi profesora; podał adres zmieniony o parę numerów.

Wiedział, że teraz musi przejść szmat drogi, nim na ulicy bardziej ruchliwej zdoła znaleźć taksówkę – wojenne ograniczenia benzynowe utrudniały komunikację w mieście. Szedł szybko, nie mógł spóźnić się na dworzec. W Bernie Zdanowicz oczekuje go niecierpliwie.

Za sobą usłyszał kroki. Obejrzał się. Dwaj młodzi mężczyźni. Tylko oni dwaj i on na tej pustej ulicy. Poza tym nikogo. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, ruszył jeszcze szybciej. Skarcił sam siebie: bać się przechodniów?!

Odgłos hamującego auta. Duży osobowy samochód stanął przy chodniku. Szofer wychylił się, jakby chciał o coś zapytać.

Bogdan podszedł do auta. Kierowca po francusku spytał o dworzec kolejowy. Bogdan odpowiedział, że nie zna dokładnie drogi, ale... – chciał skorzystać z okazji, może ten człowiek go podwiezie? Dwaj przechodnie zatrzymali się tuż obok.

Nagle coś miękkiego, czarnego spadło mu na głowę i okleiło twarz. Krzyknął stłumionym głosem. Sięgnął po pistolet ukryty na brzuchu – miał już skrupowane ręce. Poczul, że traci przytomność. Leci gdzieś w próżnię. Dojrzał twarz Krystyny...

Nagi człowiek

– Karol Lipski – odpowiedział wyraźnie, patrząc nie tyle w twarz pytającego Niemca, co na portret Adolfa Hitlera wiszący na ścianie między dwoma oknami. – Karol Lipski – powtórzył, aby nie było żadnych wątpliwości dla nich ani dla niego samego.

Stało się – i nie pomogą żadne spekulacje. Mógł się pocieszać tylko długą linią życia na swej dłoni. Nie dopadły go psy podczas ucieczki z oflagu. Nie doczekali się nań żandarmi w mieszkaniu rodziców. Wymknął się Słowakom. Nie usidlił go w Wiedniu przebiegły prowokator. Schwytali go teraz, w tym „wolnym” kraju, w Genewie. I oto siedział na twardym stołku bez oparcia, ze wszystkich stron odkryty, wystawiony na uderzenia. Na kołnierzach mają czarne naszywki, na czapkach trupie główki. Jeden tkwi przed nim, za biurkiem. Dwaj inni ulokowali się na krzesłach po lewej i prawej stronie, nieco z tyłu, ale tak, że widział ich sylwetki i wysokie cienie na białych, pustych ścianach. Ostre światło lampy stojącej na biurku skierowano mu prosto w twarz. To światło wyodrębniło go jeszcze bardziej. Był więc sam – i nagi. Zupełnie nagi. Pierwsze polecenie, jakie otrzymał w tym pokoju, warknięcie rzucone zza biurka: „Rozbierz się!” Zdejmował płaszcz, marynarkę, spodnie – *Weiter! Weiter!*⁵⁶ – krzyczał Niemiec – koszulę, kalessony, skarpetki, buty... aż stanął przed nimi nagi. Oni w mundurach. Odrzucając koszulę poczuł, że jego bezbronność zwielokrotniła się – człowiek cywilizowany, obnażając się przy obcych ludziach, zwłaszcza przy ludziach w mundurach, pozbywa się ubrania niby skóry kryjącej go przed innymi, chroniącej jego tajemnice.

– Ręce do góry! – krzyknął zza biurka gestapowiec. – Wyżej! Prosto!

Bogdan podniósł ręce tak, jak w szkole na ćwiczeniach gimnastycznych.

– Przysiad! – komenderował Niemiec. – Ręce do góry! – darł się, gdy Bogdan zginając kolana odruchowo opuszczał ręce.

– Jeszcze raz! I jeszcze raz! – wołał. – *Noch ein Mal! Und noch ein Mal!*

Nagi mężczyzna uginał nogi i prostował, uginał i prostował, szybko, szybciej, raz po raz. Dyszał już ciężko. A Niemiec krzyczał: *Noch ein Mal! Noch ein Mal!* Nagle, gdy z największym wysiłkiem wykonywał któryś z kolei przysiad, poczuł mocne uderzenie okutego żołnierskiego buta z tyłu, prosto w krocze. Ból przeszył go aż po czubek głowy. Usłyszał: *Genug!*⁵⁷

Usiadł na twardym stołku, nagi. Zupełnie sam. Oni trzej poza kręgiem światła. Bał się ich, ale wiedział, że nie wolno mu się bać. „Bo takie są moje obyczaje!” – dźwięczały mu w uszach słowa profesora. Szczere czy obłudne? Były chwile, gdy myślał, że wydał go właśnie profesor. Po sekundzie to podejrzenie wydawało się absurdem i oszczerstwem. To ostatni egzamin życia, stąd nie ucieknie, już im się nie wymknie. Koniec!... Który to dzień, a raczej która noc? Pierwsza, druga, trzecia od tamtego wieczoru w Genewie? Za oknami ćma, mającą drzewa w cichym parku. Zdanowicz wie już wszystko. Iskrówki rozbiegły się po Europie. Zaalarmowano Warszawę i Londyn, że kurier wpadł. Już nie dojdzie... Przesunął językiem po zębach. Gdzie się znajduje: we Francji czy w Niemczech? Przecież nie w Szwajcarii...

Gdy wczoraj – czy dziś? – obudził się po długim śnie, leżał na wąskiej pryczy w ciasnej

⁵⁶ *Weiter!* (niem.) – Dalej!

⁵⁷ *Genug!* (niem.) – Dosyć!

celi. Cztery kroki wzdłuż, dwa w poprzek. Nad sobą ujrzał małą żarówkę upstrzoną przez muchy. Przed sobą – zarys drzwi z okrągłym judaszem pośrodku. W głowie mu huczało jak po wielkim pijaństwie. Z wysiłkiem usiadł na niskiej pryczy. Siennik był chudy i brudny. Koca żadnego. Bolały go mięśnie nóg i karku. Nie umiał przypomnieć sobie nic, co działo się od chwili, gdy spadła nań czarna zasłona. Areszt – to policja! Jaka policja? Szwajcarska? Zwlókł się z pryczy. Gdzieś pod sufitem umieszczone było okratowane okienko, od zewnątrz zamknięte żaluzją tak ściśniętą, że nie przenikał przez nią nawet promień światła. Dzień czy noc? Który dzień, która noc? Zdjęto mu z ręki zegarek. Zabrano rewolwer. Opróżniono kieszenie, zostały tylko dwie chusteczki. Podeszedł do drzwi i z całej siły uderzył w nie pięścią.

– Gdzie jestem? – krzyknął po francusku.

Na progu stanął niemiecki żołnierz.

– *Ruhe! Ruhe!*⁵⁸ – krzyk w odpowiedzi na krzyk.

Już wiedział, gdzie jest. To nie była szwajcarska policja. Wrócił na pryczę. Drzwi celi otworzyły się po raz drugi. Niemiec postawił przed nim miskę z wodnistą zupą, położył kawałek chleba i dwie białe pigułki na udartym skrawku gotykiem drukowanej gazety. Szczeknął:

– Zażyć po jedzeniu! – i z trzaskiem zamknął drzwi.

Bogdan zastanawiał się: lekarstwo czy trucizna? Czyżby chcieli go otruć bez przesłuchania? Mało prawdopodobne, choć byłby to akt miłosierdzia. A może – wyobrażał sobie – jakiś tajemny sprzymierzeniec pragnie i jemu oszczędzić cierpień, i wspólną sprawę zabezpieczyć przed dekonspiracją. W śledztwie można się załamać. A więc trucizna albo lekarstwo. Proszek przeciw bólowi głowy, przeciw zatruciu... Skąd lekarz tego aresztu wiedział, że pęka mu głowa? Wiedział! – gdyż po takim zatruciu musi pękać głowa. Jeżeli pastylka jest lekarstwem podanym przez gestapo, to znaczy, że chcą, by już teraz był zdrow i przytomny. Przytomnego wezmą na badania. Tak dla nich lepiej. A dla niego? Czy lepiej być przesłuchiwanym w stanie zamroczenia, czy pełnej świadomości? A jeżeli to trucizna?... Łyknął trzy łyżki zupy – ohydna, kwaśna. Odsunął miskę. Chleb czarny, więzienny, gliniasty, jak guma. Nie czuł głodu. Połknął dwie pastylki i popił zupą. Wyciągnął się na pryczy. Co teraz? Wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, luty... Pół roku. Koniec. A gdyby do Genewy wybrał się ze Zdanowiczem? Dopadliby go nazajutrz na ulicy w Bernie? Czyby go dopadli? Nie wychodził z domu wieczorami. Dwa razy tylko był w sąsiednim kinie. Jak dawno go już śledzili? Krystyna?...

Leżał na pryczy. Układał taktykę i strategię swych zeznań. Do czego wolno się przyznać? Co powiedzieć? Zapadał w drzemkę i budził się, półsen przechodził w półjawę. Głowa bolała go coraz mniej, lecz sen był coraz głębszy. O jakiejś nieokreślonej porze nocy – noc była za oknami, gdy prowadzono go przez korytarze i schody – żołnierz z hałasem otworzył cełę, potrząsnął śpiącym i krzyknął, że ma wstawać, iść. Puste schody, z piwnicy na drugie piętro. Puste korytarze pod półokrągłymi sklepieniami – szkoła lub może klasztor? Półmrok pokoju. Trzech Niemców. Na biurku przy lampie leżały pejcze, pałki gumowe, żelazny pręt obciążony skórą. Kasa pancerna. Na gołych ścianach jedyny portret: Hitler z podniesionym zaważdiacko kołnierzem.

Starął się być spokojny. Siedział na twardym stołku. Nagi.

– Ręce do góry! – krzyknął Niemiec. Znowu.

Bogdan podniósł ręce.

– Imię i nazwisko? – pierwsze pytanie. Gestapowiec trzymał w ręku dokumenty, wyjęte z kieszeni schwytanego. Szwajcarskie dokumenty.

– Karol Lipski – odpowiedział wyraźnie.

– To się okaże! – warknął prowadzący badanie. – Skąd?

⁵⁸ Ruhe! (niem.) – Spokój!

– Z Berna.

Zanieśli się chichotem. Wszyscy trzej. Pytający nie zadawał sobie trudu, by notować odpowiedzi.

– Z Berna – powtórzył i spokojnie podał wyuczony na pamięć adres polskiego internatu, którego lokatorem był Karol Lipski. Rechotali dalej.

– Karol Lipski! – pokrzykiwał gestapowiec spod portretu führera. – Oficer?

– Podchorąży – sprostował. Po co pytają, skoro wiedzą, że to wszystko nieprawda. Gra w kota i myszkę.

– Oficer czy żołnierz? – zasyczał pytający. Bogdan wiedział, że w armii niemieckiej nie uznawano podchorążych, traktowano ich jako żołnierzy.

– Podchorąży – upierał się. – Kandydat na oficera.

– A może od razu na generała? – roześmiał się gestapowiec. – U was każdy jest generałem. A więc generał Lipski mieszkał w Bernie, w internacie?

– Tak.

– W tym internacie? – gestapowiec sięgnął do szuflady biurka, wyjął dużą fotografię i podsunął przesłuchiwanemu. Bogdan skorzystał z okazji i opuścił rękę. Gestapowiec ryknął: – *Hände hoch!* Drugi Niemiec chwycił rękę więźnia, wyprostował ją ku górze i boleśnie wygiął. Trzeci złapał go za kark i przycisnął mu twarz do zdjęcia. – W tym internacie?

Bogdan rozpoznał siebie na czarno-białym kartoniku. Wychodził z bramy domu, w którym naprawdę mieszkał w Bernie. Tam już go obserwowali. Więc znali adres mieszkania wynajętego przez Zdanowicza. Kto zdradził ten adres? Właściciele mieszkania?

Milczał.

– Co robiłeś w tym domu?

Niemiec puścił jego kark. Bogdan wyprostował głowę.

– Już nie pamiętam... Wszedłem do bramy, na chwilę... poprawiałem skarpetkę...

– Dzień i noc poprawiałeś tę swoją przeklętą skarpetkę, tak?! – ryczał Niemiec. – Na trzecim piętrze, w mieszkaniu Sperlingów, wynajętym przez Zdanowicza z waszego biura... Tak?

Bogdan milczał. Czekał na dalsze pytania. Zorientuje się najpierw, co wiedzą Niemcy, dopiero potem będzie mógł obmyślić swoją obronę. Mimo poczucia beznadziejności nie chciał się poddawać, musiał tamtego prowokować do pytań. Milczał.

– A wiesz, że studentom – Niemiec ironicznie zaakcentował to słowo – polskim studentom w Szwajcarii nie wolno wieczorami wałęsać się po ulicach?

– Wy tłumaczę się władzom szwajcarskim.

– Szwajcarskim! – zbiorowy ryk śmiechu.

– Co robiłeś w Genewie? – spytał przesłuchujący.

– Odwiedziłem znajomego.

– Kogo?

Na to pytanie był przygotowany. Przemyślał je w celi. Jeżeli dopadli go niemal przed willą profesora, to wiedzieli, że był u niego. Musieli go śledzić – może od Berna. A może od dawna obserwowali willę profesora? Wiedzieli, że przychodzą tam Polacy. Zastanawiał się długą chwilę, by wyglądało na to, iż został zaskoczony.

– Byłem u profesora Jean Paul Canillaca.

– Pierwszy raz mówisz prawdę. Kto cię do niego posłał?

– Profesora Canillaca poznałem jeszcze przed wojną, w Warszawie. Miał wykłady na Uniwersytecie Warszawskim.

– Jesteś z Warszawy?

Karol Lipski mieszkał w Warszawie. W jego papierach był nawet adres: Krucza 33 m. 8.

– Z Warszawy.

– Gdzie mieszkałeś?

– Krucza 33, mieszkania 8.

Zachybotał się na krześle, opadły mu mdlejące z wysiłku ręce. Dostał w twarz, na odlew.

– Nie pytam, gdzie mieszkał Lipski, pytam, gdzie ty mieszkałeś!” – darł się Niemiec. – Ręce do góry! – i znowu cios pięścią w twarz.

– Krucza 33, mieszkania 8.

Gestapowiec stojący z prawej strony działał szybko, bezzwłocznie. Chwycił pejcz z biurka, Bogdan rozpaczliwie zasłonił się rękami. Giętka skóra trafiła w dłonie, szarpiącym językiem sięgnęła szyi, pleców. Zapiekło. Krew na palcach. Niemiec zza biurka krzyknął:

– Ręce do góry! – Nagi człowiek uniósł ręce do góry. – Imię i nazwisko?

– Karol...

Cios z lewej strony. Przez plecy. Uderzenie w nerki. Zakołysał się na krześle. Któryś szarpnął go za włosy. Znowu policzek. Bili go wszyscy trzej.

– A ten? Kto to jest?

Prowadzący przesłuchanie rzucił na biurko małą książeczkę. Paszport portugalskiego kupca z fotografią Bogdana, zostawiony w portierni wiedeńskiego hotelu. Głośno – kazali – przesyłabizował dobrze znane nazwisko:

– João Eduardo Godinho!

Ryk i uderzenie pejczem przez plecy, bok i brzuch.

– Zapomniałeś już? Czyja to fotografia?

– Moja... – trudno było zaprzeczyć.

– A kto ją wkleił do paszportu?

– Nie wiem...

Trzy pary rąk zepchnęły go na podłogę. Bili pięściami, kopali, deptali. Raz po raz czuł palące uderzenia pejcza. Niezręcznie próbował zasłaniać się przed ciosami. Kulił się. Zamykał usta – wciąż pamiętał o zębach.

Skorzystał z króciutkiej przerwy, skoczył na równe nogi i rzucił się na najwyższego, najstarszego rangą oprawcę. Całą siłą, boksem ciosem wyrzucił go w szczękę. Dwaj pozostali chwycili Bogdana za ręce, wykręcili je do tyłu, dłonie w przegubach spięli kajdankami. Przewalili bicie. Pchnęli go na stołek. Oblizwał wargi – lepka, słona krew. Krew na brzuchu, krew na piersiach. Skóra poprzecinana uderzeniami pejcza.

– Co robiłeś dziesiątego stycznia w kawiarni w Budapeszcie na placu... – Niemiec dokładnie cytował wszystkie okoliczności spotkania z Laufrem. Nie było sensu zaprzeczać.

– Widziałem się z Laufrem.

– Dał ci paczkę!

– Nie dostałem żadnej paczki – zaprzeczył. Oczekiwał ciosu. Nikt go nie uderzył. Gestapowiec wyjął z szuflady jeszcze jedną, dużą fotografię. Podsunął więźniowi.

Zdjęcie, bardzo wyraźne, przedstawiało Bogdana odbierającego od Laufra paczkę.

– Oddałeś ją pułkownikowi Romaszewskiemu?

Więc znają pułkownika. To chyba o niego chodzi? W Budapeszcie nikt nigdy nie wymienił tego nazwiska. Paczkę oddał jednej z pań. O tym nie wiedzą? Czy pułkownik został aresztowany? Przed dwoma tygodniami Japończyk zapewniał, że wszystko w porządku. Ale to było dwa tygodnie temu... Zdanowicz też nic nie mówił. Ale to było... ile dni temu?

– Nie znam pułkownika Romaszewskiego.

– Więc komu przekazałeś paczkę?

Milczenie.

– To może jednak Laufer nie dał ci żadnej paczki? Może nie pojechał z tobą do Wiednia? Może nie byłeś razem z nim w hotelu?

Bogdan milczał.

– *Herein!*⁵⁹ – ryknął gestapowiec w stronę drzwi sąsiedniego pokoju. Ktoś za nimi czekał.

⁵⁹ *Herein!* (niem.) – Wejść!

Jeszcze jeden esesman. Otto!

– Ten? – gestapowiec pejczem wskazał nagiego człowieka w kajdankach, siedzącego na stołku.

Niemiec podszedł bliżej i z namysłem przyglądał się skrwawionej twarzy więźnia.

– Ten – przytaknął – był z nami na kolacji. Udawał portugalskiego kupca. Przyprowadził go Laufer.

– Tego pana znasz? – pytanie skierowane do Bogdana.

Bogdan uniósł wzrok na Ottona. Lewe oko bolało go i przesłonięte było mgłą. Musieli je naruszyć. Milczał.

– Przystaniesz milczeć?! – krzyk gestapowca. – Ja ci każde słowo wyrwę obcęgami, ty parszywy psie! Co się stało z Laufrem?

Milczał.

– Kto udusił Laufra?! To są twoje odciski palców! – gestapowiec z furią wyrzucił z szuflady fotografie linii papilarnych, zaopatrzone w szyfr liter, cyfr i dat. – Wszędzie twoje palce! W pokoju, na ubraniu Laufra, na kołdrze. Wszędzie! – krzyczał. – Na portugalskim paszporcie, na kieliszkach w restauracji! My nie jesteśmy tacy durnie! Wtedy mogłeś uciec. Ale teraz się nie wymkniesz! Student uniwersytetu w Bernie? He, he, he! A wiesz ty chociaż, jak naprawdę wyglądał ten twój Lipski? Masz!

I znowu fotografie spadły na blat biurka. Tego człowieka Bogdan nie znał. Nie byli do siebie podobni. Czy go złapali, gdy wiał przez Francję? Zdanowicz mówił, że Lipski szczęśliwie dotarł do celu. Więc inwigilowali wszystkich Polaków w Szwajcarii?

– No, teraz, panie Lipski, a ściślej, panie Jerzy Kowalski... – usłyszawszy to nazwisko i imię Bogdan nawet nie drgnął; i tak wiedzą wszystko, cokolwiek wiedział Laufer. – A naprawdę to jeszcze inaczej... co? Teraz już będzie pan bardziej rozsądny i prawdomówny. My wiemy wszystko! Budapeszt, Wiedeń, mord popełniony na niemieckim obywatelu, fałszywe papiery w Szwajcarii... – gestapowiec ujął pióro, gotów notować.

Bogdan milczał. Palilo go całe ciało. Było mu straszliwie gorąco, mimo że siedział nagi. Duszno i coraz bardziej mroczno. Za chwilę znowu na niego natrą. Zarysowywał się już krąg ich wiedzy. Budapeszt, Wiedeń i Berno z Genewą. Laufer i Szwajcaria. Czy nic więcej?

– Imię i nazwisko?

Milczał. Nie wolno nic powiedzieć. Muszą go odesłać do celi. Musi mieć kilka godzin do namysłu.

– Imię i nazwisko? – raz jeszcze wrzasnął gestapowiec.

Nagi człowiek milczał.

Tamten dał znak. Rzucili się na niego. Dwaj asystenci i Otto z Wiednia.

Nie mógł się bronić, miał skute ręce. Spadł ze stołka. Tłukli go gumowymi pałkami. Bili pięściami. Krzyczeli coś. Nie bronił się, nadstawiał głowę pod uderzenia. Zaciskał tylko zęby. Chciał jak najprędzej stracić przytomność.

Zemdlał.

Przyznać się?

Trzy następne dni tkwił w maleńkiej, ciemnej celi, nie wzywano go na przesłuchania. Rytm dni wyznaczany był tylko schematem posiłków, nędznych, lecz regularnie podawanych. Nikt nie opatrywał jego ran – goiły się same; każdego ranka przemywał je wodą w miednicy wystawianej na korytarzu. Niemiecki strażnik po kolei otwierał cele – osiem ich było, jak naliczył Bogdan – wyprowadzał więźniów do ubikacji i do mycia. Poprzez drzwi celi Polak nasłuchiwał rozmów toczących się na korytarzu. Pytania i żądania wypowiedane były po francusku, krzykliwych odpowiedzi udzielano po niemiecku. Francuzi prosili o ciepłą wodę, Niemiec wrzeszczał, że mogą i nawet powinni myć się własnym łajnem, jeżeli woda im się nie podoba. Francuzi? Więc jest we Francji? Miednica pełna zimnej wody, zuchelek podłego mydła. Obmywał pęknięcia skóry na ustach, plecach, brzuchu, rękach. Na opuchnięte oko

przykładał chustkę zmoczoną w wodzie.

Trzy dni rozmyślał, leżał na pryczy i kombinował. Rozgrywał zawilą partię szachów, w której białymi i czarnymi polami była ich wiedza, już stwierdzona, i niewiedza, przynajmniej domniemana. Co wiedzieli na pewno? Czego mogli nie wiedzieć?

Dlaczego rozpytywali o Budapeszt, a pomijali Warszawę? Jerzego Kowalskiego nie znaleźli w rejestrze polskich uchodźców i na pewno zakładają, że w kontaktach z Laufrem posłużył się fałszywym nazwiskiem. Dojdą i do tej sprawy... Pytali o Romaszewskiego, ale Laufer nie znał przecież pułkownika. Czy Romaszewski to prawdziwe nazwisko? Niemcy byli tylko poinformowani, że taki istnieje, czy też znali go i wiedzieli o nim wszystko? Dziesiątki pytań, na które musiał znaleźć jakąś odpowiedź. Dlaczego jeszcze nie nagabują o Feliksa? Zapytają, na pewno zapytają. Co powinien im wtedy odpowiedzieć? Zaciąć się w upartym milczeniu czy wyjść naprzeciw z własną wersją wydarzeń? Dlaczego nie pytali o Wiedeń? Nic nie wiedzą o doktorze Jamatuno? Nie wiedzą, dlaczego Bogdan do Szwajcarii przyjechał dopiero w dwa tygodnie po ucieczce z wiedeńskiego hotelu? I jak przyjechał?

Myślał: czy wytrzyma kolejną dawkę tortur? Myślał: jak się przed nimi uchronić? Myślał: jak wybrnąć z pytań o Budapeszt, o Wiedeń, o Warszawę?

Czwartej nocy, w kilka godzin po kolacji, na korytarzu rozległy się szybkie kroki strażnika, klucz szczęknął w zamku i znowu niemiecki żołnierz poprowadził go przez puste korytarze. W tym samym pokoju ci sami trzej ludzie. Bez kurtek, w koszulach z podwiniętymi rękawami. Pejczy, pręty i sznury leżały już przygotowane. W rogu zmontowane było coś, czego trzy dni temu nie zauważył – gruba belka umocowana wysoko nad podłogą, na żelaznych prętach, przyśrubowana do sufitu.

– Imię i nazwisko? W Budapeszcie żaden Jerzy Kowalski nie figuruje w rejestrze polskich uchodźców!

Milczał. Stał. Nie krzydzeli, by usiadł, nie ściągnęli zeń ubrania. Stał i milczał – ci trzej wokół niego.

Uderzenie pięścią w twarz.

– Komu oddałeś paczkę od Laufra?

Milczenie.

Ostre światło znad biurka. Trzy cienie ogromniejące na ścianach. Portret Hitlera.

Chwycili go jednocześnie, wszyscy razem. Ręce do tyłu – sprawnie omotali je sznurem i zarzucili na belkę. Zrozumiał, do czego służy osobliwy przyrząd. Zawisł na ramionach wykręconych do tyłu – głową do przodu, plecy jak napięty łuk. Pierwszy cios żelaznym prętem. Nie mógł się uchylić, każdy ruch wyrывał barki ze stawów. Więc już? Już czas... Jeszcze chwila, jeszcze kilka uderzeń wytrzymał z zagryzionymi wargami.

– Już powiem! – ryknął straszliwym głosem.

Przerwali bicie, ale nie zdjęli go z szubienicy.

– Komu oddałeś paczkę?

– Krzemienieckiemu. Inżynierowi Krzemienieckiemu – charkotał, jęczał, jękał się, nim wymówił to nazwisko, jakby wyszarpywane spod samego serca. W tej pozycji nawet mówić było ciężko.

– Krzemienieckiemu? – zdziwienie w głosie gestapowca. – Kto to?

– Nie wiem... inżynier... Poznałem go w stowarzyszeniu węgiersko-polskim... On się mną opiekował... On mi wręczył portugalski paszport – mówił niemal łkając. – Nazywam się Bogdan Mayer. Podchorąży dwudziestego dziewiątego pułku piechoty we wrześniu 1939 roku, oficer drugiego pułku Pierwszej Dywizji Grenadierów Polskich we Francji. Byłem w niewoli niemieckiej. Trzeciego września zeszłego roku uciekłem z oflagu...

Efekt był natychmiastowy. Krzyk torturowanego człowieka zabrzmiał prawdziwą nutą. Gestapowcy mieli słuch wyrobiony. Zdjęli go z belki. Szybko zanotowali nazwisko, numer jeniecki, nazwy obozów, datę ucieczki. Odesłali do celi, na dół. Dali znowu trochę czasu, by

mógł wszystko przemyśleć, raz jeszcze. Teraz miał im opowiedzieć dzieje Bogdana Mayera.

Dwa śniadania, dwa obiady, dwie kolacje – i znowu szczęk klucza. Inaczej zgrzytał klucz, gdy strażnik otwierał celę w godzinach ustalonych regulaminem – inaczej, gdy wzywano więźnia na badanie.

Przed gestapowcem leżała depesza z komendantury obozu, potwierdzająca fakt ucieczki i rysopis podporucznika Mayera. Trzej oprawcy w mundurach. Narzędzia tortur schowane. Zniknęła umocowana u sufitu belka. Pojawił się stolik z maszyną do pisania. Trzeci Niemiec już trzymał palce na klawiaturze.

– Imię i nazwisko?

– Bogdan Mayer.

Zastukotała maszyna. Krótkie pytania – szybkie odpowiedzi. To lubili, widać było, że to lubią. Data urodzenia? Imiona rodziców? Adres: Warszawa, ulica Królewska. Student. Stopień wojskowy? Gestapowiec pokiwał głową i te same dane przysłano z oflagu. *Das stimmt!*⁶⁰ Okoliczności dostania się do niewoli? Okoliczności ucieczki?

Na możliwych do sprawdzenia faktach osnuł specjalną wersję własnej historii.

A więc – ucieczka przez rury kanalizacyjne. Razem z przyjacielem. Imię i nazwisko? Zgadza się – pochwalił gestapowiec. W lesie spotkali dwóch Anglików, Karola i Piotra. Nazwisk nie pamięta. Wędrowali nocami. Doszli na dawne polskie Pomorze. Śpiącemu na stacji żolnierzowi ukradł rewolwer. Tą bronią sterroryzował chłopów, którym zabrał cywilne spodnie.

Gestapowiec podsunął mapę: gdzie spotkali tych chłopów? Bogdan odnalazł nazwę stacji, na której wsiedli do pociągu, i przesunął całe wydarzenie bardziej na zachód.

Po spotkaniu z chłopami wędrowali jeszcze dwie noce, nim wsiedli do pociągu. Opisał ucieczkę i ujęcie Anglika. Im trzem się udało, pojechali dalej, do Łodzi. Piechotą doszli do granicy... Ryszard nie mógł zeznać nic innego. Długo leżeli w krzakach; w nocy, przez nikogo nie zauważeni, przemknęli się do Generalnego Gubernatorstwa. Dotarli do Warszawy. Ryszard został aresztowany, żandarmi czekali na niego w domu... *Das stimmt!*

Opisał dzień wędrowki z Piotrem po ulicach Warszawy. Z daleka obeszlą dom na Królewskiej. Łapanka! Podczas panicznej ucieczki zagarnął ich tłum, a gdy Bogdan znalazł się poza kręgiem niebezpieczeństwa, Anglika już przy nim nie było. Bogdan przespał noc na strychu jakiegoś domu przy Marszałkowskiej. Nazajutrz sprzedał kilka dolarowych banknotów handlarzowi, który zaczepił go na placu Napoleona. Kupił bilet do Zakopanego. Góry znał doskonale, ale bał się górali; już przecież w obozie słyszał, że to *Goralenvolk* – naród góralski, który tak lojalnie współpracuje z Rzeszą. Kupił plecak, trochę żywności i nocą, znanymi sobie ścieżkami, poszedł na słowacką stronę... Teraz następował najtrudniejszy moment – musiał rozciągać terminy tak, aby miesiące spędzone w Warszawie zniknęły w innym układzie wydarzeń. Długo więc koczował w lasach Słowacji, unikał osiedli, sypiał w krzakach. Jakieś chłopu sprzedał sygnet ojca i tak zdobył pieniądze na żywność. Aż pewnej nocy ruszył przez węgierską granicę. Już dokuczały chłody października. Ta droga była łatwa. Park w węgierskich Koszycach przylega do granicy...

A jeżeli Krystyna zdradziła im zupełnie inną wersję wydarzeń? Nie, dopóki przesłuchujący nie protestują, nie wolno mu podejrzewać Krystyny!

A więc przeszedł granicę pod Koszycami? Dlaczego tak daleko? Dlaczego przewędrował w poprzek całą Słowację? Bo tędy szedł przed trzema laty, zapamiętał drogę. Na Słowacji czuł się pewniej, rozumiał język, mógł się w razie czego dogadać. Na Węgrzech już nie. Na koszyckiej stacji wszedł pod wagon, ułożył się na podwoziu pulmana. Rano był w Budapeszcie. Przypomniał sobie 1939 rok, bez kłopotu trafił na *Váci utca*, tam gdzie dawniej był polski konsulat. Konsulatu nie odnalazł, ale jakiś Węgier powiedział mu po niemiecku, gdzie znajduje się biuro stowarzyszenia węgiersko-polskiego...

⁶⁰ *Das stimmt!* – (niem.) – To się zgadza!

Poszedł tam. Urzędnicze powiedział, że uciekł z Warszawy i pragnie dostać się do wojska. Roześmiała się: „Do wojska? Już dawno nikt stąd nie idzie do wojska! Może pan być skierowany tylko do obozu uchodźców”. W tym momencie ktoś położył mu rękę na ramieniu, odciągnął na bok i przedstawił się jako inżynier Krzemieniecki. Bogdan dokładnie opisał tego mężczyznę w sile wieku – chciał, aby każdy gestapowiec, który w ciągu ostatnich miesięcy miał do czynienia ze sprawami polskimi na Węgrzech, od razu poznał sylwetkę Feliksa, w tej chwili już, ze zmienionymi papierami, zanurzonego w burzliwych odmętach Warszawy; postać Feliksa odwracała uwagę od pułkownika... Ów inżynier Krzemieniecki poinformował go, że sprawę, o którą mu chodzi, można załatwić zupełnie, ale to zupełnie inaczej, i obiecał pomoc. Zaprosił do kawiarni, potem do restauracji, wreszcie zaprowadził do znajomych, u których znalazł się tapczan w cichym pokoju...

– Ich adres? Nazwisko? – natarł gestapowiec.

Bogdan spłoszył się, jakby zastanawiał się przez chwilę, czy może powiedzieć. Wreszcie wydukał ten adres, nazwiska nie pamiętał. Adres można sprawdzić – było to mieszkanie, z którego rewizja, „pomyłkowo” przeprowadzona za ścianą, u węgierskiego kupca, w ciągu paru godzin wyгнаła wszystkich Polaków. Bogdan wiedział, że nie ma tam już nikogo. Wiedział poza tym, że mieszkanie to jest znane węgierskiej policji i dawno zdekonspirowane.

Wyjawił więc adres. Wystukała go maszyna. Czekał na efekt: jeżeli ten Niemiec wie coś o sprawach Polaków w Budapeszcie, krzyknie, że to kłamstwo: *Das ist Lüge!*

Nie krzyknął. Opowieść toczyła się dalej. Przez długi czas nim się nie interesowano, inżynier czekał na stosowną chwilę. W styczniu wezwał go...

I znowu Bogdan ryzykował: w styczniu Feliks, do którego inżynier Krzemieniecki był tak podobny, siedział w areszcie na Hóorthy Miklós... Gestapowiec nie przerywał mu, nie protestował, nie zarzucał kłamstwa.

...Więc w styczniu inżynier wezwał Bogdana i w zamian za opiekę zażądał przysługi. Pójdzie do kawiarni, spotka się z niejakim Laufrem, zamiast pewnego ich człowieka, który musiał wyjechać z Budapesztu, odbierze paczkę i przekaże ją inżynierowi. Tak się też stało. Podczas tego spotkania Laufer zaproponował mu wspólną podróż przez Wiedeń do Szwajcarii... Trasa wydawała się tak wygodna, tak pewna... Ale w pokoju wiedeńskiego hotelu Laufer wyciągnął rewolwer i zażądał współpracy z gestapo. Bogdan – przyznawał teraz szczerze – zrozumiał, że Laufer jest agentem Niemców, że jego działalność zagraża Polakom w Budapeszcie... Laufer chciał strzelać, więc kopniakiem wytrącił mu rewolwer z ręki i zwarli się w bójce... Zdawało mu się, że tylko ogłuszył, że nie zabił przeciwnika... Gdy zawijał go w kołdrę i wpychał pod łóżko, by zyskać szansę ucieczki, Laufer żył jeszcze... Trzy dni wałęsał się po ulicach zniszczonego bombami Wiednia. Pomagał ratować rannych, przynosić zabitych. Razem z tymi, którzy utracili dach nad głową, sypiał w prowizorycznych barakach, żywił się w publicznych kuchniach – powtarzał reportaże przeczytany w gazecie, przyniesionej mu przez doktora Jamatuno. Aż zdołał ustalić trasę prowadzącą do granicy szwajcarskiej. Przesiadając się na kilku stacjach, dojechał do Tyrolu i którejś nocy przeszedł granicę. Zgłosił się w Bernie u pana Zdanowicza – tak polecił mu inżynier Krzemieniecki. Zdanowicz ulokował go w mieszkaniu państwa Sperlingów i dał papiery Karola Lipskiego. Pojechał odwiedzić profesora Jean Paul Canillaca...

Maszyna wystukała ostatnie słowo.

Nie zadawali mu więcej pytań. Gestapowiec wezwał konwojenta.

Wracał do celi przez puste korytarze. Za oknami szarzał rozpoczynający się dzień. Opowieść była bardzo długa... Bajki Szecherezady też kończyły się nad ranem i odwlekały chwile egzekucji.

I znowu zamknięto go w grobie pozbawionym światła. Co dzień oczekiwał dalszych badań, ale nie wzywano go. Całymi godzinami leżał na brudnej pryczy i rozmyślał. Czy dobrze postąpił komponując taką bajkę? Na razie uniknął tortur, które mogły go załamać, ale otwo-

rzył im listę faktów i pytań, więc tortury zaczną się od nowa. Padną teraz pytania, na które nie będzie mógł dać żadnej odpowiedzi. A wtedy?

Rany się goiły. Znikały sińce. Trzynaście kresek wydrapał na ścianie. Trzynaście dni minęło od ostatniego przesłuchania.

Nagle, tuż po śniadaniu, zaskowyczał klucz w drzwiach celi. Bogdan zerwał się z pryczy – o takiej porze? Dotychczas wzywali go nocą, po kolacji... Przejął go strach przed pałką, pejcem, przed nowymi torturami.

Niemiecki strażnik kazał mu wziąć palto. Z czterech dalszych cel wyprowadzono czterech mężczyzn. Patrzyli na siebie pełni niepokoju.

Wyszli prosto na dziedziniec otoczony arkadami. Czekala tam ciężarówka przykryta brezentową budą. Strażnicy założyli im kajdanki.

– Do Niemiec... – jęknął młody Francuz. To było gorsze niż badanie.

Ruszyli. Górską drogą pięła się i opadała. Mijali francuskie wsie i niemieckie drogowskie wojskowe.

Z tyłu, przy kłapie, siedzieli dwaj żołnierze, na kolanach trzymali gotowe do strzału automaty. Drzemali jednak, jak drzemiał ludzkie znużenie wojną i służbą w przyfrontowym garnizonie. Bogdan ulokował się tuż koło nich. Trzeci konwojent, komendant transportu, jechał obok szofera.

Samochód zwalniał. Droga prowadziła pod górę, przez gęsty las. Wkrótce zapewne miną granicę Trzeciej Rzeszy. Tam już znikąd nadziei, znikąd pomocy! Więc póki jeszcze są we Francji...

Bogdan uniósł ku górze obie żelazem skute dłonie i z całej siły, jak mógł najmocniej, rąbnął stalowymi kajdanami w skroń hitlerowskiego żołnierza. Niemiec zakolysał się i bez jęku – z drzemki w omdlenie – runął na ławkę, wypuszczając automat.

Francuzi mieli refleks błyskawiczny. Nim Bogdan krzyknął: „Uciekać!”, nim drugi Niemiec otrząsnął się i zdążył unieść pistolet, już cios kajdanami w głowę wyeliminował go z walki.

Pięciu młodych ludzi przetoczyło się ponad kłapą ciężarówki. Niezgrabnie padali na drogę. Skute dłonie utrudniały im ruchy.

Szofer już hamował. Podoficer wyskoczył z szoferki i pruł z automatu do uciekających.

Padali, zrywali się, susami pędzili w las. Francuzi pierwsi, Bogdan za nimi, kulejąc. Czuł ostry ból w prawej stopie – skręcił ją przy skoku. Francuzi oddalali się, on zostawał w tyle.

Hitlerowiec bił szerokimi, szybkimi seriami. Po szosie, po drzewach, po krzakach.

Bogdan biegł z wysiłkiem – w las, przez rów, między drzewa... Nagle zatoczył się. Upadł. Próbował wstać, poderwać się... na próżno. Nogi odmówiły posłuszeństwa.

Ostatni Francuz zniknął wśród drzew.

Bogdan leżał na skraju lasu, z twarzą wtuloną w świeżą wiosenną trawę.

Doskoczył niemiecki podoficer. Kolbą automatu zdzielił go w głowę.

Ostatnia nadzieja

– *Achtung! Achtung!*⁶¹ – krzyk jak syrena alarmowa przeniknął cały szeroki korytarz szpitalny. Więźniowie, sanitariusze, lekarze – zdrowi i chorzy, leczący i leczeni – usuwali się ze środka na obie strony i odwracali twarzami do ściany. Ludzie na korytarzu ostrzegani byli szczekliwym, urywanym: *A-tung! A-tung!* – głoska „ch” zanikała gdzieś w krtani esesmana. Nikt nie miał prawa widzieć, kogo akurat wiozą na salę operacyjną.

– Do ściany! – ryczał esesman eskortujący Polaka. Wsparty na kulach, poruszający się z niezmiernym trudem Bogdan znieruchomiał, ponaglany okrzykami strażnika, którego zadaniem było uniemożliwić leżonemu więźniowi jakiegokolwiek kontakt z innymi chorymi więźniami. Takie prawo wydało gestapo – święte i najwyższe prawo!

Bogdan najchętniej oparłby czoło o gładką, szarawą ścianę korytarza i odpoczął po swej mozolnej wędrówce. Był jeszcze bardzo słaby, choć w tym szpitalu chorych starannie leczono, by mogli o własnych siłach stanąć przed plutonem egzekucyjnym. W Trzeciej Rzeszy chciano rozstrzeliwać ludzi zdrowych.

Od paru dni już wstawał i opierając się na kulach, niezręcznie przesuwając obandażowane nogi. Tydzień temu po raz pierwszy lekarz kazał mu usiąść na łóżku i opuścić obie stopy. Niechętnie unióś się z poduszek – każdy dzień choroby odwlekał katastrofę. Każdy dzień, z którym odzyskiwał sprawność szybko gojących się nóg, przybliżał najgorsze. W otwartych drzwiach separatki esesman przyglądał się z ironicznym uśmiechem, jak Bogdan wypracowywał swe pierwsze kroki, na nowo uczył się chodzić. Sanitariusz masował przestrelone kolano, uda i łydki, gimnastykował pacjenta, który wcale nie pragnął być zdrowy. Brakowało mu bodźców psychicznych skłaniających do wysiłku, szybko się męczył i z ulgą opadał znowu na materac. Zmuszono go wreszcie, by przeszedł od łóżka do gęsto zakratowanego okna, od okna do drzwi, za którymi czuwał wachmann⁶². Dziś rano kazano mu samodzielnie, o kulach, pokuśtykać przez korytarz do windy, winda zwiózła ich na pierwsze piętro; do rentgena trzeba było przejść jeszcze kilka metrów. To sprawiło mu niemałą trudność – z ulgą przystanął słysząc alarmujący krzyk esesmana.

– *A-tung! A-tung!* – wózek z chorym już nadjeżdżał.

Bogdan leciutko odwrócił głowę i kątem oka dojrzał szybko idącego esesmana w białym kitlu, jednego ze szpitalnych wartowników. Za nim sanitariusz popychał wózek. Bogdanowi wydało się, że leży na nim przykryta prześcieradłem kobieta. Spieszyli ku sali operacyjnej.

Ten duży, znakomicie wyposażony szpital w środkowo-wschodniej Francji zajęty był przez gestapo. Przysyłano tutaj rannych i chorych z aresztów i więzień całego kraju. Część personelu lekarskiego i sanitarnego stanowili również więźniowie.

Wózek przejechał, na korytarzu znów zapanował zwykły ruch. Strażnik ponaglił Bogdana – Polak niechętnie odwrócił się od ściany i z wysiłkiem podjął swój marsz.

– *A-tung! A-tung!* – nagle zabrzmiało tuż za nimi. Już drugi wózek jechał do sali operacyjnej. Gorący dzień! Bogdan chciał odejść na bok, pod ścianę, ale pośliznął się, unióś ręce jak człowiek łapiący równowagę, wypuścił kule i osunął się na ziemię tuż przed nadjeżdżającym

⁶¹ *Achtung!* (niem.) – Uwaga!

⁶² *Wachmann* (niem.) – strażnik, wartownik.

wózkiem.

Esesman i sanitariusze stanęli, pochyłili się nad Bogdanem. Dźwigali go, podawali kule. Wymyślali, przeklinali, grozili.

Wyprostował się, stanął o własnych siłach. Czuł przejmujący ból w udach i łydkach. Spojrzał na wózek. Leżała na nim kobieta, po samą brodę przykryta białym prześcieradłem.

Twarz blada, wychudła, rysy zaostrome cierpieniem: cienki, duży nos uwydatniał się jeszcze bardziej. I oczy – bystre, przenikliwie patrzące, przytomne, czujne oczy.

Ona!

Spotkali się oczami – przez twarz jej przemknął leciutki uśmiech, drgnęły powieki, ożywiły się źrenice.

Poznała go – i on ją poznał.

Przed kawiarnią w Budapeszcie nie zareagowała na jego widok. W szatni wiedeńskiej restauracji nie zauważyła go lub zauważyć nie chciała. Teraz zobaczyła, poznała – i Bogdan dostrzegł to w jej oczach.

Sekunda, moment, chwila.

Odsunęli go, wózek potoczył się dalej. Zniknął za białymi lakierowanymi drzwiami sali operacyjnej.

Bogdan nie słyszał ponagleń strażnika, wpatrywał się w tamte białe drzwi. Wreszcie ruszył, ledwo wlokąc obolałe nogi. Rentgen na szczęście był już blisko.

Esesman pogardliwym mruknięciem zgłosił lekarzowi chorego – Niemiec nie musiał respektować francuskiego doktora. Musiał natomiast respektować regulamin szpitalny, został więc za drzwiami gabinetu.

Pacjent, sanitariuszka i lekarz – sami. Doktor wskazał choremu długi, szeroki stół pod zwisającą kulą aparatu.

– Proszę się rozebrać i położyć.

Z pomocą sanitariuszki Bogdan zrzucił szlafrok, pidżamę i wgramolił się na obciążony ceratą stół. Lekarz przesunął aparat nad jego biodra, nogi i stopy.

– Już... – zarządził.

Światło zgasło. Nad drzwiami, od strony korytarza, zapaliła się czerwona lampka: nie wchodzić! rentgen pracuje!

Bogdan usłyszał szept tuż nad uchem. To mówił doktor:

– Aparat uruchomię za chwilę, teraz proszę odpowiedzieć na trzy pytania. Szybko, natychmiast!

– Tak – potwierdził Bogdan. Odwrócił głowę w prawo, skąd dochodził głos. Zabłysła mała ręczna latarka. Ujrzał skupioną twarz młodego doktora, który pochylając się nad kartką odczytywał pytania:

– Jeżeli jesteś Bogdan Mayer, powiedz, kto był zastępcą dowódcy plutonu łączności w waszym batalionie, w drugim pułku grenadierów, w maju 1940 roku?

Kto był zastępcą?... Ogarnęła go fala wzruszenia. Ten, kto podyktował Francuzowi to pytanie, musiał wiedzieć, że w maju, gdy już stali na przyfrontowych pozycjach w Lotaryngii, on właśnie został mianowany dowódcą plutonu łączności. Z dalekiego świata druh i przyjaciel sygnalizował Bogdanowi swą wiedzę i troskę. Drżał cały, gdy wyraźnie, szeptem odpowiadał doktorowi:

– Starszy sierżant Jan Gacek.

Lekarz zanotował odpowiedź. Padło drugie, szybkie pytanie:

– Co się stało z Piotrem Radomskim?

Bogdan zrozumiał: sprawdzano jego tożsamość, badano, czy nie jest niemieckim prowokatorem. Ani pierwsze, ani drugie pytanie nie miało związku z jego kurierską wędrówką. Ale jeżeli w ciemni rentgenowskiej leżałby człowiek podszywający się pod Bogdana Mayera, nie mógłby znać tych szczegółów dotyczących plutonu łączności trzeciego batalionu, drugiego

pułku, pierwszej dywizji...

– Zginął pod Baccarat, 18 czerwca, ciężko ranny w głowę... – wyszeptał jednym tchem.

– Kto to był „Wielbłąd”?

– Waclaw Rybarski, podporucznik w trzecim batalionie! – „Wielbłąd”? Co się z nim dzieje? Nie zginął przecież owego czerwcowego dnia, gdy rozbito ich batalion. Nie dostał się do niewoli. Zdołał uciec?... Po raz pierwszy od trzech lat Bogdan pomyślał o koledze z Coëtquidan. Tylko podchorążacy z tamtego rocznika wiedzieli, że wysoki, przygarbiony urzędnik polskiej ambasady w Paryżu, dopraszający się ochotniczej służby w wojsku, przewany był „Wielbłądem”. Bogdan przypominał sobie tę rozmowę, gdy Rybarski z rozpaczą mówił o odpowiedzialności polskich dyplomatów, która będzie im teraz ciążyć jak garb. Wówczas to, niezbyt dobrze pojmując sens osobistego dramatu tego człowieka, młodzieńca maturzysty, z ostatniego przed wojną gimnazjalnego rocznika, rzucił przygarbionemu starszemu panu: „Wielbłąd!”

Gacek, Radomski, „Wielbłąd”... Był we Francji, we francuskim szpitalu, rozmawiał z nim francuski lekarz-konspirator, w obecności francuskiej pielęgniarki wypytywał go o szczegóły zdarzeń, które trzy lata temu przeżył w Bretanii i Lotaryngii. Dopiero teraz Bogdan uświadomił sobie, jak dziwnie zamykały się koła jego wojennej wędrówki. Wyszedł z Warszawy – wrócił do Warszawy. Przeszedł przez Budapeszt – wrócił do Budapesztu. Walczył we Francji – wrócił do Francji. We Francji dostał się do niewoli niemieckiej – we Francji siedzi w niemieckim więzieniu. I wreszcie – Krystyna w Warszawie, i Krystyna tutaj, teraz... Francja gestapowskiego aresztu i szpitalnego więzienia jakże różna była od Francji podchorążackich i frontowych przeżyć...

Najpierw został zбитo i skopany. Od razu, na miejscu, na szosie wśród lasów, przez rozwścieżonych hitlerowskich żołdaków. Leżał bezbronny, z przestrzelonymi nogami. Zbito go do utraty przytomności.

Potem, rannego i nieprzytomnego, odwieziono tym samym autem do tego samego budynku gestapo, gdzie poprzednio był torturowany. Tam postanowiono: najpierw trzeba go wyleczyć; w tym, stanie nie nadawał się nawet do przesłuchiwania. Został we Francji – jedyny zysk nieudanej ucieczki.

Odesłano go do więziennego szpitala. Miał świadomość, że jedzie samochodem. Czuł, jak wynoszą go z auta, dźwigają długimi korytarzami, wreszcie kładą na łóżku. Otworzył oczy i znowu – który już raz w ciągu ostatnich miesięcy? – dojrzał okrągły otwór judasza. Leżał na białej, czystej pościeli, w małym, izolowanym od świata pokoju. Los darował mu odroczenie wyroku.

Gdy powieziono go na pierwszą operację, był zupełnie przytomny; słyszał: *A-tung! A-tung!* i widział, jak chorzy odwracają się twarzą do ściany. Chirurg długo mył ręce. Pielęgniarka przygotowywała chorego. Pochylając się nad nim, zapytała cicho po francusku:

– Kim jesteś?

Umiejętności językowe Bogdana okazały się wystarczające. Odpowiedział i dostrzegł, że odpowiedź została zanotowana:

– Polak, Bogdan Mayer, podporucznik, porwany ze Szwajcarii, gestapo, transportowany do Niemiec, ranny w czasie ucieczki...

Zanim został uśpiony, usłyszał instrukcję:

– Pod bandażem na prawej nodze znajdziesz papier i grafit. Napisz, co zebrałeś w śledztwie. Napisz wszystko, co potrzeba... Będziemy cię tu leczyć możliwie jak najdłużej...

Gdy się obudził, leżał sam, na łóżku w swojej separacie. Za oknem dniało. Absolutna cisza. Szpital był jeszcze pogrążony we śnie. Tylko przez judasza oko strażnika śledziło go nieustannie, czuł to. Nie potrafił zgiąć nóg, by się zasłonić. Odwrócił się na bok, naciągnął kołdrę na głowę zostawiając tylko szparę i tak, w tej niewygodnej pozycji, operując jedynie palcami prawej dłoni, lewą podtrzymując kartkę, zanotował w telegraficznym skrócie, po polsku,

kim jest i co powiedział o sobie w śledztwie. Nic więcej, to tylko, co już znane było oprawcom. Nie pisał nic więcej... Nie wiedział, dla kogo te wiadomości były przeznaczone.

Gryps wsunął za bandaż. Po południu zawieziono go na opatrunek. Lekarz odwinął bandaże i schował znaną kartkę. Nikt nic nie mówił, słowa były zbędne.

Bogdan mógł się tylko domyślać, mógł wyobrazić sobie, że lekarz da ten gryps siostrze szpitalnej. Siostra, przechodząc korytarzem, lekko skinie głową salowej, może tej starszej, siwawej Francuzce, która sprząta jego separatkę. Salowa pracuje w tym szpitalu już dwadzieścia lat. Co wieczór wychodzi do miasta, wraca rano. Nosi zniszczoną torbę z podwójnym dnem, w którym ukryje gryps rannego Polaka. Wartownik za każdym razem przeszukuje jej torbę. Robi to byle jak – nikt nie podejrzewa starej kobiety. A ona odda ten gryps na przykład swemu zięciowi. Francuz skontaktuje się z Polakiem, studiującym na jakimś niedalekim uniwersytecie, może w Grenoble... Student przetłumaczy gryps na francuski. Nazajutrz młoda dziewczyna w pokoiku na poddaszu ułoży tekst szyfrowanej depeszy. Pewien chłopak, jeżdżący rowerem na wieś, zboczy z leśnej drogi w dukt. Wśród drzew, codziennie o innej godzinie i w innym miejscu, czeka na niego uzbrojony łącznik, francuski partyzant. Zaniesie szyfr do dalekiej ziemianki, skąd depesza zostanie nadana do Londynu... Krótkie i długie sygnały układają się w kolumnienki cyfr. Nazajutrz w Londynie pewien Francuz odczyta szyfr i przekaże go Polakom. A Polacy... Po kilku dniach tryby tego łańcucha zaczną obracać się w przeciwną stronę. O jakiejś nocnej godzinie w leśnej ziemiance odezwie się sygnał z Londynu. Radiotelegrafista zanotuje nową kolumnę cyfr. Łącznik będzie czekał na rowerzystę, który przewiezie konspiracyjną depeszę w ramie swego roweru. Dziewczyna na poddaszu liczby zamieni w słowa. Zięć salowej odczyta i przepisze instrukcję. Salowa w podwójnym dniu swej zniszczonej torby przeniesie skrawek bibułki. Pielęgniarka przekaże go lekarzowi. Lekarz...

...Co zrobi lekarz? Bogdan nie potrafił wyobrazić sobie dalszego ciągu. Czuł, że obok niego, wokół niego rozciąga się siatka konspiracyjnej pomocy i solidarności. Tak samo było w Warszawie, w szpitalach, więzieniach, na Pawiaku... Już się nim zajęli, już zasygnalizowano w daleki świat jego obecność. Co dalej?

Sanitariuszka powiedziała mu zaraz pierwszego dnia: „Będziemy cię tu leczyć możliwie jak najdłużej...” Ale leczenie zawsze ma swój kres. Rany goją się szybko. Wraca apetyt. Niepokój ogarnia Bogdana. Co dalej? Każde badanie, każdy opatrunek budzi nową nadzieję. Dziś coś szepnie sanitariusz, dziś coś szepnie lekarz...

Nic.

Mijają dni. Pochylając się nad nim przy opatrunkach, siostra szpitalna przekazuje wiadomości z frontu: Stalingrad wciąż jeszcze dźwięczy we wszystkich komunikatach – Niemcy próbowali atakować, nie udało im się. Sanitariuszka powtarza wiadomości z konspiracyjnych gazetek francuskich: zwycięstwo pod Rzewem, Wielkimi Łukami i Wiaźmą – nieporadnie wymawia te trudne rosyjskie nazwy – równe jest zwycięstwu pod Stalingradem. Niemcy dostają w skórę! Wszędzie – w Rosji, na Ukrainie, w Afryce, Montgomery wypiera ich z Tunisu... Bogdan uśmiecha się do młodej kobiety.

Któregoś dnia pielęgniarka pochyła się nad nim wzruszona. Raz jeszcze ogląda się na drzwi, za którymi czuwa esesman.

– W Warszawie walki... powstanie w getcie żydowskim...

Tam się biją, a on tutaj!... Tam jest Alicja. Co z Alicją? Co się dzieje z rodzicami? Przewraca się na łóżku. Nie może zasnąć. Wyczekuje wizyt lekarskich. Co w Warszawie? Biją się – wciąż ta sama odpowiedź. I stała troska o niego, by lepiej jadł, niż przewiduje tutejszy szpitalny regulamin: podrzucają mu czekoladę, owoce, tak by nie widział strażnik.

Dlaczego nie mówią, co z nim będzie? Nie mogą go stąd wyrwać? Nie odzyskał jeszcze sprawności ruchów, chyba dlatego nic nie mówią. Z rozpaczyny wpada w nadzieję, z nadziei w rozpacz. Co pewien czas przesuwają językiem po zębach: wszystko w porządku. W Warszawie

się biją... A on?

Gorączka, lekarstwa, zastrzyki, opatrunki... Nie śmiał pytać. Dręczył się. Tygodnie! Ani jednego słowa. Czyżby gryps pisany był na darmo? Czuł się teraz bardziej samotny, niż gdyby nikt nie zlecał mu napisania tego meldunku, gdyby przed tygodniami nie podano mu pomocnej dłoni. Coraz większa niepewność, strach przed przyszłością więźnia, któremu coraz szybciej goją się rany.

Aż nagle dziś: wezwanie do rentgena.

Aż nagle dziś: ona! Znowu ona!

Aż nagle dziś: trzy pytania kontrolne. Trzy takie pytania!

Czyżby?...

– Panie doktorze – Bogdan szepcze cicho, nieśmiało, gdy lekarz ustawia nad nim i uruchamia aparat – co ze mną będzie?

– Pan już zaczyna chodzić?

– Tak...

– Jeszcze cierpliwości... Nogi są w porządku.

– Ale oni mnie...

– Proszę się nie bać. Nie wypuścimy pana stąd.

– Ja się nie boję, ale...

Jak wyjaśnić swoje obawy, jak zapytać o Krystynę, jak znaleźć, z pomocą tego człowieka, wyjście z labiryntu, w którym się znajduje? Krystyna! Chora, zmaltretowana, wieziona na operację... Ona, której się lękał, razem z nim w więzieniu. Dostrzegła go. Jak się z nią skontaktować?

– Panie doktorze... – chce poprosić, by mu ułatwili spotkanie, rozmowę z Krystyną. Niech się dowiedzą, w której leży sali, pod jakim nazwiskiem. – Panie doktorze, przed chwilą, gdy szedłem korytarzem, wieziono na operację chorą kobietę na wózku...

Musi przerwać – nagle uchylają się boczne drzwi, prowadzące do dalszych pomieszczeń, do amfilady sal zabiegowych i gabinetów lekarskich, wsuwa się starsza siostra, pielęgniarka, i cicho przyzywa doktora:

– Prosi... ona prosi...

– *Et bien...* – Lekarz daje mu znak zakończenia rozmowy, poleca, by pacjent się ubierał, uspokaja, że wszystko będzie dobrze, że go nie opuszczą i nie wydadzą Niemcom, trzeba tylko być cierpliwym... Musi już odejść do innego chorego.

Pielęgniarka wyprowadza Polaka za drzwi, na korytarz, gdzie czeka esesman.

Z trudem kuśtyka Bogdan do windy. Okrzyk *A-tung!* odpycha go ku ścianie. Z sali operacyjnej nadjeżdża wózek z kolejnym więźniem-pacjentem.

– Zastrzyk! – ożywił się na widok siostry niosącej na metalowej tacy pudełko z wygotowanymi igłami.

Starannie zamknęła za sobą drzwi na korytarz – esesman nie powinien asystować przy zabiegach – i uśmiechnęła się do Bogdana. Wyczekiwał tych zastrzyków, witał je jak zbawienie.

Zastrzyki – otrzymywane co kilka dni – przeciwdziałały niepokojącej go regeneracji organizmu, przeciągały chorobę, oddalały ostateczność, której symbolem i nieustannym przypomnieniem był hitlerowski żołdak strażujący pod drzwiami separatki. Dzięki zastrzykom temperatura nie ustępowała. Odgrywała się wielka komedia: rano masażysta przychodził wzmacniać niesprawne nogi Bogdana, po południu pielęgniarka, wtajemniczona w konspiracyjną działalność lekarzy francuskich, wkraczała do separatki ze strzykawką. Gorączka podnosiła się gwałtownie, raz po raz wysoko przekraczała czerwoną linię na wykresie.

Siostra wbijała igłę, wyjmowała spod fartucha czekoladę, owoce, tabletki witaminowe i szybkim ruchem przykrywała je kołdrą. Organizm chorego musiał zwalczać podwójne osłabienie: naturalne, zmniejszające się pod wpływem leczenia, oraz to sztuczne, w następstwie

wywoływanej umyślnie gorączki. Bogdan musiał być silny – bardziej zdawali sobie z tego sprawę rzadko odwiedzający go lekarze niż on sam.

Któregoś dnia siostra szepnęła:

– Proszę uważać na jajko!

Pod poduszką oprócz jabłka i kawałka czekolady znalazł jajko ugotowane na twardo. Wiedział, że skorupki zawinięte w bibułkową serwetkę musi oddać siostrze przy następnej wizycie, by Niemiec nie wypatrzył przy sprzątaniu podejrzanych resztek. Ostrożnie nadgryzł jajko – językiem wyczuł twardość papierka, zwiniętego w cienki rulonik. Gryps! Było to późnym wieczorem, w salach wygaszono już światło. Bogdan nie zasnął do rana. O świcie wyjrzał przez szparę nie domkniętego judasza i stwierdził, że wartownik śpi.

Na skrawku papieru wyraźne literki: „Czekaj cierpliwie. Wszystko będzie dobrze. Przepraszam cię. Niedługo się zobaczymy. Krystyna”.

Pomyślał: to raczej liścik miłosny niż konspiracyjny gryps. Co to znaczy: „Niedługo się zobaczymy”? Rozwahał przez cały dzień: gdzie mają się spotkać? Tu, w szpitalu? W więzieniu? Na wolności? List Krystyny obdarowywał nadzieją.

Czekał na pielęgniarkę z zastrzykiem – nie pokazała się.

Nie zostawiła mu papieru ani grafitu; widocznie nie chciano, by odpowiadał na gryps Krystyny. Lekarz francuski wyraźnie zlekceważył jego pytanie, gdy przed kilkunastoma dniami zagadnął go o kobietę widzianą na korytarzu, wiezioną na operację; lecz oto sieć szpitalnej opieki ułatwiła mu kontakt. Co to wszystko znaczy? Kim ona jest? „Niedługo się zobaczymy...” Czy wówczas wyjaśnią się tajemnice?

Dopiero po dwóch dniach, o popołudniowej godzinie do separatki wpadła siostra. Niemal krzyknęła:

– Zastryk! – w tym półgłosnym szepcie była nadzieja i niecierpliwość.

Wbiła igłę, poczuł dotkliwy ból; zrobiła to niezręcznie lub specyfik był inny niż dotychczas. Pochyliła się nad nim i powiedziała szybko:

– Musisz być bardzo chory, gorączka będzie wysoka. Inspekcja lekarzy z gestapo.

I nic więcej. Uciekła. Nie podała ani nowego grypsu, ani przyborów do pisania.

Po godzinie uderzyły na niego poty. Był rozpalony. Krzyknął, że ma pragnienie. Niemiecki strażnik niechętnie zajrzał do separatki.

Przed wieczorem przyszło ich czterech: dwóch Niemców i dwóch Francuzów. Francuzi raportowali na baczność, Niemcy zachowywali się nonszalancko. Spod lekarskich kitlów wystawały im oficerskie mundury. Francuz podał kartę choroby Bogdana, z poręczy łóżka zdjął wykres gorączki. Młodszy Niemiec rzucił okiem i wyraźnie się ucieszył: gruźlica? Bogdan zdrętwiał – w pojęciu gestapo gruźlik nadawał się wyłącznie na egzekucję. Gruźlik zaraza, gruźlik jest siewcą prątków – pod ścianę! Im prędzej, tym lepiej.

Nie! – stanowczo zaoponował francuski lekarz. Te symptomy oznaczają zupełnie co innego. Gorączka z rzadka występuje po południu, atakuje wieczorami, w nocy, o rozmaitych porach, nie co dzień zresztą. Dnie bez gorączki i nagle skok. Nie! To zupełnie co innego, albo jakaś nie ustalona jeszcze, zakaźna choroba, albo ogólne osłabienie organizmu, spowodowane... – zawiesił głos.

– Spowodowane... czym? – młodszy Niemiec zapytał prowokacyjnie.

Francuz milczał.

Niemiec ostrożnie ujął nadgarstek chorego i mierzył szybko bijący puls.

– Słucham! – ponaglił odrzuciwszy na kółdrę bezwładną rękę Bogdana. – Wysoka gorączka... Słucham!

– Został pobity w czasie ucieczki – rzekł wreszcie lekarz szpitalny.

– Sam sobie winien, skoro uciekał.

– Sam... – przytaknął Francuz. – Ale nie do mnie należy kwalifikowanie jego czynów. Mnie kazano wyleczyć chorego; widać niezbędne jest, aby był zdrow. Tymczasem jego orga-

nizm ciągle jeszcze jest słaby...

– Nie należy się tym tak bardzo przejmować.

– Mam obowiązek wyleczyć chorego i przekazać go dopiero wtedy. Chyba że panowie zechcecie inaczej?...

Francuz był spokojny. Bogdan znał tego lekarza – to z nim rozmawiał w ciemni gabinetu rentgenologicznego.

– No... zobaczymy – Niemiec odłożył decyzję.

– Przed uciezką, w areszcie, chory był... badany – Francuz posunął się o krok dalej.

– A sądzi pan, że badanie mogło być szkodliwe dla jego organizmu? – pytanie Niemca zabrzmiało sucho i wrogo. – Odrzucam tego rodzaju insynuacje. Kategorycznie odrzucam.

Starszy oficer milczał, nie mówił nic. Żaden mięsień nie drgnął na jego pomarszczonej twarzy.

– Panie kapitanie, ja nic nie sądzę, ja tylko konstatuuję objawy. W chwili ucieczki ten człowiek był bardzo wyczerpany. Źle zniósł areszt, może już przedtem nie dojadł, chorował... – Francuz mówił ostrożnie, ale śmiało.

Dwaj Niemcy odwrócili się od łóżka Bogdana.

Co powiedzą, co zdecydują? „Wszystko będzie dobrze. Niedługo się zobaczymy...” Czy wyroki gestapowców mogą przekreślić ostatnią nadzieję?

Lekarze w milczeniu opuścili separatkę. Strażnik-esesman wyprężył się na baczność przed swymi przełożonymi.

– Christine! – usłyszałam głos tak dobrze mi znany, zanim w otwartych drzwiach szłaś nieoczekiwanie zobaczyłam mężczyznę w cywilnym płaszczu i sportowej czapce. Przeszedł mnie dreszcz trwogi: katastrofa! Coś się przecież musiało zdarzyć, jeżeli Eryk – tym fałszywym imieniem posługiwaliśmy się we wzajemnych kontaktach – zjawił się nagle u podnóża Alp francuskich, zaledwie w kilka dni po tym, gdy co najmniej na kwartał pożegnaliśmy się w Wiedniu. Wizyta była tak niezwykła, iż w ciągu tych ułamków sekund nie zdałam sobie sprawy z tego, że przecież Eryk nie znał, nie mógł znać adresu tej mojej francuskiej meliny. Nigdy mu nie mówiłam, że tyle czasu spędzam we Francji. I choć, flirtowaliśmy z sobą, nigdy nie zdradziłam przed nim tego miejsca. Więc jak tu trafił? Jak trafił do Grenoble, jak trafił tutaj, na tę łąkę, do domku przypominającego pasterski szałas, zajmowanego przez pracownika stacji hydrologicznej, który związał się z nami najściślejszym konspiracyjnym współdziałaniem. Eryk tutaj! Eryk w cywilnym ubraniu! – dotychczas widywałam go zawsze w mundurze oficera Wehrmachtu, sądził bowiem, iż mundur ten najlepiej zabezpiecza nasze spotkania przed ciekawością agentów kontrwywiadu admirała Canarisa. Christine! – wołał od progu, a ja siedziałam przy stole nad szyframi i raportami. Kiedyś samochód, którym jechałam, przekoziółkował z szosy, przez rów na pole – trwało to moment, lecz ileż myśli przemknęło mi w tym momencie przez głowę! Tak samo teraz. Dwukrotnie, z cicha krzyknął, wezwał mnie, zameldował się, trwało to zaledwie moment, lecz ja już wyobraziłam sobie wszystko: katastrofę wiedeńską, która przygnała go tu w ucieczce lub z jakąś nadzwyczajną wiadomością. Pomyślałam i o tym, jak niepostrzeżenie zdołał wyminąć naszego gospodarza, który zawsze czuwał na skraju łąki, gdy pracowaliśmy w szałasie, a teraz nawet nie zasygnalizował zbliżania się obcego. Drzwi były otwarte – niestety, ufając czujności naszego gospodarza, po prostu nie zamykaliśmy ich na klucz. Byłam sparaliżowana niespodziewanym zjawieniem się tego człowieka. Nie odpowiedziałam mu, nie zerwałam się od stołu, by skoczyć naprzeciw, nie zdobyłam się nawet na krzyk, który musiałby usłyszeć Pierre, nadający właśnie w małej sąsiedniej komórce depesze do Londynu. Może mój krzyk zdołałby go ostrzec, może by uciekł przez niskie okienko, gdyby pojął groźbę sytuacji, z której ja jeszcze nie zdawałam sobie sprawy. Siedziałam przy stole, nawet szyfrów nie zsunęłam pod ścianę najzwyczajniejszym gestem zaskoczonego spiskowca. Eryk zrobił krok ku mnie i nagle wyskoczyło zza niego jakichś dwóch mężczyzn wrzeszcząc: *Hände hoch!* Zaroilo się od cywilów, wypełnili izbę. Potem

zrozumiałam: nie chcieli przedwcześnie alarmować okolicy pojawieniem się umundurowanego patrolu. Musieli krążyć w pobliżu od wielu godzin, musieli być tu już nieraz, jeżeli udało się im zaskoczyć na posterunku naszego gospodarza. Rozplatali mu głowę siekierą, nim zdążył krzyknąć. Musieli to być górale – może z Tyrolu? – bo tylko góral potrafi tak podejść górala. Nie podniosłam rąk. Nabity pistolet leżał tuż obok, na szyfrach...

Bogdan myślał: „Po co ona to wszystko tak dokładnie opowiada?” Zdawało mu się, że winni poprzestać na wymianie najkrótszych tylko, niezbędnych informacji. Dlaczego ani lekarz, ani pielęgniarki – nie rozumiejący po polsku jednego słowa – nie przerywają tej opowieści? Czyżby czas transfuzji jeszcze nie minął? Czy krew zawsze tak powoli przepływa z żyły do żyły?

Leżeli obok siebie na dwóch wysokich, twardych zabiegowych stołach, po szyję przykryci prześcieradłami. Z obnażonymi ramionami: on lewym, ona prawym. Ich ręce były oplecione i połączone przewodami gumowych, metalowych i szklanych pompek, ssawek, zacisków, uchwytów, rurek, zbiorniczków. Aparatura wysączyła zeń nieco krwi, by istniał ślad jej działania. Ale krew ta nie przepływała do żył kobiety. Ciąg był zamknięty.

Godzinę temu strażnik jego separatki otrzymał nagłą dyspozycję: natychmiast dostarczyć chorego, transfuzja krwi!

Gdy pospiesznie wywoływano go z pokoju, kierowano do windy, a potem na salę zabiegową – sam Już szedł sprawnie! – nie pojmował przyczyny tego nieoczekiwanego wezwania. Co się za tym kryje? Nowa operacja, która zapobiec ma odesłaniu do policyjnego aresztu? Transfuzja krwi? On będzie dawcą czy będzie krew przyjmował? Ułożyli go na wysokim stole, siostra obmywała ramię, ustawiała aparat do transfuzji. Przez wewnętrzne amfilady połączonych gabinetów lekarskich, omijając główny korytarz, na którym czuwali podejrzliwi strażnicy z SS, przytoczono drugi wózek. Leżała na nim Krystyna. Zobaczywszy ją Bogdan omal nie krzyknął. Inscenizacja zabiegu lekarskiego miała umożliwić im rozmowę. W dokumentach sfalszowano grupę krwi, by móc połączyć ich, niczym stulą, przewodami aparatu do transfuzji.

Bogdan patrzył na Krystynę. Wymizerowana, z ciemnymi pręgami na twarzy – ślady ciężkiego pobicia. Niewiarygodne – z warszawskiego dworca, przez słowacki areszt, wiedeńską restaurację, do gestapowskiego więzienia we Francji! W Budapeszcie opowiadano mu, że w sąsiednich celach osławionego Hadika spotkało się dwóch kurierów: rozstali się przed rokiem na londyńskiej Piccadilly. Jeden, zrzucony na spadochronie w Generalnym Gubernatorstwie, po wielu przygodach dotarł do Warszawy, po paru miesiącach z Warszawy przeszedł do Budapesztu, by tam wpaść w ręce węgierskiego kontrwywiadu i trafić na Hadik. Drugi kurier z fałszywym paszportem wędrował przez Afrykę i Bałkany; ujęty został w Budapeszcie i też uwięziony na Hadiku. Dwaj koledzy rozpamiętywali swe losy, rozmawiając – lecz nie widząc się – poprzez rurę w ścianie, łączącą obie cele. Bogdan i Krystyna poruszali się na tym samym szlaku, w tym samym czasie, ich kolejne spotkania były więc bardziej prawdopodobne. Nie miał powodu być aż tak zdumiony.

Krystyna zaczęła mówić. Prosiła, by jej ufał, nie chciała, by między nich zakradła się jakakolwiek podejrzliwość. Po polsku, cichym szeptem – taka była instrukcja francuskiego lekarza kierującego fikcyjnym zabiegiem – zastrzegła się, że nie powie mu wszystkiego, będą jeszcze inne, bardziej stosowne okazje, ale że to, co powie teraz, jest prawdą i że powinien temu wierzyć. Więc tłumaczyła się przed nim: nie porzuciła go tam nad słowacko-węgierską granicą, została aresztowana przez honwedów, którzy trafili do stodoły idąc po śladach wyciśniętych w śniegu; wypatrzyli je na granicy, doprowadziły ich do ukrytej w stodole kobiety. Gdy usłyszała ich kroki, myślała nawet, że to on już wraca. Łatwo przekonała Węgrów, by odesłali ją pod eskortą do Budapesztu – w Budapeszcie miała na kogo się powołać. Po tygodniu była już wolna. W węgierskim wojsku miała przyjaciół. Jeden z nich odprowadzał ją właśnie do pensjonatu, gdy przed kawiarnią spotkała Bogdana. Po cóż miała go dekonspiro-

wać? Spotkanie nie było zaskoczeniem, już wcześniej wiedziała, że udało mu się szczęśliwie dotrzeć do Budapesztu.

– Skąd wiedziałaś? – przerwał jej opowieść. Drażniło go omijanie faktów, choć lojalnie o tym uprzedziła.

– Znam tam wielu naszych... – znowu unik.

– Pułkownika?... – zaryzykował. O pułkownika mógł ją zapytać. Gestapo wiedziało o jego istnieniu.

Wyczekiwał tej rozmowy z niespokojną nadzieją. Ale teraz, gdy Krystyna zaczęła swą opowieść, gdzieś w jego mózgu zapaliło się czerwone światełko podejrzliwości. Za dużo, za elokwentnie mówi, jak na to niezwykle spotkanie, urządzone pod pretekstem transfuzji. Postanowił rozmawiać z nią tylko o tym, co już wiadano tam, w gestapo.

Zlekceważyła pytanie o pułkownika. Prześliznęła się z Budapesztu na Wiedeń. Znowu przeproszała go za obojętność w restauracyjnym hallu. Zresztą – dodała – on również był w towarzystwie raczej nie zachęcającym... Była właśnie z Erykiem. Już kilka razy odwiedzała, go w Wiedniu; poznano ich ze sobą przed paru laty i dojeżdżała do niego, gdy jej to zlecano. Nie wiedział nawet, że jest Polką; udawała przed nim Szwedkę wychowaną we Francji. Informacje, jakich dostarczał, były interesujące i wiarygodne... Ba, wiarygodne! – roześmiała się gorzko. Teraz to i ona wie, że na pewno były preparowane! Ale czy w centrali nie domyślano się tego już dawniej? Możliwe, bardzo możliwe... Jej też przecież zalecano powtarzać mu pewne fakty, pewne historie, w oryginalny, ściśle określony sposób. Powtarzać niby bez umyślnego celu, w byle jakiej rozmowie, niby przypadkiem. Przy tych spotkaniach Eryk manifestował wrogość wobec Hitlera, jeszcze przed wojną nawiązał kontakty z Anglikami i dostarczał im żądanych materiałów, zręcznie zabezpieczony przed frontową służbą na stanowisku w biurze sztabowym. Tak to wyglądało, a okazało się... Kanalia! Jak dobrze, że nie poznała ich ze sobą! Prawda?

Bogdan mruknął coś niewyraźnego. Nie chciał się przyznać, że w jego położeniu było właściwie obojętne – jeden agent gestapo mniej czy jeden więcej... Choć w razie ujawnienia znajomości z Krystyną i spotkania w Wiedniu, byłoby mu nieco trudniej sfabrykować bajkę, którą pragnął się ratować.

Osobliwy przypadek – to spotkanie w restauracji. Krystyna mówiła dalej. Takie przypadki się zdarzają, tylko zawsze należy uważać, gdyż przynoszą więcej zła niż korzyści. Na nic jednak zdała się jej ostrożność – roześmiała się krótko i sucho – i tak spotkali się w hitlerowskim więzieniu – przeskoczyła od razu do teraźniejszości.

– A w pociągu?... – szepnął.

– W pociągu? – zdziwiła się. – W jakim pociągu?

– W Szwajcarii. – O tym też mógł z nią rozmawiać.

– Nie byłam teraz w Szwajcarii – zaprzeczyła. Prosto z Wiednia przyjechałam tutaj.

Była – nie była? Wierzyć – nie wierzyć? Czerwone światełko podejrzliwości nie gasło ani na chwilę.

A ona, jakby czując jego rezerwę, zaczęła z pasją rozdrapywać wydarzenia, które ją właśnie najbardziej obchodziły, szeroko opisywać dzieje swej ostatniej katastrofy. W ten sposób – ranna, chora i zmaltretowana – chciała pozyskać jego zaufanie.

– ...Strzeliłam. Strzeliłam pierwsza. To zaalarmowało mego kolegę. Wskoczył z pistoletem i walił. Celniej niż ja. Eryk zwinął się na ziemi, trafiony w serce. Ich było siedmiu, nas dwoje. Oni mieli automaty. Pierre padł przecięty serią. Ich szef krzyczał, żeby do mnie nie strzelać... Gdy wywaliłam cały magazynek, skoczyli ku mnie... Kopałam, gryzłam im ręce, paznokciami orałam twarze. Zbili potwornie, uważali tylko, abym została żywa. Zemdlałam. Gdy otworzyłam oczy, kończyli drobiazgową rewizję naszego domku. Zagarnęli depesze, szyfry, notatki. Nie tknęli tylko radiostacji. Chcieli zachować kontakt z Londynem. Znali teraz szyfry, mogli posadzić człowieka, który by nadawał fałszywe, mylne wiadomości... W

naszym szalacie przyczał się więc patrol hitlerowski. W trzy dni później, nocą, partyzanci francuscy zeszli z gór, otoczyli domek, obrzucili go granatami. Wybili wszystkich Niemców, co do jednego. Radiostację i szalas spalili doszczętnie. Tylko ja zostałam w ich łapach, zabrali mnie razem ze znalezionymi dokumentami. Już dawno musieli mnie śledzić, Eryk pewno podróżował za mną... Zmasakrowana, musiałam żyć. Jak bili, Boże! Cała jestem sina. Gdy mnie odprowadzili do celi, wytlukłam szybę w okienku, jakoś wsadziłam dłoń mimo okratowania. Przecięłam sobie żyły... Przysłali mnie tutaj. Dla nich muszę być żywa, ale żywej mnie już nie dostaną! Tego możesz być pewny, nigdy nie dostaną mnie żywej!

Szeptala coraz ciszej, wyczerpana wysiłkiem.

Mijał przewidziany czas zabiegu – pielęgniarka rozłączała aparat. Bogdan nie odpowiadał.

Syreny alarmowe!

Przeraźliwe, zawodzące wycie przenika przez zamknięte okna, wypełnia separatkę, wwierca się w mózg.

Bogdan otwiera oczy. W pokoju ciemno. Półksiężyc, który przez całą noc błyszczy w drzwiach – światło z korytarza przedostające się przez nie domknięty krążek judasza – już zgasł. Każdy alarm lotniczy powoduje wyłączenie elektryczności w całym szpitalu. Alarmy są coraz częstsze – brytyjskie superfortece wysoko w górze przelatują nad Francją ku miastom Trzeciej Rzeszy. Dziś w nocy także płonąć będą niemieckie ulice i niemieckie domy.

Bogdan nie ruszał się z łóżka. Za kilka minut znowu zabrzmiały syreny i alarm w tym rejonie zostanie odwołany, ogłoszą go natomiast w rejonie następnym – klucze wielkich bombowców lecą nad Rzeszę. Błogosławione niech będą skrzydła brytyjskiego lotnika! – mściwie modlą się ludzie na francuskiej ziemi.

Lecz syreny nie milkną...

Zawodzą długo, niezwykle długo. Ileż dziś leci tych bombowców? Ileż domów niemieckich zostanie zburzonych?

Huk!

Fala powietrza uderzyła z bliska, zadrzały szyby. Usłyszał brzęk szkła tłukącego się o bruk.

Bomba. Zrzucono bombę!

Zerwał się. Usiadł na łóżku, drżąc z napięcia. Na to francuskie miasteczko nigdy jeszcze nie spadła aliancka bomba.

Cisza.

Znów jęk syreny. Głuchy warkot bombowców. Krążą w górze. Nie odlatują.

Nie słyhać grzechotu artylerii przeciwlotniczej. Niemcy jej tu nie mają. Po co bronić miast francuskich, gdy artylerii nie starcza dla obrony własnych miast, wybrzeży Kanału i Oceanu.

Huk!

Zadygotały ściany budynku. Druga bomba upadła bliżej.

Ciężkie żołnierskie kroki na korytarzu. Ktoś krzyczy:

– *Bombenangriff!... Bombenangriff!... Zum Luftschutzraum!... Nach unten, nach unten!*⁶³

Szybki tupot butów – strażnicy odskakują od separatek, porzucają zamkniętych więźniów, pędzą schodami w dół, do schronu, do piwnic.

Z zaryglowanych sal szpitalnych krzyczą więźniowie. Krzyczą, żeby ich puścić do schronu. Tłuką pięściami, tłuką stołkami, czym się da. Nie mogą wydostać się na korytarz ani wyskoczyć przez okratowane okna.

Przeraźliwe zawodzenie syren.

Warkot bombowców.

Francuska bezbronna ziemia wita te bomby z nadzieją, lecz nikt przecież nie chce od nich

⁶³ B o m b e n a n g r i f f . . . (n i e m .) – N a l o t ! . . . D o s c h r o n u ! . . . N a d o ł !

ginać.

Cicho otworzyły się drzwi separatki. W ciemności korytarza Bogdan ujrzał sylwetki dwóch mężczyzn.

– *Vite, vite!*⁶⁴ – chwycili go pod ręce i pociągnęli za sobą.

Z korytarza wypadli na schody, nie w dół, lecz w górę. Dokąd? Jeden z nich zatrzymał się, rzucił szybką odpowiedź:

– Na dach...

A drugi zawołał cicho:

– Otwórzmy cele, wybiegną!

Skoczył z powrotem na korytarz i z trzaskiem zaczął odsuwać rygle.

Krzyk, hałas, tupot! Więźniowie, jak który tylko mógł, w instynktownym odruchu samoobrony pędzili ku schodom, schodami w dół...

Bogdan z mężczyzną w białym kitlu biegli na trzecie, czwarte piętro, gdzie nikt jeszcze nie otworzył sal. Tu schody były puste.

Na czwartym piętrze spotkali troje powoli idących ludzi. Dwaj mężczyźni prawie nieśli kobietę. Poznał głos Krystyny:

– Bogdan, to ty?

Wycie syren.

Krzyk więźniów.

Piąte piętro.

Strych. Okienko w dachu było otwarte, przystawiona drabina. Czekali przy niej dwaj inni mężczyźni.

Krystynę podawali sobie – z rąk do rąk. Bogdan wdrapał się sam. Podniecony ucieczką, poruszał się o własnych siłach szybko i sprawnie.

Do komina przymocowana była na hakach stalowa linka, przeciągnięta gdzieś w ciemnej przestrzeni ponad szpitalnym podwórzem i rozległym ogrodem. Dwaj mężczyźni szybko rozłożyli duży hamak i zręcznie przypięli go do żelaznych kółek osadzonych na lince.

– Wchodź! – szepnęli do Bogdana.

Rozkaz? Zawahał się. Nie pojmował. W szpitalnej pidżamie czuł przenikliwy chłód wiosennej nocy.

– Prędeż! Kładź się! – ponaglali. – Zjedziecie za mur.

Zrozumiał. Wsunął się do hamaka z mocnego spadochronowego płótna.

Bez słowa ułożyli obok Krystynę.

– Trzymajcie się!

Objął ją prawym ramieniem. Przytuliła się do niego. Szepnęła:

– Bogdan... – tylko tyle.

Opinali ich pasami, przywiązywali. Pomyślał: „Doskonale przygotowane!”

– Trzymajcie się!

– *Et bien!*...

Wysoko nad nimi dudniły bombowce. Daleki huk targnął powietrzem.

Pchnięto ich – pięć par rąk.

Kółka gładko potoczyły się po długiej, napiętej linie. Przytuleni do siebie w ciasnym worku, zawisli nad szpitalnym podwórzem. Bogdan widział nad sobą tylko zachmurzone niebo.

Kółka sunęły po linie. Wydawało mu się, że trwa to bardzo długo.

Strzał – z ziemi, gdzieś za nimi, pod nimi. Strzał z karabinu. I zaraz seria. Krystyna przytuliła się do Bogdana.

Poczuł nagłe uderzenie, bolesne szarpnięcie. W dole krzyk. Strzały. Pojedyncze, chaotyczne, i całe serie. Hamak zsuwał się wciąż z tą samą prędkością.

⁶⁴ *Vite, vite!* (*franc.*) – Szybko, szybko!

Pomyślał: „Zestrzelą nas!”

– Pierre... – szepnęła Krystyna i na prawym ramieniu poczuł ogromny ciężar jej ciała. Coś gorącego, lepkiego spływało mu po rękach. Krew.

Nagle niebo przesłoniły gałęzie. Zatrzymały ich silne dłonie, chwyciły hamak. W ciemnościach nie widział twarzy, ale słyszał głosy kilku Francuzów. Wołali z cicha, jeden przez drugiego, że ich dostrzeżono, że trzeba uciekać.

Ktoś powiedział: raniona!

Ktoś ponaglał: prędeż!

Rozpinano pasy, rozcinano wór.

Dźwignęli Krystynę – na nosze. Nawet nie jęknęła.

– Zemdląca... ranna... ciężko ranna – powtarzali.

Bogdan nie mógł ruszyć prawą ręką, mokrą od krwi. Jej krew czy jego? Pomyślał: „Zmieszła się nasza krew, dopiero teraz...”

Ktoś chwycił go pod ramię. Bogdan syknął, że ma przestrzeloną rękę. Prowadzono go wśród drzew, wśród krzaków – byle prędeż, byle dalej. Gwar ściszonych głosów, sylwetki uzbrojonych ludzi. W górze nieustanny ciężki warkot. Alarm trwał.

Wybiegli z ogrodu. Na jezdni stało auto, karetka pogotowia z czerwonym krzyżem. Szybko wsunęli do środka nosze z Krystyną.

Pomogli wejść Bogdanowi. Mężczyzna, który wskoczył pierwszy, wciągnął go za rękę. Zaboląło.

– Cholera! – zaklął Bogdan.

Tamten obejrzał się.

– Polak? – spytał.

Zatrzaśnięto już drzwiczki. W środku trzech mężczyźni i Krystyna. Karetka ruszyła pełnym gazem.

– No i jesteście wolni – usłyszał polskie słowa.

Odpowiedział po polsku:

– Ciągłe się uwalniam i nie mogę się uwolnić... Już pół roku! Czwarty czy piąty raz...

Tamten cicho zagwizdał, zdumiony.

Krystyna jęknęła. Francuz pochylił się nad ranną.

– W piersi – powiedział. – Czy wytrzyma?...

Auto zarzucało na ostrych zakrętach. Wypadli z miasteczka na szosę. Pędzili w lasy.

– Czy wytrzyma? – po polsku powtórzył Bogdan. – Ona też jest Polką! – wyjaśnił odnalezionemu nagle rodakowi.

Thalassa! Thalassa!

– Czy mogę pana o coś prosić?

Przewyciężając senność Bogdan z wysiłkiem uniósł głowę, opartą na lewym ramieniu. Męcząca pozycja, ale nie było lepszej; dość miał już tego szpitalnego leżenia na wznak; obandażowana i zawieszona na temblaku ręka utrudniała ruchy, odpoczynek, nawet sen. Ledwo stanął na własnych nogach – laska, zgubiona w zamęcie ucieczki, okazała się zbyteczna – dostał kulę w rękę. Pech? Obserwując leżącą na noszach, walczącą o życie kobietę, myślał raczej, że ma wielkie szczęście. Ale ta cicha, niegodna mężczyzny radość uratowanego człowieka nie mogła przecież dodać mu sił, wzmocnić organizmu, który jeszcze do wczoraj sztucznie osłabiany, nagle poddany został gwałtownej próbie fizycznej i nerwowej.

Przez wiele godzin karetka pogotowia pędziła po drogach górskich i leśnych, nim wreszcie w pełnym słońcu dnia dotarła do rozległej polany, na której czekali partyzanci. Francuz – jak się okazało, lekarz – dwoił się i troił, by w zarzucającym, rozchybotanym aucie zachować przy życiu kobietę ciężko ranną w płuca. Bogdan nie czuł bólu, choć dokuczało mu prowizorycznie obandażowane ramię – czuł tylko mękę Krystyny, oddychającej z trudem, nieprzytomnej. Dopiero na miejscu, gdy ułożono ją w szpitalnym szałasie na skraju polany, odzyskała przytomność i rozejrzała się szukając Bogdana. I podczas gdy iskrówki leśnych oddziałów grały nieustannie, by przyspieszyć przylot brytyjskiego samolotu, nadzwyczajnej karetki pogotowia dla kobiety, która niezwłocznie winna znaleźć się w szpitalu, Bogdan siedział przy niej i opowiadał o drodze, jaką spod muru szpitalnego odbyli ku wolności. Na podgórskiej polanie, wśród francuskich *maquis*⁶⁵ są już wolni, dziś w nocy wylądował samolot, którym odlecą do Anglii. Ucieczkę – z takim nakładem sił i pomysłowości – zorganizowano głównie dla niej, ją przede wszystkim chciano wydostać ze szpitala i przerzucić do Anglii, Bogdan tak przypuszczał. Dotknął językiem swoich sztucznych zębów – widocznie jej zadanie było jednak ważniejsze...

Krystyna blada, sina, biała. Twarz – nagle starcza i odrażająco brzydka. Wysokie sklepienie kościstego nosa górowało nad zapadniętymi policzkami i cienkimi wargami. Zamykała oczy udręczona cierpieniem. Czy to ta sama kobieta, której uroda zwracała uwagę w sterroryzowanym, zmaltretowanym tłumie podróżnych na warszawskim dworcu?

Nie opowiedział jej tego, co usłyszał od Francuzów. W trzy godziny po nich przyjechał na polanę zmotoryzowany łącznik; już po akcji skontaktował się z sześcioma partyzantami, którzy w przebraniu sanitariuszy przedostali się do szpitala i zorganizowali ucieczkę. Wypuszczenie więźniów ze wszystkich sal wywołało potworny bałagan i – nieoczekiwane skutki. Hitlerowcy, zamknięci w schronie, siedzieliby tam aż do odwołania alarmu, tymczasem lawina więźniów zwała się na piwnice. Niemcy sądząc, iż szpital został zbombardowany, uchylili ciężkie drzwi – więźniowie zaczęli je szarpać, powstał jeszcze większy ścisk i zamęt. Strzegąc przywilejów i porządku więziennego hitlerowcy wyciągnęli broń – więźniowie cofnęli się. Kilku odważniejszych Niemców wyskoczyło ze schronu i pod groźbą automatów usiłowali z powrotem zapędzić więźniów do cel. Ze schodów nacierały nowe fale uwolnionych. Zwarta, stłoczona kolumna rozprysnęła się na boki; tłukli w jakieś drzwi, wyłamywali

⁶⁵ *Maquis (franc.)* – tak nazywano francuskich partyzantów; odpowiednik naszego „chłopcy z lasu”.

okna – na dziedziniec, do ogrodu! Paru Niemców pobiegło za nimi i ci właśnie, uzbrojeni esesmani dostrzegli nagle jasną plamę, która szybko sunęła po niebie, tuż nad ogrodem szpitalnym. Wywalili salwę i wkrótce plama znikła. Od rana więc patrole penetrują okolice szpitala i zaułki miasteczka w poszukiwaniu brytyjskich spadochroniarzy, zrzuconych rzekomo tej nocy... Kilkunastu więźniów dało sobie radę – w tym zamęcie uciekli. Partyzanci niepostrzeżenie ściągnęli stalową linkę i szczęśliwie wydostali się na zewnątrz. Inna grupa miała dostarczyć do szpitala ciało kobiety zabrane z kostnicy i podsunąć jako zwłoki zmarłej tej nocy, podczas nalotu, Krystyny.

Francuzi z przejęciem komentowali wyniki udanej akcji – udanej, choć nie bez strat, ale w jakiej akcji nie ma rannych czy zabitych? Bogdan słuchał i myślał: gdyby nie otworzono – a to nie było planowane – drzwi od sal szpitalnych, Krystyna nie zostałaby ranna, nie walczyłaby teraz o życie. Myślał: gdyby nie otworzono sal szpitalnych, nie dano by szans ucieczki tyłu innym więźniom. Myślał: jak więc działać najsprawniej i najsprawiedliwiej?

Ale tego wszystkiego już nie powiedział Krystynie.

Lekarz dał znak: dosyć rozmowy. Chora potrzebuje spokoju. Bogdan odszedł na bok, na koce, które rozłożył Roger – taki pseudonim francuscy *maquis* nadali swemu polskiemu kole-dze. Idąc na akcję pod szpital Roger nie wiedział, że mają uwalniać dwoje Polaków. Wysoki, rosły, o szerokich kościach policzkowych i żywych oczach, nie narzucał się Bogdanowi. Przez cały dzień milczeli obaj, jakby swych losów wojennych nieciekawo, jakby wcale nie zdziwieni tym naturalnym faktem, że dwaj Polacy spotkali się we francuskim oddziale le-śnym – zwyczajna sprawa.

– Czy mogę pana o coś prosić? – Bogdan usłyszał pytanie zadane przez Rogera, pierwsze pytanie w ciągu całego dnia. Uniósł głowę zmęczony, lecz ciekawy, o co może go prosić ten Polak. Pragnie – domyślał się szybko – uzyskać możliwość odlotu do Anglii, do wojska? W takim razie postara się wyprosić go u dowódcy Francuzów jako niezbędnego do opieki nad Krystyną. W samolocie na pewno znajdzie się jeszcze jedno miejsce. Polakowi trzeba pomóc.

Przed nimi, w dolinie między niewysokimi wzgórzami, ciemniała szeroka, płaska polana. Otaczał ją las zaludniony przez partyzantów. Na środku, w zapadającej ciemności, kilku mężczyzn układało trójkąt ognisk, które zapłoną, gdy brytyjski samolot nadlatywać będzie nad lasy – nadlatywać będzie lub nadlatywać powinien, tyle już razy na próżno zapalali te ogni-ska! Ale popołudniowe depesze z Londynu zapowiadały, że samolot przyleci na pewno. Nie-wielki bombowiec oderwie się od płynącego nad Niemcy klucza i przybędzie tu koło północy. Krystynę poniosą na noszach... Gęstniał mrok, gęstniał niepokój. Bogdan nie mógł się już doczekać.

– Czemu pan pyta? Naturalnie, wszystko... wszystko, co tylko będę mógł – odpowiedział Rogerowi, dla którego żywił niezmierną wdzięczność.

– Mam dwie prośby – Roger jakby się wahał. Leżeli na odległość wyciągniętej ręki, lecz w ciemności nie widzieli swoich twarzy. – Jedna jest bardzo prosta ale druga... trudniejsza. Ta prostsza... – wyciągnął dłoń ku Bogdanowi, podał mu banknot, pięćdziesiąt dolarów. – Jutro, pojutrze czy popojutrze, gdy już pan będzie w Londynie i odpocznie po tutejszych emocjach, niech pan je wpłaci do tego biura, które zajmuje się wysyłką paczek z kawą, herbatą i sardynkami z Lizbony do Warszawy. Proszę, tu jest adres mojej matki, i drugi, mojej narzeczonej. Niech wysyłają im po paczce, starczy na kilka razy. W londyńskim biurze są zresztą oba te adresy, gdy tylko ktoś stąd leci, przeważnie Francuzi czy Anglicy, każdego proszę... One tam nie mają z czego żyć, a poza tym to sygnał, jedyny sygnał, że jestem...

– A trudniejsza prośba? – spytał Bogdan chowając pieniądze.

– Właśnie... naprawdę trudniejsza. Z Londynu wysyłają do Warszawy nie tylko paczki, ale ludzi, kurierów i skoczków. Wie pan o tym, pan ich potrafi odnaleźć, prawda? – z mroku dochodziły Bogdana ciche słowa. – Niech pan poprosi któregoś, koniecznie, aby poszedł pod jeden z tych adresów w Warszawie i powiedział, że żyję, jestem we Francji, we francuskiej

partyzantce,.. My nie mamy z Polską takiej łączności...

– To niech pan wsiądzie razem ze mną do samolotu! – Bogdan niemal krzyknął. – Niech pan ze mną leci, tam jest nasze wojsko!

– Nasze wojsko... Moje nawet wojsko, ja też w tym wojsku byłem, ale... Nie chcę, żeby między nami były jakieś niedomówienia... Ja tutaj też walczę przeciw hitlerowcom o wolną Polskę. Tylko inną chciałbym Ją widzieć niż niektórzy politycy, generałowie z Londynu...

– Pan jest komunistą?

– Nie byłem nim przed dwoma laty, gdy uciekałem z niemieckiej niewoli...

– Pan też im uciekł? – ucieszył się Bogdan.

– Też? To i pan?...

Roześmieli się obaj w nagłej, wspólnej radości. Jeden wypytywał drugiego, gdzie był więziony, jak uciekał, którędy? Roger kończył swą opowieść:

– Znalazłem się wreszcie w oddziale francuskich partyzantów. Był tam i Polak z Brygady Dąbrowskiego, z Hiszpanii. W kilka tygodni później ruszył przez Niemcy z powrotem do kraju. To był wspaniały człowiek, życzliwy, mądry, serdeczny. Dwaj Polacy wśród Francuzów – oczywiście zbliżyliśmy się szybko. Dużo starszy ode mnie, zaczął mi jakby ojcować. To on właśnie otworzył mi oczy na wiele spraw, których do tej pory po prostu nie dostrzegałem. Nauczył oceniać istotę, a nie tylko pozory zjawisk. Wykazał, ile złego narosło we wzajemnych stosunkach Polski ze Związkiem Radzieckim. A teraz, kiedy historia dała nam szansę zmiany tej sytuacji, jedyną szansę rozpoczęcia nowej, naprawdę przyjacielskiej karty wspólnych dziejów, teraz nasze wojska opuszczają Związek Radziecki, wychodzą do Persji i... – Roger zaciął się w gniewie. – Jakżeby wszystko mogło być inaczej, gdyby pod Stalin-gradem bili się także Polacy...

– Bili się już wcześniej, nad Londynem. I na piaskach Libii, na szkockich pagórkach... Biją się co dzień, wciąż, w Warszawie.

– W Warszawie walczą ofiarnie, z zapalem, młodzi chłopcy i dziewczyny, ale niektórzy politycy już rozmyślają, jak pchnąć ich przeciwko Armii Radzieckiej, gdy przyjdzie na to pora. Proszę pana, Francuzi z nas się tu śmieją, że tylko my jedni walczymy i przeciwko Niemcom, i przeciwko Rosji. Gdzie matematyka? Walka na dwa fronty – tego nikt na całym świecie nie ryzykuje!

Roger zapalił się. Chciał mówić, chciał się nawet spierać. Od miesięcy żyjąc wśród Francuzów, wreszcie znalazł kogoś, przed kim mógł dać upust swoim myślom, sprawom, które najbardziej go nurtowały. Chciał dyskutować, było mu to potrzebne, w ten sposób umacniał się we własnych przekonaniach. Za kilka godzin ten Polak odleci, zniknie równie nagle, jak się tu znalazł, i Roger znowu zostanie sam ze swoimi problemami. Więc mówił, gestykulował... Lecz Bogdan milczał. O tej wieczornej porze oczekiwania nie chciał, nie mógł podejmować sporu. Myślał o samolocie, który już wkrótce powinien zjawić się nad polaną. Myślał o końcu swej drogi, lecz jakoś nie potrafił odczuć radości, satysfakcji z niemal już wypełnionego zadania. Wiedział, że droga dobiega mety, lecz ciągle jeszcze świadomość tego nie była w nim ani żywa, ani nazbyt oczywista. Bogdan milczał, a Roger namiętnie, żarliwie, jak człowiek, któremu niedawno zdjęto z oczu kataraktę, próbował przekonywać go do swoich racji, szczęśliwy, że po polsku o polskich sprawach może mówić do Polaka.

Aż o jakiejś nocnej godzinie zabrzmiał rozkaz: ogień!

Na środku polany zapalił się płomienny trójkąt. Umilkły rozmowy – wszyscy czekali w dzwoniącej ciszy. Czekali długie minuty i kwadranse.

Nagle gdzieś od północy zabrzmiał daleki, ledwo dosłyszalny warkot silnika. „Leci!” – słowo podawane z ust do ust okrążyło polaną.

Na granatowe niebo wypłynęła rozkrzyżowana maszyna. Dowódca strzelił – z lasu wyskoczyła ku górze czerwona rakieta, potem biała i jeszcze jedna biała. Dwie czerwone rakiety oderwały się od samolotu. Na polanie zapaliły się dwa rzędy kolorowych latarek – partyzanci

wytyczali szeroki pas lądowania.

Poderwali się ze swych stanowisk, wylegli z szałasów. Las okalający polanę ożywił się gwarem.

Samolot zataczał kręgi, kołysał skrzydłami. Lotnik ostrożnie schodził do lądowania. Na ogniska zarzucono mokre koce. Migotały tylko sznury kolorowych latarek. Maszyna siadła pod lasem i toczyła się po trawie. Partyzanci wykrzykiwali gorące słowa powitania, których pilot nie słyszał.

Z lasu wybiegł dowódca Francuzów i pędził ku samolotowi. Ze wszystkich stron spieszyli partyzanci. Bogdan biegł obok Rogera – zapewniał, że dopilnuje wykonania jego prośb. Może się jeszcze spotkamy? – zegnali się serdecznie.

Sanitariusze ostrożnie dźwigali na noszach ranną. Bogdan podszedł do Krystyny, ujął jej dłoń. Teraz już będą razem.

Z otwartego włazu wesoło machał ręką brytyjski lotnik.

Dopiero teraz Bogdan poczuł, że dla takiej właśnie radosnej chwili przed dziewięcioma miesiącami wyrwał się zza drutów jenieckiego obozu.

Nie widzi ziemi, nie dostrzega gwiazd. Okrągłe szybki okien samolotu oblepione są z zewnątrz watą czarnych, nocnych chmur. Czy już lecą nad Zatoką Biskajską, czy jeszcze nad Francją, nad niemiecką Europą? Tego nie wie. Kiedy, o której godzinie wylądują w Anglii? Nie wie. Nie chce pytać pilota ani towarzyszy podróży. W tej pustej, zbyt obszernej dla pięciorga pasażerów kabinie jest zupełnie ciemno. Nie ma zegarka, nie wie, która godzina. Zegarrek został w gestapo – już tak dawno... Partyzanci przebrali go w cywilne, wygniecione, nie dopasowane ubranie, ale zegarka od nich oczywiście nie dostał. Więc nie wiedział nic, zawieszony w nieświadomości czasu, miejsca, przestrzeni. Lecą za horyzonty Europy, do kraju, w którym będzie wolnym żołnierzem. Przemykają się ponad wymierzonymi w górę lufami hitlerowskich dział przeciwlotniczych, których radary wyszukują na czarnym niebie metalowe cele, by je zniszczyć. Wystarczy jeden celny pocisk i wszyscy razem, siedmioro ludzi, roztrzaskają się o ziemię. Był lekkomyślnie odważny, gdy w oflagu wsuwał się do długiej, ciemnej rury – jest bezradnie przerażony, gdy zamknięta stalowa rura niesie go teraz ponad Francją... Próbuje uspokajać się. Chce myśleć logicznie. Gdyby każdy pocisk trafiał w lecący samolot, nie byłoby ataków powietrznych na niemieckie miasta ani Prater nie zostałby spalony, ani kilometry berlińskich ulic zamienione w gruzy. Nie wysyłano by bombowców, z których żaden nie miałby szans powrotu. Nie, z ziemi nic nie zagraża! Szanse trafienia są tak niewielkie, że już w tej chwili może swą drogę Warszawa–Londyn uważać za szczęśliwie zakończoną. Ale... jeżeli trafiałby tylko znikomy procent pocisków powietrznych, któż byłby takim szaleńcem, by instalować baterie bezużytecznych dział, tracić miliony? Dlaczego jedni wysyłają tyle samolotów? – opłaca im się powietrzna wojna! Dlaczego inni ustawiają tysiące dział przeciwlotniczych? – opłaca im się ten rodzaj wojny! Czy więc ich samolot przemknie się ponad frontem?

Nie widać: ziemia czy już morze. Grecy – przypomniał sobie – utrudzeni niebezpiecznym odwrotem przez Azję Mniejszą, na widok Morza Czarnego radośnie wołali: *Thalassa! Thalassa!*⁶⁶ Uciekali szesnaście miesięcy – on już ucieka dziewiąty miesiąc. *Thalassa! Thalassa!*... Czy już ma prawo zawołać? Ciemno. Maszyna kołysze się, chybotaje, chwilami opada jak bezwładny kamień. Serce podchodzi do gardła, żołądek pcha się do góry, strach paraliżuje myśli. Nogi opierają się jakby o ruchomą tarczę, powoli obracającą się to w jedną, to w drugą stronę.

Krystyna – na specjalnie umocowanych noszach – jęknęła z cicha. Pochylił się nad nią lekarz-Anglik; przyleciał tą samą maszyną, by opiekować się ranną podczas drogi... Respekt w szpitalu, szacunek wśród partyzantów, troskliwa opieka Anglików. Bogdan wciąż jeszcze tak

⁶⁶ T h a l a s s a ! (gr.) – morze!

mało wiedział o tej tajemniczej kobiecie. Pracuje na pewno w wywiadzie, sama dała mu to do zrozumienia. Ale w czyjej siatce? Brytyjskiej, francuskiej, polskiej? W Anglii wezmą ją do szpitala. Wyleczą. Cierpi bardzo. Nic nie mówi. Drzemie? On też chciałby się zdrzemnąć, nie czuć bólu zawieszanej na temblaku ręki. Tłumaczy sobie: śpij, cokolwiek się stanie, i tak nic na to nie poradzisz. Twój los zależy od niemieckiego radaru, od motorów maszyny, od sprawności pilotów. Naprzeciw niego, na twardej ławce siedzą – tak samo przymocowani pasami – dwaj mężczyźni. Francuz, starszy już człowiek, i młody Anglik. Wyszli z lasu tuż przed startem samolotu. Francuz milczał, nawet nie żegnał się z partyzantami, Anglik radośnie witał brytyjską załogę. W trzech zdaniach opowiedział im swoją historię – historię pilota RAF-u zestrzelonego nad Francją; wylądowawszy na spadochronie, uszedł niemieckiej obławie i napotkał Francuzów, którzy doprowadzili go do oddziału partyzanckiego. Obaj, Francuz i Anglik, siedzą w milczeniu. Może drzemią, może marzą, może snują plany? Brytyjczyk liczy zapewne godziny dzielące go od chwili, gdy stanie już na rodzinnej ziemi. Piotr?... Co teraz robi Piotr Croom? Pułkownik w Budapeszcie zapewniał, że Anglik odesłany będzie na południe bezpiecznym szlakiem. Bezpieczny szlak?! Samochód Laufra wydawał się błogosławionym azylem... Gdzie może być Piotr? Czy w Londynie zdoła dowiedzieć się czegoś o jego losach?... Co wiezie Francuz w tej ciężkiej teczce, którą, biegnąc do samolotu, dźwigał z widocznym wysiłkiem? Kurier podziemnych organizacji, kolega? Zagrożony przez gestapo działacz konspiracyjny, którego trzeba przerzucić na Wyspę? Nawet nie drgnął, gdy pilot przy starcie zapowiedział, że chyba nie będą mogli odlecieć. Anglik natychmiast odpiął pasy, zerwał się z ławki i razem z pilotami doradzał partyzantom, co robić, by koła, buksujące w rozmięklej po wczorajszym deszczu ziemi, znalazły jednak jakieś oparcie. Zdawało się, że już nie odlecą. Zaryglowani w kabinie, słyszeli warkot pracujących silników – i stali w miejscu. Koła obracały się bezskutecznie. Partyzanci podrzucali deski, pniaki, korzenie i gałęzie. Francuz siedział nieporuszony, bez słowa. Bogdan z wściekłością gryzł paznokcie – tak chciał już odlecieć! Pech prześladowuje go nadal. Tyle miesięcy się to wlecze, i wciąż niepowodzenia. Może ten metal w zębach nie jest już potrzebny, może inny kurier dotarł prędzej z tym samym zadaniem? Może droga przez Litwę, Łotwę i Skandynawię okazała się łatwiejsza?... W końcu jednak koła znalazły opór, samolot ruszył, wzbił się. Ta męczarnia trwała godzinę, godzinę przerażającej rezygnacji.

Czas wlecze się powoli – minuty, kwadransy... Czy już ostatecznie wymknął się Niemcom? Na kurierskim szlaku dłużej był przez nich więziony, niż naprawdę podróżował. Cała droga to zaledwie kilkadziesiąt godzin, gdy rzeczywiście posuwał się naprzód, i tyle, tyle dni wyczekiwania, choroby, nudy... Już być nad morzem! *Thalassa!*

W okienku jakby szarzał nadchodzący świt. Niedługo można będzie przebić wzrokiem ciemność. Co zobaczy w dole – ziemię czy już morze?

Lecą.

Gwałtowne szarpnięcie – zawisł na pasach – samolot poderwał się w górę – Bogdan krzyknął – krzyk innych – środkiem kabiny przekoziółkował ktoś i upadł z hałasem – rzemień wrzynają się w brzuch, w ramiona – ręka boli, ach, jak boli! – znów szarpnięcie – lecą nagle w dół – z ciemności rozpaczliwy krzyk Krystyny – ten człowiek znów przewraca się i toczy między ławkami – lekarz? – serce skacze – pionowo w górę – w dół! – spadają – czarne wstęgi oplątują oczy, całe ciało – zaciska dłonie na szyi człowieka – Laufer! – krzyk – koniec! – dłonie i stopy wiotczeją – wisi nad przepaścią – spod wagonu runie na rozpędzony pas ziemi – wszystko wiruje – błysk światła za okienkiem – z szarej chmury wyłania się wykrzywiona grymasem twarz Francuza, usta szeroko rozwarte – lekarz dźwiga się z podłogi.

Lecą? Lecą normalnie, spokojnie. Pasy przestały wpijać się w ciało. Lekarz już stoi, klnie. Samolot płynie w pozycji poziomej, tylko kołysze się ciężko, ze skrzydła na skrzydło, jakby łapał równowagę. Dnieje. Z półmroku wyłaniają się postacie pasażerów, ich ziemiste twarze. Bogdan słyszy głos angielskiego lotnika:

– Trafili nas...

Ze swej kabiny wysuwa się pilot. Mówi wyraźnie, spokojnie:

– Trafili nas. Z baterii nadbrzeżnych. Polecimy, ile się da, i będziemy siadać na oceanie. Proszę dobrze przymocować się pasami. Wszystko będzie *okey!* Mamy *dinghy*⁶⁷. Radio czynne. Już wiedzą o nas i wkrótce zaczną nas szukać. Uwaga, przy wodowaniu silnie rzuci – informował opanowanym głosem, jakby to była zwykła sprawa.

Lecieli kołysząc się ciężko.

Lekarz przymocowywał się pasami do ławki, obok Krystyny.

Leżała bez ruchu. Na kocu czerniły się plamy. Krew? Trzeba ją ratować, natychmiast ratować!... Ale teraz nikt nie może jej pomóc.

Uderzenie! Zazgrzytała blacha samolotu. Rzuciło.

– *All right*⁶⁸ – powiedział Anglik i znając porządek tych niezwykłych spraw zaczął szybko odpinać pasy.

Obaj piloci wyskoczyli ze swej kabiny.

Jeden odryglowywał stalowe pudło, drugi odczepiał łódź, złożoną i umocowaną w górze na ścianie samolotu. Otworzyła się ciężka kłapa, wysoka fala chlusnęła do środka. Pakunek, wyrzucony na wodę, automatycznie rozwinął się i rozprostował. Dość duża, owalna łódka unosiła się na gumowych poduszkach wypełnionych gazem.

Lekarz i piloci ostrożnie przesuwali nosze z Krystyną na chybotałą łódź. Francuz stał z teczką w ręku. Bogdan nie mógł poradzić sobie z pasami, przeszkadzało unieruchomione ramię. Pomogli mu. W drzwiach samolotu załała go fala. *Thalassa...* – pomyślał z goryczą. Znalazłszy się w ciasnej *dinghy*, przyklął obok noszy.

Szaro. Zimno. Mokra. Fale klaskały o gumowe balony.

Dotknął jej dłoni i zawołał z cicha:

– Kysiu!

Nawet nie drgnęła. Zachlapana wodą, biała, nieruchoma. Z kącików ust na szyję, na koc sływała krew...

– Doktorze! – krzyknął. – Doktorze!

Lekarz nie zareagował; wraz z Francuzem i Anglikiem trzymał liny cumujące łódkę do bezwładnego, podrzucanego przez fale pudła samolotu. Piloci w pośpiechu przenosili do łodzi jakieś paczki, koce, skrzynki.

Gotowe. Puścili liny.

Czterej mężczyźni chwycili cztery krótkie wiosła i zaczęli pracować szybko, z wysiłkiem. *Dinghy* musiała jak najszybciej oddalić się od tonącego wraka, od niewidocznej już, ale ciągle jeszcze zbyt bliskiej linii europejskiego brzegu.

Lekarz pochylił się nad Krystyną.

Badanie tętna, pracy serca, nasłuchiwanie oddechu. Doktor nakrył Krystynę kocem. Bogdan przez cały czas nie spuszczał z niej oka. Wiedział już wcześniej, nim usłyszał słowa wypowiedziane przez Anglika:

– Ona nie żyje.

Wszyscy czterej nagle przestali wiosłować. *Dinghy* mocno kołysała się na falach. Dzień wstawał pochmurny. Mżył nieprzyjemny, dokuczliwy deszcz.

– Jesteś tego pewny? – mruknął pierwszy pilot, ich dowódca.

– Tak.

– Może spróbować... – gorączkowo zawołał Bogdan – może jakiś zastrzyk?

– Nie wytrzymała tego wodowania. Nagła utrata wysokości... Krwotok, serce...

– Zastrzyk! – błagalnie powtórzył Bogdan.

⁶⁷ *D i n g h y* (*ang.*) – gumowa ratownicza łódź wojskowa.

⁶⁸ *A l l r i g h t* (*ang.*) – wszystko w porządku.

– To nie pomoże, ale... – doktor sięgnął do podręcznej apteczki, peleryną osłonił ją przed deszczem. Wyjął strzykawkę. Obnażył ramię Krystyny. Nacisnął tłoczek. Bogdan widział każdy jego ruch.

Wiosłowali.

Lekarz milczał.

Dopadli jej. Nie w Słowacji. Nie w Wiedniu. Nie w szalasie górskim przy radiostacji. Nie w więzieniu. Nie w szpitalu. Nie kulą. Przeciwlotniczym pociskiem. Różnicą ciśnień. Nie wydobyli z niej jednego słowa – zemścili się.

Wciąż silne kołysanie łodzi. Deszcz mży. Przenikliwie zimno.

Lekarz pochyla się nad Krystyną. Jeszcze raz bada puls, osłuchuje serce. I powoli naciąga koc na jej twarz, zakrywa głowę.

Milczy.

Dowódca przestaje wiosłować. Wszyscy odkładają wiosła. Zdejmują czapki. Klęcząc jak przedtem, przy wiosłowaniu, odwracają się ku ciału nakrytemu kocem. Bogdan naśladuje ich. Pierwszy pilot żegna się i głośno, wyraźnie zaczyna odmawiać angielską modlitwę za zmarłych.

Trzej mężczyźni powtarzają za nim. Głośno, wyraźnie. Francuz milczy z odkrytą głową, z opuszczonymi rękami. Bogdan nie modli się – ani po polsku, ani po łacinie, ani jak człowiek świecki, ani jak ksiądz. Mógłby szeptać, jeszcze pamięta: *Si capax es, ego te absolvo ab omnibus censuris et peccatis...* – ale już mię jest księdzem Kuglerem, tylko podporucznikiem Mayerem, sobą, nie przebranym kapłanem. Więc powtarza tylko, głucho i cicho: „Krysiu! Krysiu! Krysiu!” – i cały swój żal zamyka w tym krótkim słowie.

– Amen.

Mężczyźni wracają do wiosł. Lekarz porządkuje apteczkę. Potem, na polecenie dowódcy, otwiera zasobnik z żywnością i każdemu wręcza kawałek chleba, czekoladę, wyjmując termos z herbatą...

Wiosłują. Jedzą. Milczą.

Między nimi leży przykryte kocem ciało.

Minuty. Kwadrans. Godzina...

Odkładają wiosła. Odpoczywają. *Dinghy* kołysze się mocno. Bogdan nie może im pomóc, ma tylko jedną zdrową rękę. Jest zziębnięty, czuje dreszcze. Otula się kocem. Lekarz podaje mu herbatę.

Lekarz mówi, i są to pierwsze słowa od dłuższego czasu:

– Kiedy mogą nas wypatrzyć? Za godzinę? Za dwie?

– Może nigdy... – rzuca lotnik uratowany przez Francuzów. – Czasem wcale nie wysyłają samolotów na poszukiwanie.

– Zawsze wysyłają! – oburza się dowódca.

– Nie zawsze mogą...

Dzień był coraz jaśniejszy, ale szary, smutny. Deszcz mżył, nie ustawał.

Minuty, kwadrans...

Nagle usłyszeli warkot.

Samolot – brytyjski – szedł nisko nad wodą. Dowódca zerwał się na równe nogi. Chwył raketnicę, strzelił – kolorowa smuga iskier rozsypała się w górze. Strzelił jeszcze raz. Samolot zatoczył koło nad łodzią. Jedno, drugie i trzecie. Wszyscy machali rękami. Trzecią raketę wystrzelono z samolotu, który już oddalał się na północ.

– Za parę godzin powinien być i statek – powiedział dowódca.

– Jeżeli wcześniej nie dopadną nas Niemcy – zauważył lekarz. – Z myśliwców mogą nas wystrzelać jak kaczki.

Bogdan patrzył na ciało okryte kocem. Teraz już tylko jego mogą dopaść. Co za bzdury gada ten lekarz! Statek powinien być szybszy. Parę godzin...

Anglicy, witani okrzykami marynarzy, schodzili pierwsi. Za nimi Francuz. Bogdan na końcu. Minął salutujących oficerów, którzy dwadzieścia cztery godziny temu wyłowili ich z Zatoki Biskajskiej. Powoli, utykając, z ręką na temblaku, przeszedł przez trap.

Na małym betonowym molu, w ciasnocie skrzyń, w hałasie pracujących dźwigów, w ruchliwym tłumie czekał major w mundurze polskim. Starszy, niski pan ze sztywną nogą, oparty na lasce.

Bogdan wyprężył się na baczność. Nie mógł zsalutować, nie miał zdrowej ręki i nie miał żadnej czapki, nawet cywilnej. Tamten przyłożył dwa palce do daszka rogatywki.

– Podporucznik Krzysztof? – zapytał. – Jestem major Konrad Gustaw Bolesław trojga imion Wrzos.

To było hasło. Takim hasłem miał być przywitany na brytyjskiej ziemi. Temu człowiekowi miał oddać swoje metalowe zęby. Poczul niezmierne wzruszenie. Meta! Koniec! Kres! Uciekł im! Naprawdę uciekł! Skończyła się – naprawdę się skończyła – ta długa droga rozpoczęta pod jenieckim barakiem.

– Sto koni do stu brzegów dopłynię w sto dni! – hasło, które stokrotnie powtarzał sobie we wszystkich okolicznościach wędrówki. To hasło było jego nadzieją. Budziło dreszcz. Miało być fanfara. Lecz oto tych dziewięć słów zabrzmiało śmiesznie i sztucznie. W hałasie dźwigów, w warkocie ładowanych ciężarówek. Po tym wszystkim. Ale formalności stało się za-
dość. Wyrecytował je.

– W porządku! – uśmiechnął się major. I ojcowskim ruchem objął młodego człowieka.

– Tylko że sto dni dawno już minęło... Ta podróż, panie majorze, trwała za długo.

– Nie z pana winy, poruczniku, pan zrobił wszystko, co było w pana mocy.

– Być może... Przyjemnie to słyszeć. Podporucznik Bogdan Mayer melduje się po odbyciu drogi z Warszawy. Wyszedłem stamtąd w grudniu, teraz już jest czerwiec... Czy te zęby, które przywiozłem...

– A więc to zęby! Tego nie wiedzieliśmy i sądziłem, że pan przyjechał już bez swego bagażu...

– O, nie! Mam go w całości, jeżeli tylko jeszcze jest potrzebny.

– Tak, oczywiście. Jak najbardziej i jak najpilniej. Na te pańskie zęby czekaliśmy niecierpliwie, chwilami tracąc nadzieję, na przykład gdy znikł pan ze Szwajcarii. Trzech was wyszło z Warszawy z tym cennym niemieckim metalem. Drugi jeszcze nie doszedł. Trzeci nie dojdzie już nigdy... A kiedy znów dostaliśmy sygnał z tego francuskiego szpitala... – Słuchając majora Bogdan przeżył się z dumy. Rosła w nim zwyczajna ludzka radość ze spełnionego obowiązku, ta wspaniała satysfakcja, że trud nie poszedł na marne. Sto koni dopłynęło! – Wywiad brytyjski rozpoczął poszukiwania metalu na własną rękę, swoimi kanałami. Ale teraz chyba my będziemy pierwsi. Ten stop jest niezwykle potrzebny. Wojna trwa, jeszcze daleko do końca.

– Za daleko...

Z trapu marynarze znosili trumnę przykrytą brytyjską flagą. Wojskowi salutowali, cywilni zdejmowali kapelusze.

– Anglicy stracili znakomitą agentkę – powiedział cicho major.

– Polkę? – chciał się upewnić Bogdan.

– Tak. Uważała się za Polkę, znakomicie mówiła po polsku. Ojciec jej był polskim dyplomata, lata całe żył na Zachodzie. Matka Szwajcarka...

– Żyje? – Może to matkę widział w pociągu?

– Nie wiem.

– Dopadli jej...

– Podobno za bardzo ryzykowała.

– Chyba nie... Jak tu nie ryzykować, panie majorze?

Szli przez port. Trumna, okryta Krzyżami Świętego Jerzego, Świętego Andrzeja i Święte-

go Patryka, znikąca już we wnętrzu wozu pogrzebowego. Molo przerastało w ulicę nadmorskiego miasta. Niskie, obdrapane domy krzykliwymi reklamami zapraszały marynarzy na pierwszy kufel piwa. Plakat naklejony na ścianie przedstawiał premiera Wielkiej Brytanii razem z psem buldogiem. Sylwetka męża stanu była krępa i ciężka, nogi krótkie; twarz z wysuniętymi do przodu szczękami także przypominała tego bojowego psa.

– Najpopularniejszy plakat wojenny w Anglii – wyjaśnił major. – Rysował go nasz rodak z Warszawy, Feliks Topolski. Brytyjczycy są dumni, że ich premier jest podobny do walecznego, zażartego buldoga.

Na parkingu czekało auto; kierowca, kapral, serdecznie powitał przybysza. Ruszyli lawirując wśród wyładowanych skrzyniami ciężarówek.

– A teraz... – zapytał major – co pan teraz chce robić? Pomęczymy pana w Londynie. Gandanina, pisanina, no i solidna kuracja. Urlop też się panu przyda. A potem?... Szkocja?

Bogdan odwrócił głowę – zachłannie obserwował nieznany krajobraz brytyjskiego portowego miasta. Jest już na miejscu. Dotarł do celu. O nic nie musi się troszczyć. Niczego nie musi się bać. Czuje tylko ból w nodze i w ramieniu.

– Panie majorze... jeżeli można... to ja bym chciał... – jękał się i zacinał. Myślał w tej chwili o Alicji, o rodzicach, myślał o matce i o narzeczonej Rogera. – Oczywiście jeżeli można... to ja bym chciał... z powrotem do Warszawy!

Warszawa, 1968